

# Z e s ł a n i e c

PISMO RADY NAUKOWEJ ZARZĄDU GŁÓWNEGO  
NR 53 ZWIĄZKU SYBIRAKÓW ROK 2012

<b>Spis treści</b>	
• <b>Janusz Kamocki</b> <i>Polskie Boże Narodzenie</i>	3
• <i>Zesłańcze wigilie</i>	19
• <b>Jolanta Załączny</b> <i>Wiersze pisane w drodze. Na marginesie twórczości Ludwiki Biesiadowskiej-Szklarek</i>	49
<b>RELACJE Z ZESŁANIA</b>	
• <b>Stanisław Lasek</b> <i>Wspomnienia Kresowiaków – Sybiraków</i>	63
<b>KRONIKA</b>	
• <b>Wojciech Narębski</b> <i>Hołd zmarłym w Uzbekistanie Polakom – żołnierzom Polskich Sił Zbrojnych na Wschodzie i osobom cywilnym...</i>	95
• <b>Henryk Majewski</b> <i>Tablica poświęcona pamięci Edwarda Duchnowskiego</i>	99
<b>REGAŁ Z KSIĄŻKAMI</b>	
• S. Teresa Antonietta Frącek RM, <i>Zesłaniec nad brzegami Wołgi. Miniatury z życia abp. Zygmunta Szczęsnego Felińskiego 1822-1895, „Biblioteka Zesłańca”, Polskie Towarzystwo Ludoznawcze, Wrocław 2011 (Franciszek M. Rosiński OFM)</i>	103
• Anna Dembowska, <i>Polacy na północy Rosji. Album o polskich miejscach pamięci, Sankt-Petersburg 2011 (Agnieszka Kaniewska)</i>	105

## Od redakcji

Formuła wydawnicza „Zesłańca” od lat nie ulega zmianie, charakteryzuje się jednak ciągłą dbałością o poszerzenie grona autorów oraz wątków problemowych dotyczących dziejów Polaków na Syberii. Udawało się nieraz usuwać „białe plamy” z tego zakresu ukazując pełniejszy obraz życia naszych rodaków na zesłaniu. Zasadnicze znaczenie ma tu jednak opowiedzenie się za konsekwentnym wzbogacaniem wiedzy dotyczącej pluralizmu tematycznego publikowanych artykułów.

Założenia te są w jakiejś mierze rezultatem sporej ilości autorów publikujących na łamach „Zesłańca”, przez co obraz prezentowanych zagadnień jest bardziej zróżnicowany tematycznie. Przeważająca większość z nich pochodzi z Polski, chociaż drukujemy też teksty autorów z Federacji Rosyjskiej, zwłaszcza z jej syberyjskiej części – np. z Abakanu, Barnaui, Irkucka, Jakucka, Nowosybirsk czy Tomsk, co powoduje korzystne dla tematyki pisma rozłożenie przestrzenne omawianych zagadnień z wykorzystaniem bogatych archiwów syberyjskich.

W naszej działalności wydawniczej staramy się utrzymać ten trend mając na względzie zróżnicowanie wielowątkowe publikowanych artykułów dających przez to pełniejszy obraz polskiej obecności za Uralem w XIX i pierwszej połowie XX wieku. Zarysy takie są odpowiedzią na żywe zainteresowanie naszych Czytelników zarówno rozległą tematyką historyczną dotyczącą związków polsko-syberyjskich, jak również

- *Wspomnienia pisane głodem...  
Relacje członków Związku Sybiraków  
w Stargardzie zesłanych  
w czasie II wojny światowej do ZSRR,  
Stargard 2011  
(Bronisław Przesmycki)*

108

Na okładce: Rysunek Czesi Hnatówny. Worskuta 1956 r. (P. Świetlikowski, *Gułag Worskuta. Raport oficera Armii Krajowej*, Warszawa-Wrocław 1997), (s. 1); Jedna ze stacji na ochockim trakcie, litografia wg rysunku Leopolda Niemirowskiego, [w:] *Leopolda Niemirowskiego rysunki, akwarele, litografie. Podróż po Syberii Wschodniej*, Irkuck 2010, (s. 4).

**Zeszyt opublikowany dzięki dotacji  
Rady Ochrony Pamięci  
Walk i Męczeństwa**

**Wydawca:** Zarząd Główny  
Związku Sybiraków,  
ul. Mazowiecka 12  
00-048 Warszawa, tel. 22/827 93 71

**Redakcja:** A. Dobroński,  
A. Dzieńkiewicz, W. Krawczyński,  
A. Kuczyński (red. nac.), S. Sikorski,  
P. Zworski  
Sekretarz redakcji: M. B. Kuczyńska

**Wykonawca:** Skład, druk i oprawa –  
QUAESTIO Przemysław Włodarczyk,  
ul. Paczkowska 26; 50-503 Wrocław

Copyright nazwy „Zesłaniec”  
by A. Kuczyński

**Adres redakcji:** ul. Bystrzycka 61/3  
54-215 Wrocław, tel. 71/351 10 94

składającą się na tę złożoność wielość zagadnień wchodzących w skład polskiego dziedzictwa naukowego i gospodarczego za Uralem oraz deportacji i zesań w okresie drugiej wojny światowej a także w pierwszych latach po jej zakończeniu. Mamy nadzieję, że jako jedyne w tej chwili czasopismo poświęcone wyłącznie tematyce Polaków na Syberii, powstałe w rezultacie zmienionej w naszym kraju sytuacji politycznej po 1989 roku wypełniamy w jakimś stopniu lukę w tej dziedzinie badań istniejącą w tzw. Polsce Ludowej ze względu na ograniczenia cenzuralne oraz nakazy doktrynalne.

Różna jest zapewne miara oceny naszych publikacji, stale jednak staramy się dbać o rozległość tematyczną „Zesłańca”. Taki też jest i ten 53. już numer naszego sybirackiego pisma, rzecz można monotematyczny, poświęcony jest bowiem Wigiliom Bożego Narodzenia na zesłaniu. Cechuje je zróżnicowanie, w zależności od miejsca i czasu pobytu na „niehumanitarnej ziemi” – w tundrze, tajdze czy stepie, na „posieleniu” czy w łagrze! W tę noc betlejemskiej ciszy życzone sobie, aby Boże Dziecię błogosławiło w każdy dzień i było Światłem na drodze powrotu do Ojczyzny.

Drodzy Czytelnicy. Przed nami 2013 rok. Proszę przyjąć najserdeczniejsze życzenia dobrego zdrowia, ludzkiej życzliwości i uśmiechu. Dziękuję serdecznie za wspieranie nas w redakcyjnym trudzie oraz za przyjaźń, którą stale obdarowujecie „Zesłańca”.

**Wiesław Krawczyński**  
**Przewodniczący Rady Naukowej**  
**Zarządu Głównego Związku Sybiraków**

---

---

JANUSZ KAMOCKI

## POLSKIE BOŻE NARODZENIE

*Bóg się rodzi, moc truchleje,  
Pan niebiosów obnażony,  
Ogień krzepnie, blask ciemnieje,  
Ma granice nieskończony.*

Nic dziwnego, że wierzono, iż w tę niezwykłą noc wszystko jest możliwe: woda w studni na moment zamienia się w wino, a zwierzęta mówią ludzkim głosem. Bo Boże Narodzenie to najważniejsze święto roku. Wprawdzie Kościół uczy, że najważniejsza jest Wielkanoc, jednakże dla nas Polaków (podobnie zresztą jak i dla wielu innych ludów chrześcijańskich), tym naprawdę najważniejszym świętem jest Boże Narodzenie. Najważniejszym i najbardziej bliskim sercu. Bo przed Wielkanocą przeżywamy Mękę Pańską, dni żalu i grozy, mękę do której przyczyniły się i nasze grzechy, a w same święto wielkanocne czcimy Pana pokonującego śmierć i wstającego z grobu. Tu Chrystus ukazuje się jako Pan i Władca, z którym trudno się utożsamiać. Natomiast w Bożym Narodzeniu jest bliski, chwytający za serce, zwłaszcza ludzi ubogich i tych, do których los się nie uśmiechnął. Bo przecież urodził się w ubogiej stajence (*szopa bydła przyzwoita, i to jeszcze źle pokryta*), do której przychodzą pasterze czuwający przy owcach na hali (*Pastuszkowie przybywajcie, Jemu wdzięcznie cześć oddajcie*). Wprawdzie u nas w grudniu owce już dawno są zamknięte w oborach, ale to nam jakoś nie przeszkadza. Tu widzimy Boga jako słabe dziecko wymagające opieki, tak podobne do naszych dzieci. Jego Matka, to nie tylko znana z częstochowskiego obrazu Pani i Królowa, z koroną na skroni, ale kobieta podobna do innych matek, opiekująca się nowonarodzonym dzieciątkiem i martwiąca się, że nie ma go gdzie położyć i czym przykryć (*bo ubogą była, rąbek z głowy zdjęła i tym rąbkiem owinąwszy w sianku go złożyła*). Dlatego do Niej i do Dzieciątka jest łatwy dostęp dla każdego, choćby i dla największego grzesznika, a zwłaszcza dla ludzi ubogich i nieszczęśliwych (*Ubodzy was to spotkało, witać Go przed bogaczami*).

Święto to jest nam też tak bliskie, gdyż nie jest świętem tylko religijnym, przyniesionym do Polski wraz z przyjęciem chrześcijaństwa. Ten dzień, a raczej tę noc, czciliśmy już w czasach przedchrześcijańskich. Uroczystości obchodziliśmy prastare święto nowego roku – tego prawdziwego nowego roku, słonecznego, niezależnego od takich czy innych umownych dat wymyślonych przez ludzi. Wierzono, że noc jest porą panowania złych sił, toteż moment, w którym noc zaczyna się skracać, a dzień wydłużać i słońce odzyskuje swą ożywczą moc, stawał się dniem radości i nowych nadziei, że przyniesie zdrowie, urodzaj.

Radowali się świętem zwycięskiego słońca nasi pogańscy przodkowie, więc gdy przyjęli chrzest, było dla nich naturalne, że w tym właśnie dniu Kościół każe czcić narodzenie Chrystusa – prawdziwego Słońca Wiary, darzącego swym światłem i ciepłem cały świat.

Z tego połączenia się przedchrześcijańskiej tradycji z chrześcijańską wiarą narodziła się nasza współczesna obrzędowość wigilijna. Obrzędowość, która przeniknęła cały nasz polski obyczaj, która żyje wszędzie tam, gdzie Polacy się gromadzą. Tradycje Bożonarodzeniowe są tak silne, że nawet w okresie komunizmu nie bardzo je łamano, a polskie statki, które w grudniu żeglowały po oceanach, zabierały do ładowni choinkę, aby załoga mogła przy niej spędzić wieczór wigilijny.

Dzień wigilijny na ogół był dniem bardzo pracowitym. Na lenistwo w ten dzień nie można było sobie pozwolić. Do dziś się wierzy, że jaki jest początek, taki będzie też ciąg dalszy, a że Boże Narodzenie jest początkiem nowego roku słonecznego, każda czynność wykonana w wigilię rzutuje na cały przyszły rok, toteż w Beskidach Wschodnich, mimo zimy, gospodarze zaprzęgali konie do pługów i orali choćby tylko jedną skibę. Pracować trzeba, a leń ryzykuje, że przez cały nadchodzący rok żadna robota nie będzie mu się udawała. Dzieci też powinny być grzeczne, dostanie lania w dniu wigilijnym mogłoby skutkować częstym batem w ciągu roku. W gospodarstwach wiejskich (a trzeba pamiętać, że jesteśmy narodem o kulturze rolniczej, w której tak największy pan, jak i najbiedniejszy chłop żyli z roli – więc tradycje rolnicze były szanowane zarówno w pałacach magnackich jak i w chłopskich chałupach) trzeba było obrządzić bydło staranniejszym niż w zwykły dzień i dorzucić mu więcej jedzenia, niech i ono wie, że to nie jest dzień zwykły. I niech nie skarży się na gospodarzy, gdy o północy będzie przemawiało ludzkim językiem.

W sadach też zabezpieczano sobie przyszły urodzaj. Na drzewa, które nie dały owoców w danym roku zamierzano się siekierą, grożąc „zetknę cię, bo nie rodzisz”. W tym momencie ktoś z domowników obiecywał w imieniu drzewa poprawę, wobec czego właściciel sadu mówił drzewu, że jeśli w przyszłości będzie rodzić, to ścięcie mu nie grozi. To zresztą naprawdę sprawdzało się, drzewa w tradycyjnych sadach rodziły obficie co drugi rok, a że grożono im tylko w te lata, w których owoców nie dały, w następnych miały na ogół obfity urodzaj.

Bardzo starą, dziś już zapomnianą tradycją było wnoszenie do izby i stawianie w kącie snopa zboża – a u zamożniejszych czasem nawet czterech snopów: żyta, pszenicy, owsa i jęczmienia (wtedy stawiało się je we wszystkich czterech kątach), aby żadnego zboża nie brakowało w przyszłym roku. Po świętach snopy te szły na paszę dla bydła, by Pan Bóg błogosławił dobytek, a ziarno dodawano do ziarna siewnego bądź wysypywano ptakom, by i one miały święta. Zwyczaj ten, ongiś powszechny w całej Polsce, utrzymał się na Kresach południowych aż do 1939 roku. Gdy kresowi ziemianie wyjeżdżali często na święta do Lwowa, to przed wigilią przywożono im z majątku do miejskich mieszkań owe cztery snopy.

Trzeba zawiadomić też o Dobrej Nowinie pszczoły; z reguły sam gospodarz osobiście delikatnie pukał w ściany uli i szeptem powierzał pszczołom wieść o Bożym Narodzeniu. Mądre owady usłyszą to i w nagrodę, że o nich

w tak ważnej chwili nie zapomniano, przyniosą dobry zbiór miodu w nadchodzącym roku.

Ponieważ w ten dzień trzeba każdemu okazać serce i gościnność, przed wieczerzą gospodarze wychodzili przed próg i zapraszali na wilię nawet wilka i złodzieja – co prawda dodając: „a jeśli nie przyjdiesz dziś, nie przychodź już nigdy”. To zastrzeżenie jest ważne, bo złodziej też wie, że jeśli uda mu się jakakolwiek kradzież w tę noc, to będzie mógł bezpiecznie kraść przez cały nadchodzący rok.

Trudno też wyobrazić sobie Boże Narodzenie bez choinki, choć nie zawsze wyglądała ona w Polsce tak, jak obecnie. Dawna polska choinka była zawieszana u powały, czubkiem na dół. Nazywano ją podłaźniczką, a podłaźnikami w staropolszczyźnie (podobnie zresztą jak i w innych językach słowiańskich) nazywano kogoś, kto przychodząc do domu przynosi szczęście i pomyślność. Przychodzący z życzeniami chłopcy starali się schwytać dziewczyny pod podłaźniczką – chwytający miał prawo wyściskać schwytaną.

Czasem oprócz podłaźniczki zawieszanej nad stołem w izbie zawieszano też małe podłaźniczki nad drzwiami mieszkania i nad drzwiami obory – miały strzec spokoju i nie dopuszczać do wtargnięcia przez drzwi złych sił. Obecna forma choinki przysłała z zachodniej Europy za pośrednictwem Niemiec i rozpowszechniła się w Polsce od nieco ponad dwustu laty – na przełomie XVIII i XIX wieku pojawiła się w Warszawie, potem przyjęła się w dworach i domach mieszczańskich, a w XX wieku wyparła podłaźniczki z chat wiejskich. Była bardziej efektowna, a ponadto łatwo można było ją też ustawić, w nowoczesnym mieszkaniu zaś trudno by było wbijać hak do sufitu dla zawieszenia podłaźniczki.

Na stojącej choince łatwiej też było zawieszać ozdoby, wkrótce więc zawisły na niej świeczki, bibułkowe łańcuchy, kolorowe cukierki. Najważniejsze jednak według starej tradycji, pozostały orzechy (często pomalowane na srebrno lub złoto), a zwłaszcza jabłka. Te owoce miały też, według starych wierzeń, moc magiczną, związana z magią miłości. I gdy do domu, w którym są dorosłe dziewczyny, przychodzili w czasie świąt chłopcy z życzeniami, to starali się te jabłka zrywać, dziewczyny zaś starały się do tego nie dopuścić – chyba, że jabłko chciałby zrywać chłopak bliski sercu, wtedy obrona jabłek nie była zbyt gorliwa. Póki w każdej paczce opłatków, ongiś roznoszonych po domach przez organistę, oprócz białych były też kolorowe, przeznaczone dla bydła, robiono z nich maleńki żłobek na pamiątkę żłobka, w którym narodził się Zbawiciel.

Jeszcze w okresie międzywojennym były okolice, w których w wiejskich chatach stojących choinek nie było. W latach trzydziestych XX wieku na Kujawach, na Powiślu Lubelskim, na Górnym Śląsku i wśród Mazurów pruskich stojąca choinka była uważana za nowość, przynoszoną przez szkołę i dwory ziemiańskie. A pod Krakowem z niewyjaśnionych powodów dawny połaźnik został zastąpiony przez „sad” – zawieszany pod sufitem ogromny pajak ze słomy i kolorowych bibułek.

Z drugiej strony stojąca choinka tak wrosła w polską obrzędowość, że można ją spotkać w domach zupełnych ateistów, a czasem nawet także i u polskich Tatarów – małej, zaledwie parotysięcznej grupki polskich muzułmanów. Tłumaczą, że gdy chrześcijanie stawiają choinki na pamiątkę narodzin Jezusa

jako syna bożego, to i im wolno stawiać choinkę na pamiątkę narodzin proroka, za którego Jezusa uznają. Dziś w wielu małych mieszkaniach, w których brakuje miejsca na postawienie choinki, zastępuje ją, zwłaszcza jeśli w domu nie ma małych dzieci, świerkowa czy jodłowa gałąź zawieszona na ścianie – wszędzie jednak musi to być żywa zieleń, symbol życia, które odradza się na przekór zimie i śmierci. I nie może zastąpić jej rozpowszechniająca się sztuczna, choćby najpiękniejsza plastikowa choinka,

Początek tradycji choinkowej, według legendy góralskiej zapisanej w jednym z przedwojennych numerów „Ilustrowanego Kuriera Codziennego”, był następujący: Gdy Chrystus się narodził, wszystkie zwierzęta szły z darami. Niedźwiedź wiedząc, że w szopie jest zimno, chciał przynieść nieco drewna na ognisko:

*Ułomol piyknego smrecka i niesie. Ale ze to beł walny krzok, ni móg go uniyś, ba go włók za sobom. A ze musioł bez kiela potocków przechodzić, to sie w koźdym drzywko zamocało, a potem zaroz marzło, no i porobiety się na niym ślicne śklane igielki, ze się smrecek do słonecka śwycił, jak zeby go fto dyjamyntami obsypał. Uwidziato sie to rybkom i dalize hipkać na drzywko. A jak jesce po dródze ptoški takie ślicności obocily, het na smreku posiadaly, a niedźwiydz sytko to wroz zaniósł do sopki i przed Dziycionteckiem postawiał. Z tego to posło, że teraz strojom dzieciom drzywko na Boze Narodzynie i selniejakie śwycidelka na niym wisajom.*

Domową krzątanię trzeba było kończyć przed wieczorem, gdy zabłyśnie pierwsza gwiazdka. Cała rodzina gromadziła się koło stołu, na którym pod obrusem leżało nieco siana, na pamiątkę, że Pan Jezus w stajni się urodził i w żłobie na sianie był złożony. Na Podhalu czasem stół jest związany łańcuchem – aby owce nie rozbiegały się na hali, czasem kładziono ostrze od pługa, gdyż to żelazo służące do pracy nad uzyskaniem chleba miało szczególnie wielką moc magiczną. Na Śląsku pod stołem często kładzie się jakieś ostre narzędzie – w wierzy wigilijnej – jak wierzono – biorą udział zarówno żywi, jak i umarli, w zasadzie do domów rodzinnych przychodzą dusze zmarłych bliskich, ale żelazem zabezpieczano się przed złymi duchami, które mogłyby wraz z dobrymi wkraść się na wilię.

Nakryć do dziś zazwyczaj jest o jedno więcej niż domowników – czekano na niespodziewanego gościa, który akurat tego wieczoru mógłby zawitać. Czasem to miejsce czeka na samego Jezusa, czasem stawia się je z myślą o kimś dalekim lub o kimś niedawno zmarłym. I słusznie – bo to miejsce u naszych przodków było zawsze zarezerwowane dla duchów, które z tamtego świata przybywają, aby spędzić ten święty wieczór z bliskimi.

Dzień wigilijny jest ostrym postem, zasiada się do wili dopiero wtedy gdy na niebie zaświeci pierwsza gwiazda na pamiątkę, że narodziny Jezusa obwieściła gwiazda, która przyprowadziła mędrców za wschodu. Przed wieczrą wszyscy modlą się, czasem czytają fragment Ewangelii o Narodzeniu Pana, głowa rodziny bierze opłatek i dzieli się nim ze wszystkimi, a potem następuje składanie sobie życzeń, które przecież wyrażone w ten święty wieczór powinny się spełnić. W Polsce nieraz płynęły łzy, gdy myślano o nieobecnych, o tych, którzy spędzali tę noc gdzieś w łągrach syberyjskich, a w czasie wojny, o tych którzy w tę noc znajdowali się gdzieś na dalekich frontach, czasem w obcych mundurach, bądź Boże Narodzenie spędzali w lesie, przy choince ozdobionej taśmami od karabinu maszynowego i śpiewali:

*Lulaj że Jezuniu moja peretko,  
Lulaj ulubione me pieścidełko,  
Ty leżysz na sianku w twardym żłóbeczku,  
Ja sypiać muszę pod choineczką  
Tobie w stajence aniołki śpiewają,  
A za mną szwabiska seriami strzelają.  
Masz w żłóbeczku sianko jako piernaty  
Wokół nas tu w lesie rwą się granaty  
Tobą się święty Józef opiekuje  
Ja z lasu do lasu ciągle wędruję.  
Lulaj że Jezuniu, lulaj że lulaj,  
Ty święta Matulu matkę mą utulaj.*

Podczas wigilijnej wieczerzy je się potrawy nietypowe, przekazane przez tradycję, lecz chyba bliskie sercom naszych przodków. Dlatego niekiedy na wsiach po wili nie sprzątało ze stołu, zostawiając resztki jedzenia na noc, aby duchy mogły w spokoju się posilić, a gdzieśdziej dokoła stołu posypywało się podłogę drobnym popiołem, rano szukało się delikatnych śladów przez nie pozostawionych.

W różnych okolicach Polski różne były zestawy potraw wigilijnych, różna była też ich ilość, choć najczęściej było dwanaście, na pamiątkę dwunastu apostołów. Oczywiście zawsze musiał być mak, na wschodzie Polski w postaci kutii, gdzie indziej jako mak z miodem i łamańcami lub kluski z makiem. Według starych wierzeń ziarna maku odstraszały złe siły, które mogłyby wraz z dobrymi duchami przyjść na wilię. W prawie całej Polsce wilia jest postna, jedynie na terenie dawnych Prus Wschodnich, zarówno u protestanckich Mazurów, jak i u katolickich Warmiaków, do niedawna na stole wigilijnym obowiązkowo pojawiała się mięso. Nie znano tam też opłatków, ten ogólnopolski zwyczaj, jak i postna wilia, rozpowszechniły się na tamtym terenie dopiero po wojnie, wraz z osiedlaniem się przybyszów z innych części kraju.

Zresztą zwyczaj dzielenia się opłatkiem znany jest tylko w Polsce – i u naszych najbliższych sąsiadów, którzy go od nas przyjęli, na Litwie i w niektórych regionach Słowacji. U cudzoziemców budził on nieraz zdziwienie, a nawet zgorszenie – niejednokrotnie trzeba było im tłumaczyć, że używane podczas wili opłatki nie są konsekrowane.

Tak dziś, jak i dawniej, wysyłano opłatki do oddalonych przyjaciół – Kajetan Kraszewski w roku 1876 wysyłał bratu do Drezna wraz z opłatkiem wiersz:

*„Dosiego roku” życząc panu bratu,  
Kiedy w rozłące pędzimy dni ostatek,  
(Choć dziś ten zwyczaj obojętny światu)  
Szłę ci opłatek.*

*Dla nas on zawsze Świętość wyobraża;  
Pamiątkę łaski udzielonej z Nieba,  
A oprócz skarbu branego z ołtarza  
Własny kęs chleba.*

*Ojców to naszych obyczaj prastary  
Rodzinnej niwy maluje dostatek,  
Symbol braterstwa, miłości i wiary  
Święty opłatek.*

Po wieczerzy wigilijnej gospodarze przystępowali do wróżb – trzeba przecież wykorzystać obecność duchów i ich wiedzę o przyszłości, więc dowiedzieć się, jaki będzie zaczynający się w tym dniu rok, jakie będą plony. Wróżby były różne, najczęściej rzucano po garści każdego zboża za obraz lub za belkę podtrzymującą powałę w dawnych domach wiejskich, i patrzono ile ździebeł zatrzyma się na nim, na tyle kóp zboża można liczyć, a na wschodzie Polski ciskano do góry pełne łyżki kutii i wrózano o urodzaju z tego, czy kutia przylgnie do stropu czy odpadnie.

Potem zanoszono do stajni i obory nieco potraw wigilijnych i dodawano do paszy, wraz z kawałkami opłatka (dlatego w paczkach roznoszonych ongiś przez organistów zawsze były też opłatki kolorowe, przeznaczone dla zwierząt), gdyż one pierwsze powitały Jezusa. Jednakże nie wszystkie zwierzęta godne są potraw ze stołu wigilijnego, są to jedynie, krowy i owce, czasem również konie. Krowy i konie w zastępstwie wołu i osła, a owce, bo pasterze wraz z owcami powitali Pana. A oprócz od tego – te zwierzęta są pomocnikami w gospodarstwie, wspólnie z człowiekiem tworzą jego pomyślność.

Później dzieci szukały pod choinką prezentów, a gdy zbliżała się północ, całe rodziny śpieszyły do kościoła na pasterkę. Dopiero podczas pasterki rozpoczynało się śpiewanie kolęd, które już będą codziennie w kościele i w domu towarzyszyły ludziom aż do 2 lutego – święta Matki Boskiej Gromnicznej. Kolęd Polacy mają mnóstwo – naliczono ich około 600. Tylko niewielka część tych kolęd jest powszechnie znana. I chyba polskie kolędy są najpiękniejsze w świecie. Wiele z nich układali poeci, często jednak też anonimowi twórcy, niektóre powstawały na melodię rycerskiego tańca (*Bóg się rodzi, moc truchleje*), jedna nawet stała się inspiracją dla Szopena (*Lulaj że Jezuniu*). *Anioł pasterzom mówił* śpiewano już w XV wieku – a w dalszym ciągu powstają nowe, jak chociażby tak dziś popularna kolęda góralska:

*Oj malučki, malučki  
Malučki kiejby rękawicka  
Abolityz jakoby,  
Jakoby kawołecek smycka.  
Cy nie lepiej Tobie by,  
Tobie by siedzieć było w niebie  
Przecie Twój Tatuś kochany,  
Kochany, nie wyganiot Ciebie.*

Nieraz trudno było ludziom pogodzić się z tym, że Bóg musiał urodzić się gdzieś w odległym, wrogim mu kraju – oczywiście lepiej by było, gdyby urodził się między swymi, tu w Polsce. Tu by nikt Mu nie zagrażał, zostałby otoczony należąną opieką. Toteż na Kurpiowszczyźnie śpiewano:

*A u nas na pusczy w Myśckieiem starostwie  
Nie byłbyś się rodził mój Jezu, w ubóstwie,  
Mawa izbów wiele i mietkie pościele,  
Byłbyś leżał jak w puchu.  
A na obiad byśwa skrzeczków naskwarzyli  
I kasy grycanej thusto nakrasili.  
Zając, kuropatwy, choć połów nietatwy,  
Byłby Panie dla Ciebie.  
Ze się nie tak, Panie, spodobało Tobzie,  
Ześ ucierpiął biedę w maluchnej osobie,  
Przyjmij serca chęci, miej Kurpian w pamięci,  
Tu na pusczy i w niebie.*



Podobnie i Kaszubi zapraszali Jezusa do siebie:

*Gdybyś w Kaszubach był narodzony  
Nie na sianeczku byłbyś złożony,  
Dałbym Ci sienniczek i pod Cię pierzniczek,  
Parę poduszczyk, piernat jak puszat...*

A że Boże Narodzenie to najbardziej polskie, chwytające za serce, święto, nowe kolędy powstawały wszędzie tam gdzie ludziom było trudno, gdy znajdowali się daleko od domu, gdy otaczała ich obca, wroga rzeczywistość.

W czasie wojny partyzanci z Gór Świętokrzyskich śpiewali:

*Idziemy do stajni lichej  
Dzieciątka złożyć hołd,  
Mateńce jego cichej  
Na odzież dajmy żółd.*

*Stajenka jest uboga  
Tak zimno, w stajni mróz.  
Płacze Dziecina droga,  
Bo domu nie ma już.*

*Hej niemieccy siepacze,  
Coście spalili dom –  
Na zimnie Jezus płacze,*

*Was nieszczęść spali grom!  
Nasz szałas – stajnia zimna,  
Tam zimno i tu lód,  
Odkupi świat Dziecina,  
A my z niewoli lud.*

Równocześnie popularna w okresie wojennym kolęda:

*Nie było miejsca dla Ciebie  
W Betlejem w żadnej gospodzie  
I narodziłeś się Jezu  
W stajni, w ubóstwie i chłodzie.*

z racji swego – tak aktualnego w tym okresie – zakończenia:

*A dzisiaj czemu wśród ludzi  
Tyle łez, jęków, katuszy?  
Bo nie ma miejsca dla Ciebie  
W niejednej człowieczej duszy.*

często śpiewana była w więzieniach i obozach koncentracyjnych.

Zaś w zimie roku 1981, – roku stanu wojennego i internowania tysięcy ludzi tuż przed świętami – niespodziewanie powróciła stara smutna kolęda sięgająca swymi początkami chyba czasów wojen napoleońskich

*...co za smutna wigilija  
Każda matka i twa miła  
Ojca wspomina*

*Mówili ludzie dziś jeszcze rano  
Chłopy na święta urlop dostaną  
We wigilię przez dzień cały  
Dzieci koło okien stały  
I wyglądały*

*Stały od rana aż do zmroku  
Patrząc ze smutkiem i ze łzą w oku  
Powracając ku piecowi  
Kaźde z bólem serca mówi  
Ojca nie widać.....*

Dostosowywano też kolędy do aktualnej sytuacji – do *Bóg się rodzi* w okresie stanu wojennego dodawano

*Pociesz Jezu kraj płaczący,  
Zasiej w sercach prawdy ziarno,  
Siłę swoją daj walczącym  
Pobłogosław Solidarność.*

Niejednokrotnie powstawały też teksty wzorujące się na kolędach, aczkolwiek dalekie od święta narodzenia Chrystusa. I znów zacytuję tu popularną, wzorowaną na kolędzie przyśpiewkę z czasów wojny:

*Dzisiaj w Londynie, dzisiaj w Londynie  
Wesoła nowina  
Tysiąc bombowców, tysiąc bombowców  
Leci do Berlina  
Berlin się pali, Reichstag się wali,  
Goering ucieka, Hitler się wścieka,  
Hej kolęda, kolęda!*

Czasem śpiewa się też, choć tylko poza kościołem, zapomniane już powszechnie pastorałki, ludowe pieśni, które opiewają historię zbudzonych nagle pasterzy i ich drogę do Betlejem:

*Północ już była, gdy się zjawiała  
Nad bliską doliną jasna łuna,  
Którą zoczywszy i zobaczywszy  
Krzyknął mocno Wojtek do Szymona  
Na te wołania, z smacznego spania,  
Porwał się Stach z Grześkiem i spadł z broga,  
Maciek truchleje, od strachu mdleje,  
Woła: uciekajcie, ach na Boga!*

Następnie, gdy uspakają ich anioł, biegną do stajenki:

*Rzucmy nasze stada!  
Niech Pan nimi włada!  
A my do Betlejem!*

A jak tam trafić? Podkrakowscy pasterze nie mieli problemów:

*Ot, trzeba iść do Mogiły, potem do Pinczowa,  
A z Pinczowa na Bielany, Potem do Głogowa,  
Od Głogowa do Betlejem będzie już pół drogi,  
Weźmiem z sobą ze dwa sadła, by smarować nogi...*

A że nie można iść do dzieciątka z pustymi rękoma:

*...A ty zaś Rochu, pięknego grochu  
weźmij na plecy pół wora,  
Pod jednym dachem mieszkaś ze Stachem,  
daj mu tłustego kaczora,  
Niech weźmie w kobiele, będzie na niedziele,  
terazże idźmy wraz wszyscy...*

Pierwszy dzień świąt jest świętem rodzinnym, odwiedza się tylko najbliższych krewnych i sąsiadów – przy czym zawsze trzeba pamiętać, że pierwszym składającym wizytę w tym dniu koniecznie musi być mężczyzna – i to mężczyzna zdrowy. Rozpoczęcie dnia od wizyty kaleki lub kobiety przyniosłoby pecha na cały rok.

A w drugim dniu świąt, tam gdzie w gospodarstwie oprócz gospodarzy pracowali wynajęci parobcy, panie domu dbały o obfity poczęstunek dla nich, tradycyjnie bowiem święty Szczepan był dniem w którym kończył się roczny kontrakt służby. Mówiono *na święty Scepan każdy sobie pan* i gdy ktoś ze służby odmawiał poczęstunku, tym samym zapowiadał, że będzie szukał gdzie indziej lepszej pracy. A że i służące w ten dzień zmieniały służbę, można było w Beskidach usłyszeć przyśpiewkę:

*Idą Gody, będzie płacu dosyć  
Będą gospodynie same wodę nosić.  
Same wodę nosić, same prać, gotować  
Będą gospodynie kucharek żałować.*

W tym dniu również święcono w kościołach owies, co było starym zwyczajem rolniczym, mającym przynieść obfite żniwa tego prastarego u naszych rolników zboża. W wielu okolicach młodzież męska wychodziła na chór kościelny i – ponoć na pamiątkę, że św Szczepan był kamieniowany – sypała z chóru owies na ludzi w kościele (oczywiście zwłaszcza na dziewczęta). Czasem zbytnicy do owsa dodawali też i nieco grochu, aby uderzenia były bolesne, bo przecież świętego Szczepana bolało, gdy padał nań grad kamieni, niech więc teraz na jego pamiątkę wierni też czują ból uderzeń.

Zboże pozostałe po uroczystości w kościele szło potem do gospodarstw służby kościelnej, toteż nieraz bywało, że z jednej strony proboszcz zwalczał to obrzucanie się owsem w kościele, a z drugiej kościelny i organista dbali o podtrzymanie zwyczaju.

Dawno już zanikła tradycja obchodzenia także trzeciego dnia Bożego Narodzenia – święta Młodzianków, w którym czczono pamięć dzieci pomordowanych z rozkazu Heroda. W tym dniu jedynie w południowej części pogranicza polsko-ruskiego czasem, i to coraz rzadziej, święci się w kościołach wino. Dawniej zwyczaj ten był bardziej rozpowszechniony, ale zaginął, jako że wino nie było w Polsce napojem zbyt często używanym. Uważano, że picie poświęconego wina gwarantowało zdrowie przez cały rok i zapobiegało otruciu, a dodanie paru kropli tego wina do paszy, zabezpieczało bydło przed czarami.

W nielicznych okolicach (np. na Pomorzu) już w ten wieczór pojawiają się pierwsi kolędnicy. Przeważnie jednak rozpoczynają składać życzenia w drugi dzień świąt, bądź też dopiero po świątach. Orszak kolędników zazwyczaj poprzedzany jest dużą, oświetloną od wewnątrz gwiazdą którą jeden z kolędników niesie na kij. Dziś, gdy w każdym domu jest elektryczność, w jasnym pokoju światło małej świeczki czy lampki elektrycznej umieszczonej w środku gwiazdy nie daje należytego blasku, wobec tego często gwiazdę wykonuje się z błyszczącego staniolu, odbijającego światło lamp. Oczywiście kolędnikami mogą być tylko chłopcy bądź młodzi niezonaci mężczyźni, zdrowi, a zwłaszcza nie mający jakiś wrzodów czy liszaji – bo tylko tacy mogą przynieść ze sobą pomyślność. Pozdrawiają domowników:

*Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!  
Na szczęście, na zdrowie, na to Boże Narodzenie,  
Żeby się darzyło w każdym miejscu wszystko stworzenie,  
W komorze, w oborze, co daj Panie Boże!*

Albo:

*Na scyńcie, na zdrowie,  
na tom Bożom wilijom,  
żebyście tu byli zdrowi i weseli  
jako w niebie janieli.*

Czasem życzenia są bardziej konkretne:

*Niek będzie pochwalony Jezus Krystus!  
Na szczęście, na zdrowie, na to Boże Narodzenie,  
Żeby się darzyło wszystko stworzenie  
Kurki cubate,  
Gąski siedlate,  
Panny pękate*

albo:

*Na szczęście, na zdrowie, na ten Nowy Rok!  
Aby was nie bolała głowa ani bok,  
Aby wam się rodziła i kopła  
Pszenica i jarzyca, żytko i wszystko,  
Abyście mieli w każdym kątku po dzieciątku,  
W stodole, w oborze, na polu – daj Boże!*

poczem informują domowników, że w Betlejem narodził się Chrystus i śpiewają kolędy. Oczywiście, życzenia składano nie tylko na wsiach, że zacytuję tu składowane przez biskupa Ignacego Krasickiego:

*Żyj lata matuzalemowe,  
Albo przynajmniej połowę  
A choćby i ćwierć dla igraszki,  
Dwieście lat i to nie fraszki.*

W gronie kolędników często spotyka się przebierańców. Śpiewającym kolędnikom zazwyczaj wtórował Żyd (który w tym przypadku zastąpił dawne duchy pól) i anioł, a do taktu czasem podskakuje rogaty turoń (czasem zastępowany przez mniejszą kozę) – przynoszący płodność kobietom i polom. Bowiem:

*Gdzie turoń chodzi, tam żytko rodzi,  
Gdzie turoń rogiem, tam żytko brogiem.*

Rolę turoń pełni chłopiec okryty płachtą lub kozuchem, trzymający w ręku osadzony na kiju drewniany, obity futrem potężny, rogaty łeb zwierzęcy, po pociągnięciu sznurka kłapiący ruchomą dolną szczęką. Oprowadza go zazwyczaj

Żyd albo dziad – często przebrany w kozuch przewrócony włosiem na zewnątrz i przepasany słomianym powrośtem. W czasie przedstawienia dochodzi do upadku, choroby, czy – najczęściej – do śmierci kozy, co powoduje lament oprowadzającego i jest okazją do przymawiania się o dary na leczenie kozy, po otrzymaniu ich koza naturalnie natychmiast zdrowieje.

Do postaci bardzo często spotykanych wśród przebierańców należy biały ubrany anioł oraz śmierć odgrywana przez wysokiego i chudego chłopaka,

w białej masce na twarzy, odzianego w biały strój, czasem zdobiony narysowanym na nim szkieletem.

Rola śmierci jest zrozumiała w obrzędach związanych z pamięcią o zmarłych, aczkolwiek – jak i inne postacie spośród przebierańców – odgrywa tu raczej rolę humorystyczną i nikt jej kosa nie traktuje poważnie. Przypuszczalnie w dawnych wierzeniach „ścinanie” kosą widzów przez śmierć, zabezpieczało ich od takiegoż ścięcia przez śmierć prawdziwą, było więc wróżbą długowieczności.

Ciekawa jest postać diabła, wydawałoby się niestosowna w okresie Bożego Narodzenia czy Nowego Roku, a więc w okresach, które chciałoby się spędzić jedynie w otoczeniu sił dobrych. Jednakże trzeba pamiętać, że ludowy diabeł, to nie groźny szatan, a mało szkodliwa psotna istota, z którą ludzie nauczyli się dawać sobie radę. W zespołach przebierańców diabły należą do najruchliwszych, płatających figle, straszących dzieci, pobrzękujących łańcuchami i dzwonekami zawieszonymi u pasa bądź też na ogonie. Dzwonki te jednak tylko pozornie służą do potęgowania hałasu, w rzeczywistości mają one paraliżować złe moce, jakie mogłyby tkwić w tych postaciach. Dzwonki zresztą są doczepiane do wszystkich postaci związanych z duszami zmarłych lub z potęgami niebezpiecznymi. Trzeba tu przypomnieć powszechną wiarę w magiczną moc dzwonek, których głos przepędza złe siły, rozpędza chmury gradowe, odgania zarazę...

Nadzwyczaj często występuje też niedźwiedź, uchodzący za prawdziwy postrach złych sił. Dziś zapomniano o jego dawnej roli potężnej istoty, pozostał pocziwy miś, strojący żarty, tańczący na rozkaz niedźwiedznika, pokazujący różne sztuczki.

Kolędnicy nie opuszczali żadnego domu, nawet jeśli był we wsi sklep lub karczma żydowska i tam trzeba było wstąpić, bo i Żyd był sąsiadem, aczkolwiek śpiewano mu tylko pieśni z życzeniami nie wspominając z jakiej przyczyny akurat w ten dzień życzenia składają.

Odwiedziny kolędników są dowodem życzliwości – wypada też im się odwdziżyć. Toteż przy odejściu kolędnicy żartobliwie upominają się o dary:

*Mości gospodarzu  
domowy szafarzu,  
nie bądź tak ospały  
każ nam dać gorzały.  
Trochę alembika  
i do niej piernika,*

*Mości gospodyni  
domowa mistrzyni,  
każ dać masta faskę  
i do niej kiełbasę.  
hej kolenda, kolenda!*

A do tych prośb nieraz dołączała się delikatna groźba:

*A jak nam co dacie,  
to za kolendę podziękujemy.  
A jak nie dacie to pójdziemy.  
Wszędzie będziemy głosić o skąpej kolędzie.  
Hej kolęda kolęda!*

Dziś w miastach bardzo często spotyka się skarłały zwyczaj kolędowania – po domach chodzą chłopcy z wyciętą z kartonu szopeczką, śpiewają jedną, najwyżej dwie kolędy i oczekują na datek.

Na protestanckich terenach Mazur pruskich, w wigilię Bożego Narodzenia dzieci szkolne pod kierownictwem nauczyciela chodziły po wsi i śpiewały pieśni religijne. Piękny ten zwyczaj, zwany „jutrznią na gody” zaginął w latach trzydziestych XX w., wytępiony przez Niemców, jako polski, przeciwdziałający germanizacji ludności mazurskiej. Próby reaktywowania „jutrzni” w okresie powojennym nie udały się, wobec niechętnego stanowiska nowych osadników uważających mazurskie tradycje protestanckie za niemieckie.

W wielu regionach Polski, tak po wsiach, jak i w mniejszych miasteczkach, robiono sąsiadom dowcipy w noc wigilijną, kradnąc dla żartu różne przedmioty, zamalowując okna czy wsadzając na dach wóz lub brony. Te, pozornie złośliwe psoty, są zabiegami magicznymi, mającymi uchronić sąsiadów od wszelkich złych wydarzeń, jakie by mogły ich spotkać z nadchodzącym rokiem. Po prostu, działa to jak szczepionka, niejako oszukuje się nimi złe siły, które są zmuszone uznać, że przydział zła na ten dom już się wyczerpał i one już nie mogą tu działać. A że takie rozebranie wozu, wciągnięcie go po cichu na dach i złożenie tam świadczy o sprawności psotników, to już zupełnie inna sprawa.

A w paru okolicach Polski zachował się aż do lat siedemdziesiątych XX wieku pradawny zwyczaj, że męska młodzież wiejska składała życzenia wjeżdżając do domów konno – oczywiście nie na kłaczach, bo one, jako istoty płci żeńskiej mogłyby przynieść pecha osobom, którym życzenia się składa. Cóż, konie coraz częściej zastępowane są przez traktory, a do nowoczesnych domów wjazd konno byłby chyba niemożliwy.

Specyficzną odmianą chodzenia po kolędzie było chodzenie z szopkami. Czasem (i najczęściej dziś w miastach) szopka była tylko swego rodzaju legitymacją kolędników chodzących od domu do domu, dawniej jednak szopka była sceną teatru, wywodzącego się z średniowiecznych misteriów. Według rozpowszechnionej legendy zwyczaj odgrywania scen z narodzenia Chrystusa miał zapoczątkować święty Franciszek, prawdopodobnie jednak jasełka takie były znane już wcześniej, a dopiero zakon franciszkanów rozpowszechnił przedstawienia szopkowe w całej katolickiej Europie. Podobnie jak i w innych krajach przedstawienia te w Polsce odgrywano w kościołach, przedzielając sceny poważne wesołymi, czasem rubasznymi.

Ślad kościelnej tradycji pozostał w bryle szopki, najczęściej przedstawiającej stajenkę pomiędzy dwoma wieżami kościelnymi. Dla ułatwienia noszenia i w związku rozbudowaniem formy szopki, proscenium, na którym występowały figurki, zostało cofnięte w głąb. Spowodowało to przeniesienie sceny Bożego Narodzenia na dobudowane piętérko.

Rozbudowuje się także treść przedstawienia, wzbogacana w liczne aktualia, zwłaszcza satyryczne (teatr satyryczny w Polsce, nieraz bezlitosny dla rządzących, do dziś organizuje swe przedstawienia pod nazwą szopki politycznej).

Jednakże właściwą istotą przedstawienia są elementy historii Narodzenia Chrystusa zmieszane z polskim folklorem. Do szopki śpieszą pasterze zbudzeni przez aniołów na tatrzańskich halach, pokazują się postacie krakowiaków, Twardowski przegania diabła, przewijają się scenki z rynku, policjanci, strażacy, kominiarze. Wszyscy śpieszą do Betlejem, jednakowo ludzie lubiani jak i wrogowie.

Jeden tylko naród do Betlejem nie dąży – ten który miał najbliżej, ale który czekał nie na maleńką Dziecinę, lecz na wielkiego władcę:

*Żydzi mówią: skąd Mesyjasz! To Pan nie nasz;  
Nie tak On psichodzi, jak w Biblii chodzi;  
My go czekamy wielkiego,  
Wy Go macie maleńkiego, winter Dzieciątko:*

Do dziś spotyka się teksty oparte na dawnych kantyczkach, a od początku XX wieku teksty jasełek często były opierane na „Betlejem Polskim” Lucjana Rydla – genialnie łączącym w sobie polskie treści narodowe z tradycjami jasełkowymi. Przed pierwszą wojną światową, po pobiciu polskich dzieci we Wrześni za odmowę mówienia pacierza po niemiecku, w rolę Heroda często wcielał się niemiecki cesarz Wilhelm I, a w okresie drugiej wojny w wielu domach odbywały się konspiracyjne przedstawienia jasełkowe, w których rolę Heroda przejmował Hitler a jego żołnierzy SS-mani, zaś „chłopcy z lasu” chronili przed nimi Maryję i nowonarodzonego Jezusa.

W poszczególnych regionach Polski rozwinęły się nieco różniące się między sobą typy szopek; najbardziej rozbudowane architektonicznie wykonywano w Krakowie. Czasem były to małe szopki, sprzedawane jako zabawki, ale budowano też duże, dochodzące do dwu metrów wysokości, przeznaczone do odgrywania jasełek. Tradycja budowania szopek zamierała w okresie międzywojennym, więc od 1937 roku Muzeum Historyczne w Krakowie organizuje konkurs szopek, wskutek czego zamierająca już tradycja nie tylko odżyła, ale wspaniale się rozwija. Ich twórcy stosują coraz to nowe materiały do budowy szopek a do występujących w nich postaci wprowadzają osoby aktualnie popularne, czasem papieża, czasem znanych piłkarzy. Zawsze jednak krakowskie szopki mają jedną cechę wspólną – muszą być zainspirowane architekturą Krakowa z jego licznymi wieżami, zwłaszcza z wieżą mariacką, często ozdobione białą czerwonymi chorągwiami lub polskim orłem. Także kilka innych miejscowości organizuje podobne konkursy – często wystawiane tam szopki oparte są na miejscowej architekturze i krajobrazie.

Noc z 31 grudnia na 1 stycznia zaczyna nowy rok kalendarzowy, więc trzeba spędzić ją wesoło, aby radosny i pomyślny był też nadchodzący nowy rok. W niektórych miejscowościach w sylwestrowy wieczór muzykanci chodzili wieczorem po domach, grając kolędy, a gospodynie piekły specjalne ciasteczka lub pierniczki zwane „szczodrakami” (od „szczodrych dni” jak nazywano okres między Nowym Rokiem a Trzema Królami) lub „nowolatkami”. Pieczywem tym następnie obdarowywały dzieci, które już wieczorem albo w sam dzień Nowego Roku przybiegały z życzeniami. Na Pogórzu Limanowskim w XIX wieku sypały one owsem w okno i śpiewały życzenia, do których dodawano prośbę o obdarowywanie „szczodrakami”:

*Niech będzie pochwalony Jezus Krystus!  
Na szczęście, na zdrowie, na ten Nowy Rok,  
aby nam Pan Jezus dał doczekać drugiego  
we szczęściu, we zdrowiu,  
we mniejszych grzechach,  
a we większych radościach,  
w Boskich miłościach,  
w oborze, w komorze.  
Powiadają chłopacki,  
zeście piekli scodracki,  
dajcie tyz i nam,  
nagrodzi wam Pan Jezus i święty Jan.*

Póki były we wsiach dwory, w wigilię Nowego Roku zbierali się fornele przed dworem i „wytrzaskiwali stary rok”, czyli strzelali z batów, składając w ten sposób życzenia dziedzicowi, czasem też rządcy, proboszczowi czy innym ważniejszym osobom we wsi. Na Huculszczyźnie nie ograniczano się jedynie do strzelania z batów. Górale wychodzili przed domy i gęstą palbą z fuzji albo z pistoletów żegnali stary i witali Nowy Rok,

Jednakże prawie w całej Polsce noc sylwestrowa przebiegała prawie niezauważalnie bądź była przemodlona w kościołach, huczne zabawy sylwestrowe weszły w modę dopiero niedawno. Dziewczęta pytały się duchów o przyszłość, podobnie jak w andrzejki, chłopcy czynili sąsiadom psoty jak w noc wigilijną. W Karpatach, a zwłaszcza w Beskidzie Żywieckim, obchodzenie Nowego Roku przyniesione z Bałkanów przez wędrujących stamtąd pasterzy, wysuwa się na pierwszy plan w całym cyklu bożonarodzeniowym. Tak ulice samego Żywca, jak i drogi w sąsiednich wsiach w tę noc roją się od licznych grup przebierańców składających się z dorosłej młodzieży męskiej, wśród których nie brak też ludzi od dawna żonatych, jak również młodych chłopaków.

Właściwy okres Bożego Narodzenia zamyka Święto Trzech Króli. W ten dzień, na pamiątkę darów, jakie ci królowie ofiarowali Dzieciątku, święci się kredę, kadzidło oraz złote obrączki. Kredą pisze się na drzwiach domów datę roczną oraz K+M+B, poprzedzielane małymi krzyżykami monogramy Kacpra, Melchiora i Baltazara, jak mieli się ci królowie nazywać (choć naprawdę te trzy litery stanowią skrót łacińskiego błogosławieństwa *Christus mansionem benedicat* – „Niech Chrystus błogosławi ten dom”). Święcona kreda służyła również jako środek przeciw czarom. Zamiast kadzidła czasem używało się jagód jałowca, które spalane również dają kadzidlany zapach. Natomiast na Kurpiach dodatkowo święci się w ten dzień gałązki jałowca, którymi następnie okadza się dom i oborę, aby w ten sposób zabezpieczyć obejście przed chorobami.

Z domów wynosi się snopy, które stały od wigilii, czasem likwiduje się choinki, chociaż często stoją one aż do 2 lutego – do święta Matki Boskiej Gromnicznej. W niektórych okolicach tylko do tego dnia chodzili po domach kolędnicy, w innych natomiast zmieniał się program kolędowania. Od Trzech Króli wyruszają „Herody” – wędrowny teatr, idący od domu do domu z przedstawieniem i ze śpiewem:

*Trzej królowie monarchowie  
Gdzie śpiesznie dążycie...*

a na dawnych Mazurach Pruskich śpiewano:

*Przyjechali Trzej Królowie z darami,  
Przyjechali do Jezusa Chrystusa.  
Po gwiazdach się miarkowali  
I nastraszyli trzech pasterzy przy drodze.  
Pytali się, gdzie sie Syn Boży narodził?  
Narodził się Syn Boży z Maryi Dziewicy.  
Synu Boży, daj nam ujrzeć Boskie lice.  
W Jordanie cicha woda stała,  
Tam panna Maryja Synecka skąpała,  
A skąpawsy do złobu Go włożyła.*

Liczba aktorów tego teatru jest zmienna. Główne role grają: król Herod, występujący zazwyczaj w czerwonym płaszczu, złotej koronie i z berłem



w rękę, marszałek, rzadziej zwany hetmanem, czasem w Polsce południowej, na terenie dawnego zaboru austriackiego, feldmarszałkiem, z mieczem w rękę i w efektownym mundurze, brodaty Żyd w długim czarnym płaszczu i z grubą księgą (*żydowską Bibliją*), śmierć i diabeł. W zasadzie ten zespół wystarczał, często jednak był uzupełniany o postacie drugoplanowe, żołnierzami, Turkiem, polskim ułanem (zawsze w wysokim czaku ułańskim), chłopcem niosącym gwiazdę, rzadziej również trzema królami i Herodową. A że rzecz dzieje się na dworze królewskim, obowiązują dworskie obyczaje. Przed wejściem do domu marszałek grzecznie prosi o pozwolenie odegrania przedstawienia (*panie gospodarzu, pani gospodyni, a czy każecie, czy też nie, rozweselić swój dom*), a dopiero po uzyskaniu zezwolenia orszak wchodzi, a marszałek prosi o krzesło dla króla. Od momentu, w którym król Herod usiądzie na krześle zaczyna się gra. Krzesło staje się tronem, z którego król wygłasza mowę, przedstawia się jako władca potężny, trzęsący całym światem, zwierzchnik innych panujących:

*Nie lękam się w świecie żadnej odmiany  
bo jestem król Herod i pan nad pany.*

To dobre królewskie samopoczucie ulega jednak nagle zachwianiu i to dosłownie: król stwierdza, że tron pod nim się chwieje. Chwyta go nieznanne dotychczas uczucie: strach. Woła marszałka i dowiaduje się od niego, że ponoć gdzieś narodził się nowy król żydowski.

Aby się dowiedzieć, gdzie się to stało, król wzywa do siebie żyda-rabina (ciekawe, że te dwa pojęcia łączą się tu w jednej postaci), który po wielu próbach wykręcenia się od jasnej odpowiedzi wyczytuje z książki, że fakt narodzenia nastąpił w Betlejem. Herod wysyła tam wojsko z rozkazem wymordowania wszystkich małych chłopców – po chwili wchodzi marszałek i melduje, że rozkaz został dokładnie wykonany, nie oszczędzono nawet królewskiego syna.

Król rozpacza i woła:

*Oj biada, biada mnie Herodowi  
Utraponemu wielce królowi.*

Ale gdy po niego przychodzi śmierć, próbuje za wszelką cenę przedłużyć sobie życie. Śmierć \ jednak nie daje się przebłagać ani przekupić, macha kosą, a diabeł, wołając:

*Królu Herodzie  
za twe zbytki,  
idź do piekła  
boś ty brzydki!*

porywa Heroda do piekła.

W niektórych okolicach Polski ten schemat bywa znacznie wzbogacony o elementy niezwiązane z właściwą treścią przedstawienia. Na przykład Turek walczy z żołnierzami Heroda ubranymi w fantazyjne czapki ozdobione choinkowymi bombkami. Nieroztrzygniętą walkę przerywa Herod, stwierdzając, że nie ma ona sensu, bo obaj walczący są poganami. Na to przybywa polski ułan, który w walce ginie, a zespół śpiewa ludową pieśń o śmierci żołnierskiej i o kwiecie który wyrósł na samotnym grobie. Ten pozbawiony logiki motyw powstał prawdopodobnie z nawarstwienia się na stare, wywodzące się jeszcze ze średniowiecznych misterii przedstawienie o królu Herodzie, tradycji pol-

skich walk z Turkami oraz z rozbudzenia uczuć patriotycznych w drugiej połowie XIX wieku.

Jeszcze przez cały styczeń przewijają się wspomnienia o Bożym Narodzeniu, jeszcze w kościołach śpiewa się kolędy, jeszcze w domach stoją choinki. Ten okres poświąteczny trwa 40 dni – bo wg prawa żydowskiego w czterdziestym dniu po urodzeniu dziecka zanoszono je do świątyni, aby ofiarować nowonarodzonego Bogu. I w 40 dni po Bożym Narodzeniu, 2 lutego wypada jedno z najstarszych świąt maryjnych – święto Matki Bożej Gromnicznej. Ludzie przynoszą z kościołów zapalone świece, symbol Panny Maryji. Zaczyna się nowy okres roku obrzędowego. A za 10 miesięcy nadejdzie adwent – i rozpoczną się przygotowania do ponownego uczczenia najpiękniejszego naszego święta.

\*

Takie były tradycyjne święta. I takie nosimy je wszyscy w swoich sercach. Ale były też i inne. Znany jest obraz Jacka Malczewskiego „Wigilia na Syberii”. Wokół pustego stołu siedzi grupa mężczyzn, niektórzy mają głowy oparte na rękach, twarze wszystkich są bardzo smutne. Widać, że myślami są daleko – że wspominają dom rodzinny, światła na choince, łamanie się opłatkiem z najbliższymi.

Ten obraz przedstawia zesłańców z czasów carskich. Ci mężczyźni wiedzą, za co zostali wywiezieni na Syberię, wiedzą, że Syberia jest karą za dążenie do wolnej Ojczyzny, do wyrwania jej z rąk Moskali. Każdy z nich stanął kiedyś przed wyborem – służba Ojczyźnie, choćby i za cenę zesłania lub śmierci, lub zgoda na rosyjskie panowanie. Wybrali.

Dziś Jacek Malczewski mógłby namalować inny obraz. Przy pustym stole siedzi grupa osób – mężczyzn, kobiet, małych dzieci. Dobrze, jeśli zamiast opłatka mają kromkę chleba, aby się nią podzielić. Im nikt nie dawał prawa wyboru – zesłanie było karą za zbrodnię urodzenia się Polakiem.

Różne były wigilie zesłańców, czasem musiały być zakonspirowane, utajnione zarówno przed kierownictwem kołchozu czy łagru jak i przed tamtejszymi żulikami-donosicielami. Czasem miejscowe władze udawały, że nie wiedzą, dlaczego zesłańcy w ten wieczór gromadzą się, nie widzą zielonej gałązki przybitej do ściany baraku, nie słyszą cicho nuconych kolęd, a nawet pozwalały kończyć nieco wcześniej pracę.

Lecz życzenia – i tych z czasów carskich, i tych z czasów sowieckich były jednakowe: aby przeżyć i aby w następne święta przełamać się opłatkiem – już w Polsce. I zaśpiewać pełnym głosem:

Podnieś rękę Boże Dziecię  
Błogosław Ojczyznę miłą...

---

---

## ZESŁAŃCZE WIGILIE

W trudnym życiu syberyjskich zesłańców znaczone głodem i chłodem, ciężką pracą, aresztowaniami oraz prześladowaniami, kłopotami ze zdrowiem, a częstokroć śmiercią, raz po raz pojawiały się jeszcze inne przykre dla nich doświadczenia. To wszystko w miejscu oddalenia od stron rodzinnych, przy trudnych warunkach bytowych na zesłaniu nie sprawiło jednak, że nie zapominali oni o świątecznych tradycjach, w których wyrosli. Wiadomo, że wszelkiego rodzaju praktyki religijne były na zesłaniu zabronione, a niejednokrotnie za ich uprawianie groziły surowe kary i różne szykany. Mimo to, nie porzucili oni wyznawanej religii, a można nawet powiedzieć, że właśnie w tych trudnych warunkach zesłańczego losu wiara ta odradzała się, i w niej odnajdywano nadzieję na lepszy los oraz powrót do kraju.

Religia była jedną z najważniejszych sfer wyraźnie wpisanych w biografie wygnańców. Potwierdzenie tego odnajdujemy w zesłańczych wspomnieniach, a przywołane poniżej opisy syberyjskich wigilii w pełni tę prawidłowość potwierdzają. W zależności od warunków lokalnych świętowanie to przybierało różny charakter. U jednych dzielono się kawałeczkiem czarnego chleba, u drugich opłatkiem przysłanym z kraju. Nierzadko wigilię uświetniała mała choinka ozdobiona łańcuchami i gwiazdkami „zrobionymi z sowieckiej gazety”, kiedy indziej znowu kładziono na stole biały obrus zabrany w pośpiechu w noc deportacji. Bywało też, że przyslaną wcześniej z kraju mąkę pozostawiano by przygotować z niej wigilijną potrawę.

Zawsze zgodnie z tradycją odmawiano pacierz przed podzieleniem się opłatkiem, wspomniano rodzinę pozostałą w kraju, składano życzenia, a uczestników wigilii łączyła przyjaźń, wzajemna troska i dobroć. Lektura wspomnień Sybiraków pozwala dostrzec wielość form wigilijnych spotkań, które pokazują nieraz jak emocjonalnie odczuwano rozdzielanie rodziny. Nierzadko bowiem było tak, że mężowie i ojcowie byli wcześniej aresztowani i nic nie wiadomo o ich losie. W sybirackich narracjach wiele jest odniesień związanych troską o ich los. „Gdy podzieliśmy się opłatkiem, wyszłam na chwilę z lepianki na dwór i patrząc w roziskrzone niebo uleciałam myślami do domu we Włodzimierzu Wołyńskim, gdzie w sierpniu 1939 roku żegnałam męża, gdy zmobilizowany wyruszał do swojej wojskowej jednostki” – wspominała jedna z uczestniczek takiej wigilii. Inna znowu wyznała, że „patrząc w kazachstańskie niebo myślałam o Tatusiu, kierując ku niemu życzenia by połączył się z nami i napisał choć list.” W taki czas zabronionego świętowania w wielu oddalonych od siebie syberyjskich i kazachskich posiadłościach śpiewano *Bóg się rodzi*, *Lulajże Jezuniu* czy *Dzisiaj w Betlejem*. Tak więc wśród udreńczonych codziennością zesłańców, w czas syberyjskiej zimy i chłodu obchodzono w skrytości Święta Bożego Narodzenia wyzwalające nadzieję przetrwania i wiarę w Bożą opiekę. Z cytowanych poniżej wypowiedzi wynika, że mimo trudnego życia na zesłaniu święta te odczytywane są jako jedne z ważnych wyróżników więzi rodzinnej i lokalnej zesłańczej społeczności oraz wpisują się wyraźnie w przestrzeń relacji międzyludzkich połączonych wspólnym losem niewoli.(anku).

\*

### *Bez zgody na świętowanie*

Przed świętami Bożego Narodzenia grupa naszych rodaków udała się do komendanta z prośbą o dzień wolny od pracy, chociaż w pierwszy dzień uroczystości, który zobowiązaliśmy się odpracować. Komendant przyjął ich dość zycz-

liwie, lecz oświadczył, że nie może uwzględnić tej prośby, ponieważ rozmawiał w tej sprawie ze swoim zwierzchnikiem i on kategorycznie się temu sprzeciwił<sup>1</sup>.

S. Paluch

\*

### *Wspólna kolacja*

Na święta Bożego Narodzenia każą nam iść do roboty. My na to, że to są nasze święta i my chcemy je świętować. Przynieśliśmy w wigilię choinkę z lasu, ubraliśmy ją papierami. Zrobiliśmy wspólną kolację – każdy coś dał. Podzieliliśmy się chlebem jako opłatkiem. Potem zaczęliśmy śpiewać kolędy i inne pieśni religijne. A w naszym baraku mieszkał komendant. Nasze pieśni bardzo mu się podobały. Początkowo krzyczał, że nie wolno śpiewać, ale potem zmiękł<sup>2</sup>.

S. Niegodzińska

\*

### *Choinka ze świeczkami*

Z razowej mąki mama ugotowała dużo pierogów nadzianych samymi ziemniakami (nie mieliśmy cebuli ani tłuszczu). U nas miały się zebrać Polki z dziećmi, bo tylko my miałyśmy choinkę ze świeczkami [małą, sztuczną, przysłaną przez rodzinę z kraju i bardzo sympatyczną gospodynię, która była od początku Polakom przyjazna. [...] Każdy przyniósł opłatek otrzymany z kraju. Życzenia – jedno – abyśmy następne święta Bożego Narodzenia spędzili w Polsce, razem z rodzinami. Zapalone malutkie świeczki na choince, kolęda przez łzy, *Lulajże Jezuniu*, śpiewana cichym drżącym głosem...<sup>3</sup>

T. Bugajska

\*

### *Nie odczuwaliśmy nastroju radości*

Nadchodzące święta Bożego Narodzenia przywołały falę wspomnień. Tym razem jednak nie odczuwaliśmy zwykłego nastroju radości, towarzyszącego tym uroczystym dniom. Pierwsza wigilia na obczyźnie, tysiące kilometrów od rodzinnej ziemi, w strasznym, niegościnnym kraju, przepojona była nieopisanym smutkiem. Matka przygotowała stół wigilijny – położyła na sąsiedku walizkę i nakryła ją białym prześcieradłem jak obrusem. Nie było opłatka, więc połamaliśmy się czarnym przydziałowym chlebem. Czarny chleb był też jedynym daniem wigilijnym. Musiał zastąpić 12 tradycyjnych dań. Nie było choinki. W migotliwym, znikającym świetle „koptiłki” widziałam wynędzniałe, chorobliwie już wychudzone twarze staruszków-teściów, Danusi i Ili. Mroczny motyw godny pędzla Grottgera w jakimś nowym patriotycznym cyklu pokazującym męczeństwo Polaków na Sybirze w XX wieku, jakaś „Wigilia na zesłaniu”... Panowała cisza. Nie śpiewaliśmy kolęd. Przygnębiający, wyciskający łzy nastrój, przyjście doktor Cernerowej. Znowu podzieliliśmy się chlebem jak opłat-

<sup>1</sup> *Wspomnienia zesłańca*, [w:] *Polacy w Rosji mówią o sobie*, wybór i wstęp ks. E. Walewander, Lublin 1993, s.67.

<sup>2</sup> *Życie codzienne polskich zesłańców w ZSRR w latach 1940-1946. Studia*. Pod redakcją S. Ciesielskiego, s. 69.

<sup>3</sup> *Życie codzienne polskich zesłańców*, op. cit. s. 278.

kiem, porozmawialiśmy o smutnym losie. Potem Pani doktor zaproponowała mi, abyśmy we dwie odwiedziły dr Wasilewską. Droga była ciężka. Wiatr pędził tumany śniegu, sypiącego w oczy, przylepiającego się do twarzy. W wyziębionej, mrocznej izbie „świętowała” samotnie wigilię pani doktor. Przyjęła nas słowami „mam chleb”. Gdy jadłyśmy po kawałku bielszego chleba, z drugiej izby wysunęła się jej córeczka, przebrana w strój krakowski – od dawna niewidziany, czysto polski, piękny akcent w szarej smutnej codzienności<sup>4</sup>.

W. Niezgoda-Górska

\*

### *Śpiewaliśmy kolędy*

Nadeszła syberyjska Gwiazdka pełna wspomnień z kraju. Siedzieliśmy nad jakąś zupą łamiąc się lepioską (plackiem pieczonym na gorącej blasze), która zastępowała nam opłatek; przy małej brzoźce (bo drzewek iglastych nie było), udekorowanej różnymi papierkami i łańcuchem zrobionym ze skrawków gazety, słuchając opowiadań Mamy o Polsce, kolędnikach, ojcu, bo ciągle spodziewaliśmy się, że go spotkamy. Marzyliśmy o przyszłości, o powrocie do ojczyzny, śpiewaliśmy kolędy<sup>5</sup>.

Z. Zimny

\*

### *Wigilijna szopka*

Stała trochę na uboczu, za wielkim nasypem śniegu, gdzie już kłęzczała gromadka ludzi. Ktoś świecił naftową latarnią, taką, z jaką chodzi się w nocy do stajni. W jej żółtym plasku zobaczyłam wyżłobioną w śniegu grotę. W grocie – drewniane świńskie korytko, a w nim lodowaty Jezusek z wybałuszonymi koraliłowymi oczkami. Obok niego lodowa Matka Boska w lisurze na głowie, święty Józef z sękatym kijem, w kozuchu i baranicy. W głębi groty – nieco wystraszone, autentyczne dwa barany i owca. [...]. Było narodu dość. Starzy i młodzi. Ci, co wierzyli, i ci, co w nic nie wierzyli. W futrach i łachach. W pimach i drewnianych trepach owiniętych słomą. Wszyscy – jednakowo skrzywdzeni. Okradzeni z ojczyzny. „Bóg się rodzi! Moc truchleje...”. Ku samotnej gwiazdzie poprzez śniegi i burany szły zziębnięte głosy wygnańców. [...] Kostniały nam ręce. Drętwiały palce. Mróz ścinał oddechy. Mimo to ludzie nie odchodzili. Śpiewali. Gięli kolana. Śnieg topniał od łez<sup>6</sup>.

M. Łęczycka

\*

### *Wigilia w łagrze*

Aby nie narażać się na karcery i szykany, modliliśmy się indywidualnie, uwzględniając miejscowe bieżące warunki – podczas pracy pod ziemią w kopalni, na powierzchni przy hałdzie węgla, na pryczy w baraku. Do Polaków, przebywających w innych łagrach, w dni naszych większych świąt, słałiśmy

<sup>4</sup> W. Niezgoda-Górska, *Dosyć nam Sybiru, dosyć Kazachstanu*, Wrocław, s. 53-54.

<sup>5</sup> *Zachować od zapomnienia. Pamiętnik syna zestańca*, Archiwum Naukowe Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego we Wrocławiu, sygn.23/s, s. 32.

<sup>6</sup> M. Łęczycka, *Zsyłka. Lata 1940-1946 w Kazachstanie*, Wrocław 1989, s. 98-99.

konspiracyjnie listy, życzenia, pozdrowienia. W myśl chrześcijańskich zasad i narodowej tradycji podtrzymywaliśmy na duchu i krzepiliśmy serca nadzieją powrotu do Polski

Oto jeden z takich listów, które rozesłałem do kilku łagrów, do przebywających w nich Polaków z okazji wigilii Bożego Narodzenia:

„Za oknem zima, mróz. Bezmiar śniegu. Północny wiatr dmie i łomocze w ściany baraku. Wycie śnieżnej zawieji zakłóca wieczorną ciszę. Jeden niby z wielu workuckich wieczorów. Jednak ten dzisiejszy wydaje się jakiś inny, smutniejszy, pobudzający do refleksji i zadumy. Gra na strunach wspomnień, sięga do dna ludzkiej duszy. Odgłos szalejącego wiatru tym razem brzmi jak głos osieroconego dziecka, jak groźny protest porozrzucanych po całym świecie siostr i braci jednej, wielkiej, polskiej Rodziny”.

List do braci i siostr wyrwanych ze swych rodzinnych domów i rozrzuconych na przestrzeni tysięcy kilometrów w głąb nieludzkiego, bezbożnego kraju. Jedyłą ich winą była miłość do Ojczyzny – Polski, o której wolność walczyli ofiarnie z najeźdźcami, nie żądając w zamian dla siebie niczego.

W baraku powietrze było duszne, stężone potem katorżniczych ubrań i umęczonych oddechów. Zdawało się, że piersi przygniatał ból ludzi całego świata. Wyszedłem na zewnątrz a ostry mróz przylgnął wnet chciwie do mojego ciała. Lodowatymi szpilkami kłuły twarz miotane wichrem płatki śniegu, łagodząc częściowo wybuchły bunt serca. Niby do serdecznego uścisku rozwarłem szeroko ramiona. Wysoko nade mną zwisał ciemnosiny, wiejący chłodem baldachim nieba łagodząc częściowo wybuchły gwałtownie bunt serca. Patrząc w tę obcą i zimną przestrzeń zdawało mi się, że widzę swoje, polskie, nad ukochanym Wilnem rozpostarte niebo. Rzeczywistość była jednak inna, przepojona tęsknotą, ludzką niedolą, polską dziejową krzywdą. Myślami znów uleciałem w rodzinne strony wileńskie.

Nowy podmuch wiatru uderzył ponownie w policzek jak snopem mroźnego śniegu. Wróciła świadomość od tyłu już lat trwającego położenia – workucki łagiernik z wypisanym na plecach kurtki numerem – U728. Znów zrobiło się niezwykle zimno. Za gardło ścisnął żal za utraconym światem i wolnością. Przejmujące zimno kazało wrócić do baraku. Wszyscy spali już znużeni po całodziennym, niewolniczym trudzie. Poczułem się sam, jakby nikogo więcej oprócz mnie w tej chwili tu i na całym świecie nie było. Siadłszy na swojej więziennej pryczy myślałem mimo woli – co za dzień mamy dzisiaj, że tak się rozkleiłem dając się porwać wspomnieniom i sentymentom. Z daleka, niby z zamierzchłej, dawno przeżytej przeszłości, z nic nie określonego bliżej miasta i domu wznosiła się, rosła i płynęła tak dobrze znana mi od dzieciństwa, a jakże droga sercu pieśń:

*Bóg się rodzi, moc truchleje,  
Pan niebiosów obnażony...*

Była więc to wigilia Bożego Narodzenia. Przeżywałem ją jakby podświadomie, w oderwaniu od Ojczyzny i rodzinnego domu. W pełnej samotności i odosobnieniu. Dawne obrazy tradycyjnego obrządku spożywanej w domu rodzinnym wigilii starty się w zderzeniu z tragiczną rzeczywistością otoczenia. Cieszyć się nie mogłem, a nekająca nerwy rozpacz daleka była mojej naturze. Tylko bezsilną niemocą zwarte ręce mówiły jakby bezradnym gestem – Matko Boska Ostrobramska przyjdź mi z pomocą!

Dookoła, w promieniu niemal tysiąca kilometrów, ciągnęła się śnieżna, surowa i obca do bólu pustka. Na zatroskane serce kładła się obezwładniająca niemoc. Był to już bowiem jedenasty rok mego pobytu w łagrach Workuty, stale odczuwanego głodu, cierpień i poniżenia, a przede wszystkim jedenaście lat nie spełniających się wciąż nadziei.



Matka Boska z dzieciątkiem. Rysunek Czesi Hnatówny. Workuta 1956 r.  
(P. Świetlikowski, *Gulag Workuta. Raport oficera Armii Krajowej*,  
Warszawa-Wrocław 1997).

Stojąca obok szafka była pusta. Leżący na niej cieniutki plasterk chleba był symboliczną wymową łagrowej niedoli. Jednak w ten wyjątkowy wieczór nabrał on znaczenia szczególnego. Stał się symbolem polskiej wigilijnej wieczerzy. Był jednocześnie i opłatkiem, a spożywając go z niezwykłym namaszczeniem składałem w duszy najbliższym mi osobom świąteczne życzenia. W uszach brzmiały jeszcze pierwsze przed wieczerzą słowa modlitwy Ojca: „Boże, pobłogosław te dary, które my dziś spożywać mamy”. Słyszałem wciąż słowa śpiewanej kolędy: *Bóg się rodzi, moc truchleje, Pan niebiosów...* Myśli znów uleciały do Wilna<sup>7</sup>.

P. Świetlikowski

\*

### *Zabrane dzieciństwo*

24 grudnia 1940 r. Mama napiekła „kołaczyków”. Chleb siedzi w piecu od rana i jest surowy. Za słabo ogrzaliśmy piec.

Jest sałatka z fasoli z ziemniakami i cebula, ryż na słodko z olejkiem ananasowym (niech żyje Pani Irenka) Julek pożyczył samowar od Kati Drobowej, sąsiadki z drugiej strony.

Po generalnym myciu i czesaniu Maćka, wyciągnęliśmy odświętne ubrania i Julek poszedł po Panią Zofię Bielską, która przyniosła miejscowy przysmak – kułage, tj. zupę z podkiełkowanej i lekko przefermentowanej pszenicy, która przypomina w smaku zupę jabłeczną. Podzieliliśmy się opłatkiem, złożyliśmy życzenia, a później uczta. Pierwszy raz w życiu wypiałam trochę wódki. Nie płakaliśmy, bo była Pani Zofia i trochę nawet żartowaliśmy. Nie było to szczerze. Palila się „koptilka” i przy małym światełku jedliśmy naszą drugą kolację wigilijną bez Tatki, i pierwszą na zesłaniu. Ile jeszcze? Przypomniałam sobie obraz Malczewskiego „Wigilia wygnańców”. Wyraz twarzy siedzących wokół nędznego stołu i otoczenie było podobne do naszego, tyle, że tam byli sami mężczyźni, a tu same kobiety i dzieci.

Nie ma koło nas strojnej choinki, nie ma rozradowanych dziecinnych buzi. Zabrano nam dzieciństwo. Już nie jesteśmy dziećmi<sup>8</sup>.

H. Kierska

\*

### *Wigilia bez choinki*

Zbliżało się Boże Narodzenie. Aby uzyskać jakieś oficjalne zwolnienie poszłam razem Bogusiem do szkolnego, młodego felczera, skarżąc się na ból gardła. Felczer wziął łopatkę z watą umoczoną w oleju i jodynie, wysmarował nasze gardła i dał nam zwolnienie.

Wracając na farmę myślałam o zesłorocznych świętach – radosnych, szczęśliwych, spędzonych pod rodzinnym dachem. Tak jeszcze niedawno, bo zaledwie dziesięć miesięcy temu, spędzaliśmy je smutnie, ale jeszcze pod własnym dachem. Nigdy wtedy nie przyszło się nam, że następne będziemy ob-

<sup>7</sup> P. Świetlikowski, *Gułag Workuta. Raport oficera Armii Krajowej*, Warszawa-Wrocław 1997, s.153-156.

<sup>8</sup> H. Kierska, *Kędy kazachski step... Dziennik deportowanej 1939-1946*, Wrocław 2009, s. 108.



chodząc w dalekim Kazachstanie, na syberyjskich stepach w głodzie i chłodzie. Jak to dobrze, że los i przyszłość człowieka jest nieznana, pomyślałam i czy miałby odwagę, wiedząc co go czeka, trzymać się kurczowo życia?

Po powrocie do lepianki oświadczyłam: że mam zwolnienie na święta. „Jakie święta” – pytały dzieci. „Czy będzie choinka i czy gwiazdka coś nam przyniesie?” – chciała wiedzieć Martusia. Takie ładne dziecko z dużymi brązowymi oczami i włoskami jak złota pszenica. „nie, nie w tym roku, może na drugi” – odrzekłam. „My już nigdy ni będziemy mieć choinki – one tu nie rosną! Nic tu nie rośnie” – krzyknął Boguś. „Ale gdy wrócimy do Polski, to będziemy znów mieć wszystko!” „Nie! Nieprawda. Nie wszystko! – nie będzie już Ryśka, jest zakopany w stepie nieżywy” – krzyczał dalej z gniewu. Usiadłam na łóżku w milczeniu, a dzieci już nie zadawały żadnych pytań.

Kiedyś wieczorem, gdy prosił mamę o więcej zupy, a nie dostał, bo nie było, zwrócił się do niej, mówiąc: „dlaczego mnie urodziłaś?” To pytanie przerażało nas, było ono bowiem krzykiem rozpaczyny małego, siedmioletniego chłopca, którego bezwzględny los obdarł z dzieciństwa.

W dniu wigilijnym, kiedy wszystkie matki wróciły po pracy do lepianki, każda z nich ociągała się z robieniem posiłku, odsuwając czas tej emocjonalnej chwili, która niedługo miała nadejść. Pani Marta zawsze taka szybka długo szperała w swoim kufunku, szukając białej serwety i pokryła nią płaską powierzchnię pieca, służącą za stół. Wyszłam na poszukiwanie gdzieś w stodole sianka. Pani Maria szukała na dnie worków sucharów, a macocha piekła „lepioszki”, czyli placki z mąki i wody. Na białej serwecie na środku „stołu”, na sianku leżał kawałek białego, suchego chleba, a na blaszanym talerzu suchary. Nie było pustych miejsc czy krzesel dla nieobecnych, były tylko dwie stare skrzynki. Gdzieś daleko za górami, stepami i lasami, tysiące kilometrów stąd były stoły, a przy nich puste miejsca dla nas. Był na pewno biały opłatek, którym symbolicznie dzielili się z nami i były też gorące łzy, jak i tu, spływające po twarzach. Odmówiliśmy modlitwę i biorąc kawałek chleba dzieliliśmy się, życząc łask i miłosierdzia bożego. Zaczęliśmy nawet śpiewać *Wśród nocnej ciszy...*, ale słowa kolędy ugrzęzły w zaciśniętej krtani i zamieniły się w głośny szloch. A nocą, kiedy już wszyscy leżeli pod kocami, myśli nasze wyrwały się z lepianki i popędziły do rodzinnych domów, mężów, ojców, przyjaciół, aby się połączyć z nimi tej świętej nocy, cichej nocy, prosząc urodzonego Jezusa o łaski zmiłowania<sup>9</sup>.

Z. K. Kawecka

\*

### *Wigilia w stepie*

25 grudnia 1940 roku. Nadeszły Święta Bożego Narodzenia. Są to już drugie smutne Święta. Obecne jeszcze smutniejsze, bo w tym roku przynajmniej wiedziałyśmy, gdzie jest nas Ojciec. Można mu było zanieść kolację wigilijną i po kryjomu przesłać życzenia. Poza tym byliśmy wszyscy w kraju. Teraz rodzina nasza została tam, a my jesteśmy aż w Azji, a o Tatusiu w ogóle nic nie wiemy.

Pani Fiedlerowa od dawna już postanowiła coś na Święta upiec. W lecie jeszcze dostała w paczce trochę miodu i powideł, ale zostawiła to na specjalną

<sup>9</sup> Z. K. Kawecka, *Do Anglii przez Syberię*, Wrocław 1994, s. 106-107.

okazję. Na dwa dni przed wigilią rozpaliliśmy w piecu piekarskim i pani Anna upiekła cztery bochenki chleba, dwa pierniki i jeden placek z powidłami. My ze względu na minimalną ilość mąki, nie mogłyśmy nic upiec. Za to Pani Fiedlerowej pomagałyśmy z przyjemnością. Ponieważ umiem już miesić ciasto, sama przygotowałam ciasto na placek.

Wieczorem w dzień wigilii Wacek przyszedł z roboty wcześniej, bo udał przed kierownikiem, że źle się czuje, inaczej nie byłby go zwolnił. Kolacja wigilijna składała się z klusek z bielszej mąki i ryby. Spory kawałek wybornego piernika, jak również placka, które dostałyśmy od Pani Fiedlerowej, uświetniły menu. Na zakończenie „podano” tradycyjną kutię, bez żadnych dodatków poza miodem – była świetna. Oczywiście śpiewaliśmy polskie kolędy, które pogłębiały nasz smutek. Każda z nas na pewno myśлами wracała do dawnych wigilii, kiedy to po kolacji Ojciec zasiadał do pianina grając kolędy, a my koło niego śpiewałyśmy. Nie mówiłyśmy jednak o tym głośno nie chcąc rozdrażniać naszej wielkiej rany, zwłaszcza, że Mamusia podczas kolacji i tak połknęła niejedną łezkę. Przyszły nam na myśl wigilie polskich zesłańców po powstaniach<sup>10</sup>.

A. Sobota

\*

### *Gwiazdki z papieru*

Święta były bardzo ważne i matka je kultywowała, ale to było związane jednocześnie z obchodami rosyjskiego Nowego Roku, bo to było tak jak gdyby tylko przykrywka. My czcimy pod tym święta Bożego Narodzenia. Wszyscy wiedzieli, że to święta Bożego Narodzenia, ale oficjalnie mówiono o Nowym Roku. Choinkę robiliśmy z... nie wiem, jak to się po polsku nazywa, ale to jest taka roślina, która po wysuszeniu robi się taka kłębiasta i toczy się przez pole. To miało jakieś, tam listeczki, kwiatki. My to zbieraliśmy i paliliśmy tym w piecu. My robiliśmy też z tego choinkę. To się dekorowało. Matka robiła gwiazdki. Gwiazdki robiła z papieru. To było nie do pomyślenia w tych warunkach, bo papieru tam po prostu nie było. Otóż matka wycinała z książki lekarskiej takie paski i robiła z tego gwiazdki. Myśmy byli zachwyceni! Ta książka jest o tyle dla mnie ciekawa, że jak teraz ją otwieram, to widzę te powycinane marginesy<sup>11</sup>.

\*

### *Składaliśmy sobie życzenia*

Spotykaliśmy się na święta. Było nas tam parę rodzin. No to żeśmy się spotykali, sosenkę wycięli, czymkolwiek ubrali i zrobiliśmy sobie choinkę. I były święta. Bo żeby jakieś ciasto piec na święta, to nie było mowy, bo nie było z czego. Tyle, że po prostu pomodliliśmy się. Ani prezentów się nie robiło, bo nie było z czego. Po prostu sobie życzenia się złożyło i koniec. To były takie święta<sup>12</sup>.

<sup>10</sup> A. Sobota, *W stepach Kazachstanu. Wspomnienia z lat 1939-1946*, Warszawa – Wrocław 1993.

<sup>11</sup> A. Rzepkowska, *Sybiracy: Wspólnota – Pamięć – Narracja. Studium antropologiczne*, Łódź 2009, s. 116.

<sup>12</sup> Ibidem, s. 116.

\*

**Mama przewodziła modlitwie**

Skromnie było. Na Wigilię placek zamiast opłatka się piekło na blasze. W gronie rodziny to było, czasem z innymi Polakami spotykaliśmy się. Zawsze chodziło o to, żeby trochę czyściej wyglądać. Nie było tych strojów wiele, bośmy nie mogli wziąć bagaży dużo. Wszystko było zniszczone, połatane... Żeby się uspokoić, paciorek zmówić, modlić się – przede wszystkim to było najistotniejsze. W czasie świąt mama najczęściej to robiła, że przewodziła tej modlitwie, że łzami w oczach. Wszyscy mówili ten paciorek. To nie były takie święta jak teraz. Z religii nam się śmiano, nie było cerkwi w tej miejscowości<sup>13</sup>.

\*

**Wigilia w kazachstańskim stepie**

Wigilia Bożego Narodzenia wypada we wtorek. Są to równocześnie Adasia imieniny, składamy życzenia. Dziś spalamy więcej kiziaków niż przewiduje nasza codzienna norma. Rozchodzi się ciepło. Patrzymy i nie wierzymy własnym oczom – mamusia wysypuje na stół, białą piękną mąkę, specjalnie zachowaną na ten dzień, jeszcze z paczki. Wyrabia ciasto na kluski. Pani Kulikowska ma trochę topionego masła, a także cebulę. Stół nakrywamy serwetą, kładziemy sianko, na środku krzyż i książeczka do nabożeństwa, opłatek z Ojczyzny i kaganek zamiast świecy. Do miseczek nalewamy barszcz z białych buraków. Jest kawałeczek chleba i pieczony makuch. Bardzo uroczysta wieczera. Stoimy wszyscy wokół stołu (8 osób), dwie rodziny polskich oficerów. Czynimy znak krzyża i zaczynamy modlitwę. – Odczuwamy Twoją obecność, Panie Jezu, pośród nas. Dzielimy się opłatkiem ze łzami w oczach, składamy sobie życzenia serdeczne, płacząc. Myślimy o naszych najbliższych, o mężach i ojcach w Murnau i Starobielsku. Jaka jest ich wigilia. Myślimy o naszej Ojczyźnie, podzielonej między dwóch wrogów, o tym, co przezywają nasi rodacy. Z pewnością nie jest im łatwo. Barszcz wyśmienity, a za chwile na stół wjeżdżają w czogunie białe kluski z przyrumienioną na maśle cebulką. Na deser kompot z suszu owocowego. Wystarczy jadła dla wszystkich i nie będzie wydzielane. Za oknem siarczysty mróz, a my zaczynamy śpiewać kolędy. Pierwsza z nich to „*Wśród nocnej ciszy*”

Z życzeniami idziemy do naszych sąsiadów, łamiemy się opłatkiem, nie omijamy także żydowskiej rodziny Hornów. Przychodzą dalsi sąsiedzi z lepianek, a pani Hornowa przynosi nam dwie świece na stół, stoiczek miodu i kilka orzechów dla Jędrusia.

Wychodzę na chwile za próg domu, spoglądam na niebo usiane gwiazdami. Może i tatuś patrzy na nie, może więc razem wypatrujemy tej jedynej, prowadzącej do ojczystego Betlejem. – Jestem przy tobie, ojcze, dla kochających serc nie ma granic, nie ma odległości.

Chwila zadumy. Dobrze, że jest cicho, nie ma wiatru i zamieci, tylko z oddali słychać skrzypiący śnieg, widocznie ktoś idzie. Szybko wracam,

---

<sup>13</sup> Ibidem, s. 117.

w izbie jeszcze ciepło. Choć mróz przyozdobił nasze okno srebrzystymi kwiatami, nie jest on jednak naszym sprzymierzeńcem. Śpiewamy dalej kolędy, wszystkie jakie znamy. Jędrus uradowany – jak dzisiaj miło. Kiziaki powoli dogasają, a ja z Basią wchodzimy na piec i zagłębiamy się w przepisy kulinarne. Pierwszy idzie na warsztat tort czekoladowy, a potem makowy, najbardziej tęsknimy za ich właściwym smakiem. W Ojczyźnie śpieszą już na Pasterkę, oni też będą modlić się przez łyzy. Jędrus usypia na twardej pryczy, trzymając w rączce laleczkę z papieru, którą dziś otrzymał od nas w prezencie.

W pierwszy dzień świąt Zbyszek nie idzie do pracy (brygadier dał mu wolny dzień). Obiecał nam, że będzie opowiadać wiele ciekawych wydarzeń ze swego życia. Siedzimy w pobliżu pieca, słuchamy z przejęciem. Uśmiecha się do swoich myśli, do wspomnień tamtego czasu i do nas. Mówi bardzo obrazowo i pięknie. Na obiad gotujemy ziemniaki. Wieczorem zapalamy na stole świece, płomyki ich migoczą, jak kiedyś na choince. Nagle z za okna dochodzi do nas piękny śpiew: „*Gdy się Chrystus rodzi i na świat przychodzi*”. To nasi młodzi kolędnicy uprzyjemniają nam święta. Zapraszamy ich do izby. Po chwili idą dalej. Zbyszek dołącza do nich.

Mija drugi dzień świąt. Czy następne święta będą już w wolnej Ojczyźnie? I znów pytanie bez odpowiedzi. Mamusia układa pasjansa, przypatrujemy się, czy wyjdzie. Nie wyszedł.

– Mamusiu, a co pomyślałaś?

– Nieważne.

I zaczyna układać na nowo.

W izbie zimno, nie możemy sobie pozwolić na ciągłe podkładanie pod kuchnię. Nastrój świąteczny minął, wróciła szara codzienne rzeczywistość, walka o przetrwanie<sup>14</sup>.

B. Piotrowska-Dubik

\*

### *A tzy płynęły wszystkim z oczu...*

W okresie Świąt Bożego Narodzenia dzieci przygotowywały różne ozdoby na choinkę, łańcuszki ze słomy, pajace ze skorupki jaj. W Permogorze, w kantorze, udało się kupić kilka świec i kolorową bibułę. Wszystko to dokonywano w wielkiej tajemnicy. Wigilia Bożego Narodzenia 1940 roku – pierwsza na zesłaniu na nieludzkiej ziemi, na dalekiej północy. Mama upiekła cieniutkie naleśniki, które zastąpiły opłatek. Z lasu przynieśliśmy piękną choinkę, którą ubraliśmy łańcuszkami ze słomy i kolorowych papierków oraz kilkoma ciastkami upieczonymi przez mamę. Cała rodzina zasiadła przy stole nakrytym białym obrusem. Zaproszono trzy osoby samotne. Po złożeniu życzeń, łamiąc się opłatkiem, wspominaliśmy wigilię w Polsce, po czym modliliśmy się, by Boża Dziecina ratowała nas w tej biedzie i pozwoliła wrócić do wolnej Ojczyzny: *Ojczyznę wolną racz nam wrócić Panie!*

Na wieczerzę mama przygotowała zupę grzybową, rybę smażoną, kisiel z jagód i każdemu ciastko. Po kolacji około godziny ósmej wieczorem udaliśmy się wszyscy do klubu, gdzie moi bracia i inni młodzi zesłańcy, także siostra Anna i córki kierownika leśnego zakładu, ubierali choinkę w łańcuszki z kolorowego

<sup>14</sup> B. Piotrowska-Dubik, *Kwiaty na stepie. Pamiętnik z zesłania*, Warszawa 1997, s. 77-78

papieru, zaś na górze umieścili aniołka zrobionego przez nauczycielkę z naszego łagru. Zapalono świece. Wkrótce była pełna sala zesłańców z dziećmi. Zaczęto śpiewać kolędy, a łzy płynęły wszystkim z oczu, gdy śpiewano: *Podnieś rączkę Boże Dziecię*, zmieniając tekst na: *Wróć nam Ojczyznę miłą i wróć nas do Niej!* Z braku miejsc w klubie wielu zesłańców stało na zewnątrz, śpiewając kolędy. Przyszła też cała władza obozu, naczelnik, enkawudziści, ale nie interweniowali. Ktoś zanucił kolędy po ukraińsku *Boh Predwicznyj*, którą większość ludzi знаła z Polski od ludności ukraińskiej. Do północy trwały śpiewy kolęd i pieśni nabożnych. O północy gwiazda polarna zabłysła na niebie w całej swojej krasie. Mówiono: Ona to wskazuje swymi blaskami miejsce narodzin Dzieciątka Jezus!

W Nowy Rok 1941 ponownie zebrano się w klubie, gdzie przymusowo wysłuchaliśmy przechwałek na temat władzy sowieckiej i jej wodza – Stalina. Po wysłuchaniu tej mowy otrzymaliśmy po 300 g. białego chleba, zupę mięsną i kaszę ze słoniną – dar władzy sowieckiej. Składano sobie życzenia i odśpiewano kilka kolęd, m.in. *Nowy Rok bieży*. Wspominano tych, co zmarli w obozie i już nigdy nie wrócą do Ojczyzny, zapomniani na nieznaną, wrogią ziemi<sup>15</sup>.

S. Lasek

\*

### *Podobnych wigilii było sześć*

Był rok 1941. Zbliżała się wigilia Bożego Narodzenia, już druga w Kachach. Była uboższa od poprzedniej, ponieważ większość przywiezionych rzeczy, które można było sprzedać lub wymienić na artykuły niezbędne do przetrwania, mama już to zrobiła. A najważniejsze z nich były trzy: żywność, głównie chleb, mąka, jaglana kasza, opał oraz jakieś ciepłe okrycie i obuwie, najlepsze to walonki, w których na dwór wychodziliśmy na zmianę. Mieszkaliśmy na samym skraju „Posiołka nr 27”, kilkadziesiąt kilometrów od Akmolińska (obecnie Astana). Wokół pusty bezdrzewny step. Na drugim obrzeżu osiedla rzeka Iszym – jedyne źródło wody do wszystkiego.

W końcu października zaczął padać śnieg i w miarę upływu czasu stale go przybywało. Ubywało natomiast dni do wigilii. O choince nie było mowy, bo żadne drzewa tam nie rosły. Ale już wcześniej ktoś wpadł na pomysł żeby choinkę zrobić z „koluczki”. Jest to roślina gęsta, kulista, podobna do szarlatu. Jesienią gdy wyschnie stepowy wiatr zrywa ją i pędzi po stepie.

A więc będzie, chociaż taka choinka. Takie dwie koluczki jedna na drzewie przycięte na kształt jodełki wyglądały zabawnie, ale rozczulały, bo były symbolem czegoś wielkiego, wzruszającego. Na wigilię przystrojona w jakieś łańcuchy ze słomy, gliniane figurki, trochę kolorowych gałganków przemysłnie pociętych, rybnie łuski na nitkach, zebrane latem i pomysłowo popręczone ptasie pióra. Nam dzieciom podobała się, chociaż była zupełnie inna niż ta zielona w dawnym domu. Tutaj domem było w glinianym baraku pomieszczenie o powierzchni jakieś kilkanaście metrów kwadratowych, które zajmowały trzy rodziny liczące dziesięć osób.

Śniegu przybywało i na wigilię baraki były przysypane do połowy. Małe okienko w naszym pomieszczeniu pokryło się cienką wzorzystą warstwą szronu, który zaczął wchodzić też na części ścian z zewnątrz nie przykryte śniegiem.

<sup>15</sup> S. Lasek, *Wspomnienia Kresowiaków – Sybiraków*, „Zestaniec”, nr 53/2012.

Choinkę przystrajaliśmy wszyscy a dzieci z wielką ciekawością oczekiwały jutra, bo przecież kiedyś w domu pod choinką zawsze coś było. No i wreszcie nadszedł oczekiwany wieczór wigilijny. Do późnego popołudnia nasze mamy były w pracy, moja w piekarni a pozostałe dwie przy wialniach pszenicy. Wieczorem byliśmy już wszyscy razem. Nie wyglądaliśmy pierwszej gwiazdki bo tu nawet niebo było jakieś inne, smutniejsze od naszego polskiego.

Wigilię rozpoczęliśmy modlitwą. Były w niej błagania o wszystko, co potrzebne jest do przeżycia. Składane życzenia były u wszystkich takie same, zdrowia i szybkiego powrotu do Polski. Oplątkiem był chleb. Następnie posiłek wigilijny. Boże, jakże różny od tych dawnych. Była ryba, ugotowana, którą starsza młodzież łowiła w Iszymie i obdzielała nią polskie rodziny. Był krupnik jaglany z jakimiś jarzynami, okraszony łuskanymi i zgniecionymi ziarnami słonecznika, jakieś niby ciastka, marchewki. A pod choinką wyczarowane przez nasze kochane mamy placki z jarzynami. Trzeba było widzieć uśmiechnięte buzie dzieci – tyle jedzenia!

Mama pożyczyła od sąsiadów gitarę. Umiała na niej grać i miała ładny głos. Rozpoczęło się śpiewanie kolęd. Piękne melodie i słowa sprawiały, że przestał załamywać się głos, wysychały życzeniowe łzy i chociaż przez chwilę zapominało się o miejscu i sytuacji w jakich byliśmy.

Nagle, kolędowanie przerwało stukanie w okno i zobaczyliśmy w nim światełko kaganka. Chuchaniem roztopiliśmy szron na szybie i zobaczyliśmy uśmiechnięte twarze starszych dzieci oraz małą szopkę. Zaśpiewali kolędę i odeszli. W ten wieczór byli pod wszystkimi polskimi oknami. Widok szopki, łzy wzruszenia i uścisk matczynych rąk wywołały u mnie i moich sióstr takie gorące, dziecinne marzenia – żeby zawsze było dosyć chleba, żeby wrócić do domu i spotkać się z tatą i żeby mama nie musiała płakać. Marzenia ziściły się po ponad sześciu latach. Odtąd, w rodzinnym gronie w wigilię razem z oplątkiem dzieliliśmy się zawsze szczyptą czarnego chleba<sup>16</sup>.

Z. Butkiewicz

\*

### *Wigilie na nieludzkiej ziemi*

Wiele jest smutnych przeżyć z mego sześcioletniego pobytu na zesłaniu syberyjskim w latach 1940-1946. Moje wspomnienia ograniczę do dwóch wigilii z roku 1940 i 1941. Bardzo smutna była szczególnie moja pierwsza wigilia na zesłaniu. Barak był długi około 60 m, a w nim piętrowe prycze, ustawione w cztery rzędy. Między pryczami było sześć piecyków żeliwnych, które miały służyć do ogrzewania i gotowania. W baraku tym mieszkali zesłańcy, a wśród nich niemowlęta i starcy. Ktoś miał świecę, może gromnicę. Zapalono ją. Zabrzmiała kolęda *Wśród nocnej ciszy*, a potem dodano słowa *Wśród mroźnej, syberyjskiej nocy*. Nie był to jednak śpiew. Był to głos jęku i płaczu. Był to głos wołający do Boga o miłosierdzie, o uwolnienie z nieludzkich warunków bytowania. Dzielono się chlebem, razowiakiem, przyniesionym z obozowego sklepiku. Składano sobie życzenia zdrowia, przetrwania i powrotu do Ojczyzny, Polski. A według słów komendanta obozu, o Polsce należało zapomnieć. Szloch

<sup>16</sup> Relacja przysłana do redakcji „Zesłańca” jako odpowiedź na apel dotyczący opisu syberyjskiej wigilii.

i płacz słychać było bardzo długo w baraku, a szczególnie płacz dzieci dodawał bólu zesłańcom.

Nastał rok 1941. Niemcy napadli na Związek Radziecki. W obozie komendant zwołał zebranie zesłańców i oznajmił: „Jesteście wolnymi ludźmi i możecie się poruszać po całej azjatyckiej części Związku Radzieckiego.” Władza jednak zachęcała do pozostania na miejscu. Obiecywano różne udogodnienia. Moi rodzice w porozumieniu z bratem ojca Andrzejem, wybrali nowe miejsce pobytu, gdzie było przedsiębiorstwo produkujące terpentynę. Obiecywano tam lepsze warunki życia, co okazało się jednak nieprawdą. Po kilku miesiącach zakład zamknięto. Nastąpiła mroźna zima, a o zmianie miejsca pobytu i pracy nie mogło być mowy, bowiem do najbliższej stacji kolejowej Kamarszaga było ponad sto kilometrów. Zbliżały się święta Bożego Narodzenia 1941 r. Dwie rodziny przebywały w mieszkaniu o powierzchni około 20 metrów. Były to dwa małżeństwa w tym pięcioro dzieci: ja piętnastoletni i najmłodsza siostra trzyletnia. Przed rodzinami stanęło widmo głodu. W tej sytuacji moja matka z ciotką Stefanią, wczesnym rankiem w dzień wigilii, wzięły ostatnie ubrania przywiezione z Polski i poszły do odległej około 15 km osady, aby wymienić je na żywność. Dzień ten okazał się dla nas zbawiennym. Matka trafiła w tej osadzie na ludzi o czułym sercu. Opowiedziała im o naszym losie i losie pozostałych na wygnaniu Polaków i o święcie Bożego Narodzenia. Rosjanie, sami biedni Sybiracy, podzielili się, czym mogli, chlebem, mąką, zamrożonym mlekiem, ziemniakami, a nawet kawałkami słoniny i mięsa. Ojcowie przynieśli z tajgi choinkę. My, dzieci ubraliśmy ją w ozdoby wykonane z papieru gazetowego i z książek rosyjskich. Nasze polskie książki przechowywaliśmy jak relikwie. Matki wróciły bardzo późno. Zmęczone, ale zadowolone. Po chwili odpoczynku przygotowały wigilijną kolację. Los sprawił, że Boże Dziecię i na Syberii narodziło się na nowo. Wieczera była bowiem, błogosławiona i radosna z powrotu matek i przyniesionej żywności. Szczególnie smakowała nam zupa na mleku z kluskami i ziemniakami. Na początku wieczery były oczywiście modlitwy, życzenia i kolędy.

W polskiej tradycji było i jest, że podczas wieczery wigilijnej powinno na stole być jedno wolne nakrycie. Tam jednak go nie było, ale wydarzyło się coś, co warte było uwagi w mojej pamięci. Gdy wieczerza dobiegała końca, ktoś zapukał do drzwi. Stryj Andrzej wstał od stołu, otworzył drzwi i padło pytanie: „Czy tu mieszkają Mendzelowie?” Wszyscy wstali, otoczyli przybysza, który okazał się podobnie, jak my, zesłańcem ze Stubna, pow. Przemyśl. Był to Łukasz Kazieczko. Przywitaliśmy go, ugościliśmy i przyjęliśmy na nocleg. Skąd przyszedł i gdzie się udał do dziś nie wiem. Byłem dzieckiem. Wrócił do Polski, był nawet u rodziców, a tamten wieczór wigilijny wspominał ze łzami w oczach. Tamta wigilia potwierdza, że i na Syberii są dobrzy ludzie, Rosjanie i łaska Boska jest wszędzie.

Następne wigilie były podobne, choć jakże często smutne, bo bez ojca. Został on bowiem powołany na wiosnę 1943 roku do wojska, do Dywizji im. Tadeusza Kościuszki<sup>17</sup>.

*J. Mendzela*

---

<sup>17</sup> Relacja przysłana do redakcji „Zesłańca” jako odpowiedź na apel dotyczący opisu syberyjskiej wigilii.

\*

**Wigilia zesłańców polskich w Kazachstanie. Atbasar – 1941 r.**

Byłem deportowany w wieku ośmiu lat z Opsy pow. Braśław, woj. wileńskie. Od sierpnia 1941 r. mieszkałem wraz z matką i braćmi w miejscowości Żaksy w Kazachstanie. Kobiety, Polki, bo one stanowiły większość dorosłych zesłańców, pracowały tam przy budowie kolei szerokotorowej. Powiększały i podwyższały nasypy dla podwójnych szlaków kolejowych. Była to magistrała kolejowa Akmolińsk – Kartały, łącząca huty Magnitogorska z zagłębieniem węglowym w Karagandzie. Do dziś pamiętam okrzyk kierownika robót przy podnoszeniu szyn: „Raz, dwa, wzięli – puć padniali!”

Miejscowość Żaksy, podobnie, jak inne miejscowości w tej części Kazachstanu, znajdowała się w bezkresnym stepie. W czasie pobytu w Kazachstanie zapomniałem, jak wyglądają rosnące drzewa. Kobiety wyładowywały z platform kolejowych piasek i kamienie. Następnie ten materiał przenosiły na specjalnych nosilkach i ubijały na nasypach. Wszystkie te prace wykonywały ręcznie, bez żadnej, choćby prymitywnej mechanizacji. Była to, jak dla kobiet, ciężka praca w upale stepowego klimatu, w dodatku, bez możliwości umycia się po wyciskającej pot, ciężkiej pracy. O wodę, jak to w stepie, było trudno. Rzadkie studnie w lecie wysychały. Długie baraki, ziemianki, stanowiące mieszkanie dla 40-50 osób, nie dawały warunków do umycia się, nawet w miednicy. Większość rodzin nie miała, zresztą, miednic, bo albo nie wzięła ich z domu w godzinie aresztowania i deportacji, albo już wymieniła je na mąkę, czy ziemniaki. Czy kobiety miały tam warunki do intymnego umycia się, w tak zagęszczonym baraku? Nie miały. Czyniły to najczęściej, kiedy już było ciemno. Baraki nie miały, jak to w stepie, żadnego oświetlenia.

Kiedy było w miarę ciepło, było możliwe wykonanie normy pracy. A wykonanie normy dawało podstawę do otrzymania kartki na chleb i zupę tzw. *pajok*. Wobec zbliżającej się zimy, większość kobiet zatrudniono przy budowie tzw. *śniegozaszczytów*. Kopały one wzdłuż linii kolejowych doły o dwumetrowej głębokości. Na platformach przywożono potężne bale drewniane. Polki przepychały platformy na torze i zrzucały te bale, przy pomocy łomów, obok nasypu. Potem słupy te wstawiano do dołów wykopanych łopatami i kilofami. Do nich przybijano deski, tworząc dwustronny płot wokół nasypu. Płoty te miały zabezpieczać tory, w okresie zimy, przed śnieżnymi zawiejami. W zimie często występowały tam śnieżne burze tzw. burany, trwające bez przerwy przez kilka dni.

Nagle, w październiku przysła mroźna, choć jeszcze bezśnieżna, stepowa zima. Ziemia zmieniła się w litą skałę. Doły pod słupy można było kopać tylko przy pomocy kilofa. Moja mama, o wzroście 1,5 m, nie mogła wykonać normy, przy kopaniu tych dołów. Po pracy kobiety wręcz padały ze zmęczenia. Tylko konieczność utrzymania przy życiu swych dzieci zmuszała je do wysiłku, do trwania w tej egzystencji. Niemal wszystkie Polki były tam z dziećmi. Większość dzieci, powyżej 14 lat pracowała, jak np. mój czternastoletni brat, Mirosław. Wynikało to z konieczności, bo osoba pracująca otrzymywała na kartki o 200 g chleba więcej. Pozwalało to w pewnej mierze zaspokoić głód. Słabsze, w wyniku niedożywienia, kobiety bardzo często nie wykonywały wyznaczonej przez tzw. proraba (kierownika robót) normy.



W końcu władze odcinka robót w Żaksach doszły do wniosku, że trzeba pozbyć się tych słabych kobiet, które ze swoimi dziećmi w dodatku, zajmują miejsca w baraku. Na początku grudnia, w czasie mroźnej zimy kazachstańskiej, odesłano w wagonie towarowym pięć kobiet z dziećmi do Atbasaru w obwodzie akmolińskim. Tam okazało się, że miejscowe władze nie wiedziały o tym transporcie kobiet z dziećmi, a w barakach-ziemiankach, nie było dla nich miejsca. W ten sposób zostaliśmy skazani na piekło egzystencji w wagonie towarowym, w czasie surowej zimy. Mrozy dochodziły wówczas do 30-40 stopni. Żaden z naczelników w Atbasarze nie chciał podjąć decyzji, co zrobić z tym transportem kobiet z dziećmi. *Wy nam nie nużny!* („Wy nie jesteście nam potrzebne!”) – mówili i to była jedyna ciągle powtarzająca się odpowiedź naczelników różnego szczebla w Atbasarze.

Nikogo nie interesował los tych nieszczęśliwych kobiet. Tak, jakby to one same, dobrowolnie przyjechały do Kazachstanu. – „Nam potrzebni robotnicy, a nie kobiety z dziećmi. A miejsc w barakach nie mamy” – mówili przedstawiciele miejscowych władz. Niepracującym kobietom nie wydano kartek na chleb i zupę, w myśl sowieckiej zasady: *kto nie rabotajet, tot nie kuszajet* („kto nie pracuje, ten nie je”). W tych warunkach głodowej egzystencji, w niedającym się ogrzać wagonie towarowym, w grudniowe dni 1941 r. obchodziliśmy wigilię i Boże Narodzenie.

Święta Bożego Narodzenia, a z nimi wigilia, to najbardziej rodzinna uroczystość w polskich domach. Rodziny gromadzą się przy stole, by złożyć sobie życzenia z okazji Święta Narodzenia Chrystusa. W jakże innych warunkach przyszło świętować tę wigilijną uroczystość polskim zesłańcom w dalekim Kazachstanie w 1941 r. Przez sześć długich lat zesłania, wszystkie święta Bożego Narodzenia znikły z mojej pamięci. Wszystkie one, bowiem były jednakie. Kobiety Polki, jak w każdy inny dzień szły do pracy. Dzieci zaś biegły z ziemianek w kolejki po chleb i zupę na kartki. Dni świąteczne niczym nie różniły się od pozostałych dni na zesłaniu.

Wigilia 1941 r. wyjątkowo utkwiała mi w pamięci, gdyż był to czas nadziei na powrót z więzień i łagrów ojców i bliskich. Tamtą wigilię zapamiętałem również dlatego, że świętowaliśmy ją w towarowym, bydłowym wagonie, na dalekiej bocznicy kolejowej – stacji Atbasar, w obwodzie akmolińskim (obecna nazwa Astana). Wagon towarowy zwyczajny, jak w Związku Sowieckim, służący do transportu więźniów i zesłańców. Po dwóch stronach wagonu drewniane prycze z nieheblowanych desek, na środku piecyk metalowy, okrągły. Drzwi odsuwane na rolkach, stale w zimie przymarzały. Do otwierania ich służył żelazny, zresztą – skradziony łom. Po wielokrotnych uderzeniach łomem w drzwi, rolki przesuwały się, co umożliwiała częściowe ich otwarcie. W takich warunkach, w czasie mroźnej zimy, mieszkało pięć polskich kobiet z dziećmi. Dzieci było dziewięcioro: najstarsze miało czternaście lat, najmłodsze były dwie trzyletnie dziewczynki. Zima, jak to w grudniu w Kazachstanie – mróz niemal stale w granicach 30-40 stopni i wiejący stepowy wiatr. Jak wspomniałem w wagonie był okrągły piecyk metalowy, na którym, z trudem można było ustawić dwa garnki, aby coś ugotować. Kobiety z wagonu, kupiły na bazarze przemarzniętą na kość kapustę i gotowały ją na piecyku. Węgiel do piecyka był kradziony. W poświacie palącego się w piecyku ognia widać było oszronione lodem łby śrub, tkwiących w deskach wagonu. Świeciły one niczym

gwiazdy na firmamencie niebieskim. Te prawdziwe gwiazdy były niewidoczne. W wagonie dwa małe, zamrożone okienka, pokryte były grubą warstwą lodu. Dwa pozostałe były zabite deskami.

Kiedy kapusta ugotowała się, zeszliśmy z pryczy, okutani we wszystkie ubrania i płaszcze i zbliżyliśmy się do piecyka. Brat zapalił dwa łuczywa, wycięte z desek pryczy, by oświetlić wagon. Kobiety składały sobie i dzieciom życzenia. Nie pamiętam, żeby którakolwiek życzyła powrotu do wolnej Polski. To było zbyt dalekie i nierealne w tym bezkresnym, stepowym kraju. Wśród życzeń i marzeń tych zesłańców było otrzymanie miejsca w jakiegokolwiek ziemiance, oraz powrót mężów i ojców z więzień i łagrów, lub choćby najmniejsza wiadomość o ich życiu. Rolę opłatka spełniał kawałek chleba, łamany na drobiny.

Brat położył na skraju pryczy małą wiązkę słomy, którą znalazł gdzieś na bazarze. Wiązka tej słomy miała spełniać rolę siana pod obrusem na polskich wigilijnych stołach. Tak zapamiętał tradycję wigilii ze swego rodzinnego domu na Wileńszczyźnie. Po zjedzeniu kapusty, matki położyły się z dziećmi na pryczach. Otuliły je, czym miały. Przytuliły, by w nocy, w czasie snu – nie zamarły. Tak minął wigilijny wieczór zesłańców w wagonie w Atbasarze w 1941 r. O czym mogły myśleć te usypiające dzieci kobiety, matki, wywiezione w bezkresne stepy Kazachstanu za to tylko, że były Polkami. Ojcowie tych dzieci do 1939 r. umacniali swą pracą i służbą państwo polskie. Niektórzy z nich, gdy przyszedł wrzesień 1939 r. bronili Polski przed agresorami. To w świetle sowieckich praw było przestępstwem, za które trzeba było ukarać deportacją, wydziedziczyć z Ojczyzny ich żony i dzieci. O jednym tylko myślały te usypiające matki, jak utrzymać przy życiu te przytulkone do nich dzieci. Z głębi serca błagały o to Jezusa i Ostrobramską Matkę Miłosierdzia. Czy utrzymały je potem przy życiu? Nie znam losów tych rodzin z wagonu. Dalsze przemieszczenia zesłańców rozdzieliły nas bezpowrotnie. Wspomnę tylko, że w ciągu sześciu lat zesłania w Kazachstanie, naszej rodzinie zmieniano miejsca pobytu przeszło dwadzieścia razy. Dla zesłańców polskich nadchodziły jeszcze cięższe miesiące i lata 1942-1946. Lata ciężkiej pracy, głodu, chłodu i tyfusu, który dziesiątkował polskie rodziny.

Oto nazwiska matek, Polek z tego wagonu: Szczepańska z dwiema dziewczynkami, Grochulska z dwoma chłopcami, Leszkiewiczowa z trzyletnią córeczką, Danusią, Michalska z trzyletnią córeczką, Danusią i Paszkiewiczowa z trójką chłopców<sup>18</sup>.

Z. Paszkiewicz

\*

### „Przy pustym stole...”

Nadeszły święta Bożego Narodzenia, które niczym się nie różniły od dnia powszedniego, jedynie pamięcią sięgaliśmy do uroku tych świąt w domu. Wigilia zgromadziła nas wszystkich przy pustym stole, pomodliliśmy się, nawet opłatka nie mieliśmy i nie bardzo co było postawić na stole, abyśmy mogli spożyć wspólną kolację, bo tak istotnie było. Porozmawialiśmy tylko przy lampie naftowej, mężczyźni mówili o polityce<sup>19</sup>.

T. Sitarek

<sup>18</sup> Relacja przysłana do redakcji „Zesłańca” jako odpowiedź na apel dotyczący opisu syberyjskiej wigilii.

<sup>19</sup> T. Sitarek, *Wspomnienia z Syberii*, Archiwum Naukowe Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego (dalej AN PTL), sygn. 17/s, s. 11.

\*

**„Choinka bez zabawek...”**

Były też wieczory tęskne, płacziwe i wieczory radosne. Pierwsza wigilia na Syberii. Choinka bez zabawek, a na stole wigilijnym małe kawałki chleba – dla każdego, nawet dla nieobecnego ojca i siostry. Kawałki cebuli, ząbki czosnku i gorąca zupa z prawdziwymi ziemniakami. To prawdziwe święto. Dlaczego moja mama taka smutna? Dlaczego moje starsze siostry płaczą? Przecież tyle jadła na stole, tyle dobroci przyniósł Święty Mikołaj. Wszyscy śpiewamy kolędy – aż nagle stukanie do drzwi. Stoją w drzwiach okutane w chustki rosyjskie kobiety. Przyszły zobaczyć nasze Boże Narodzenie, prawdziwy święty obrazek jawnie powieszony na choince, krzyżyk ułożony z kawałków drzewa. Płaczą! Spod chust wyłaniają się kosze pełne jedzenia: chleba, marchwi, kwaszonej kapusty, ziemniaków, cebuli, mleka. To naprawdę sprawił Święty Mikołaj! W moich oczach Święty Mikołaj ma postać kobiet, które pozostawały w ten wigilijny wieczór z nami słuchając dziecięcego śpiewu kolęd w nieznanym im języku. Widziałam ich roziskrzone oczy wpatrzone i zasłuchane w opowieści mojej matki o innym świecie, o wolności, i innym życiu tam daleko w jej ojczyźnie, gdzie walczą ich mężowie, synowie, przyjaciele. Walczą, ale za jaką przyszłość? Ach, jaka była ich radość, kiedy na pożegnanie tego wieczoru otrzymały obrazki świętych. Chowały te relikwie głęboko za pazuchy. Od tego pamiętnego dnia przychodziły często do mojej matki po rady i pocieszenie, po wróżby z gwiazd o lepszym jutrze<sup>20</sup>.

D. Nowakowska

\*

**Marzyliśmy o przyszłości, o powrocie do Ojczyzny...**

Nadeszła syberyjska Gwiazdka pełna wspomnień z kraju. Siedzieliśmy nad jakąś zupą łamiąc się „lepioską” (plackiem pieczonym na gorącej blasze), która zastępowała nam opłatek; przy małej brzoźce (bo drzewek iglastych nie było), udekorowanej różnymi papierkami i łańcuchem zrobionym ze skrawków gazety, słuchając opowiadań o Polsce, kolędnikach, ojcu, bo ciągle spodziewaliśmy się, że go spotkamy. Marzyliśmy o przyszłości, o powrocie do Ojczyzny, odtwarzaliśmy oczyma naszej wyobraźni zagubionego wspomnienia kraju, który jawił mi się jako duży szklany dom pełen światła; rzeczywisty obraz był już słabo widoczny, zacierała go istniejąca rzeczywistość i moja dzieciństwo. Śpiewaliśmy kolędy, które nasza gospodyni zaproszona na wieczerzę bardzo dziwnie rozumiała, pomimo, że ikona wisiła w jej izbie i często żegnała się przed nią trzema palcami w sposób prawosławny. Jej religijność była szczątkową pozostałością po rodzicach. Władza sowiecka zabraniała praktyk religijnych, toteż w żadnej z miejscowości nie było cerkwi, a religijność i wiara w Boga były wyśmiewane, jednak w wielu rosyjskich duszach była ukryta<sup>21</sup>.

Z. Zimny

\*

<sup>20</sup> D. Nowakowska, *Oczami dziecka*, AN PTL, sygn. 25/s, s. 6-7.

<sup>21</sup> Z. Zimny, *Zachować od zapomnienia. Pamiętnik zesłańca*, AN PTL, sygn. 23/s, s. 22-23.

### *Moja pierwsza wigilia na Syberii*

Jest grudzień 1941 roku. Mam dwanaście lat, jestem z mamą na Syberii. Nasz obecny adres to: Krasnojarski Kraj, obwód Aczyński, rejon Szadryno, wieś Ammała – kolchoz „Zawieyty Iljicza”. Tutaj, w tym kolchozie zakończyła się nasza podróż: trzytygodniowa w bydłonym wagonie i trzydobowa przeprawa furmanką przez tajgę. Podróż, która zaczęła się w nocy 20 czerwca 1941 roku na stacji Baranowicze po aresztowaniu mojego ojca i odczytaniu przez oficera NKWD decyzji o „przesiedleniu nas w głąb Związku Radzieckiego na okres 20 lat”. Trwa wojna niemiecko-sowiecka, która rozpętała się zaledwie dwa dni po naszej deportacji. Na razie mamy poza sobą szokujące zderzenie z nową rzeczywistością: pracowite lato na kolchozowych polach przy plewieniu ostów, sianokosy, rąbanie „czurek” do traktorów, sprzątanie i bielenie magazynów zbożowych przed zwózką nowych plonów. Minęły też jesienne wykopki ziemniaków i buraków cukrowych. Tegoroczna praca w kolchozie zakończona. Teraz należy przygotować się do zimy. Z otrzymanego za nasz trud przydziałowego ziarna robimy na żarnach mąkę i kasze. W zamian za rzeczy kupujemy od kolchoźników ziemniaki, warzywa i cebulę. Za radą tubylców zaopatrujemy się w „pimy” wykonywane przez specjalistów zwanych „pimokatami”. Są to grube buty do kolan, wykonane z kilku warstw gręplowanej owczej wełny, poddane następnie specjalnym procesom technologicznym. Niezbędne są ponadto duże wełniane chusty na głowę. Z tym jest problem, ale potrzeba matką wynalazków. Mama rozpruwa nasz kaukaski materac, wyjmując potrzebną ilość białej wełny, którą następnie babuszka Zakrzewska grępluje a potem snuje na kołowrotku cieniutką nić. Obie z mamą wykonujemy z niej na drutach duże kwadraty dzianiny, a pani Gryblewska wykańcza je koronkowym szlakiem. Garderobę mamy uzupełnia futro zabrane z Baranowicz, ja przymierzam kurtkę mojego o dziewięć lat starszego brata. Wprawdzie sięga mi niemal do kostek, ale za to jest ciepła (podszyta lisimi łapkami, z małym kołnierzem). Ściągnięta paskiem skutecznie ochroni przez wiatrem i mrozem.

– Teraz wy Jadwiga Antonowna i wasza córka przetrwacie syberyjską zimę – zapewnia mamę nasz gospodarz stary Zakrzewski. A ona przyjdzie lada dzień – dodaje złowieszczo.

Rzeczywiście, wkrótce warstwa śniegu sięga okien domu z grubych życzyńnych bali. Mróz wyczarował na szybach prześliczne obrazy, oszronione drzewa lśnią w słońcu i cały krajobraz wygląda niczym ilustracje do bajki Andersena „Królowa Śniegu”. Nasz nowy gospodarz Michaił Baczurka wstaje wcześniej rano, aby wyciosać w śnieżnej masie korytarz prowadzący do obory, oblodzonej studni i wrót podwórza. Dopiero wtedy można wyruszyć z domu i białym tunelem wyjść na drogę rozjeżdżoną już płozami konnych sań. Daleko przyjemniej jednak zejść z drogi na pobocze. Po twardej warstwie śniegu można chodzić jak po stole, nie zapadając się pod własnym ciężarem i ciągnionych sanek. Para z ust zamarza błyskawicznie tworząc biały obłok zawieszony przez chwilę w rozedrganym powietrzu.

Gwiazdka tuż, tuż. W wigilijny poranek wyruszam z córką gospodarzy Manią do tajgi po choinkę dla nas (oni obchodzą Boże Narodzenie dwa tygodnie później). Uzbrojone w niewielką piłę i toporek docieramy do miejsca, w którym rosną młode świerki. Odkopujemy w śniegu pień zgrabnego małego

drzewka i spiłowujemy je. Mania wprawnymi cięciami siekierki odrąbuje dolne, łysawe gałązki. Układamy na sankach naszą zdobycz, przywiązujemy sznurkiem i wracamy do domu.

Oj, dostało się nam od naszych matek, które nic nie wiedziały o tej wyprawie. Mogła nas spotkać w tajdze jakaś zła przygoda. Nic to, najważniejsze, że drzewko jest piękne i zdobyte o własnych siłach. Jego uroda jest zasadniczo jedyną ozdobą, poza nią tylko skromny łańcuch ze słomek i na wierzchołku obrazek Świętej Rodziny znaleziony w książeczce do nabożeństwa.

Pani Gościejowa zaprosiła nas na składkową wigilię. Moja mama przygotowała barszcz z buraków z uszkami z suszonych grzybów, zebranych przeze mnie na jesiennym grzybobraniu z deduszką Własem. Oprócz tego wniosłyśmy w udziale miseczkę suszonych rybek i sól, pani Gryblewska – kutię z prawdziwej pszenicy z miodem i cedrowymi orzeszkami, gospodyni wieczery podała pieczone ziemniaki w łupinach i kiszone ogórki.

Spora gromadka zebrała się przy wigilijnym stole nakrytym białym obrusem. Zamiast świecy – „kopcika”. Zamiast opłatka – chleb.

Przy dzieleniu się chlebem niejedna łza spłynęła z oczu. Składaliśmy sobie nawzajem życzenia zdrowia, sił przetrwania Sybiru i wojny, a nade wszystko prędkiego powrotu do Ojczyzny, do naszych najbliższych, z którymi nas tak okrutnie rozdzielono. Zasiadliśmy do wieczery nie doczekawszy się pierwszej gwiazdki na niebie. Zakrywały je chmury, z których padał śnieg wielkimi płatami wirującymi na wietrze.

Po spożyciu bożych darów przyszła kolej na kolędy. Pierwsza próba śpiewu zakończyła się zbiorowym płaczem, ale następne były bardziej udane, aż w końcu udało się opanować głębokie wzruszenie i w syberyjską ciemną noc popłynęły nasze głosy niosąc melodie i słowa najpiękniejszych polskich kolęd. Ostatnia zwrotka kolędy *Bóg się rodzi*:

Podnieś rękę Boże Dziecię, błogostaw Ojczyznę miłą  
W dobrych radach w dobrym bycie  
Wspieraj jej siłę Swą siłą  
Dom nasz i majątność całą  
i wszystkie wioski z miastami...

– ponownie wywołała u wszystkich płacz i bezgraniczną tęsknotę.

Nasza sytuacja jest beznadziejna, ale moc wiary sprawia, że potrafimy się cieszyć Bożym Narodzeniem. Dziękujemy pani Gościejowej za wigilijną gościnę i wychodzimy w grudniową ciemność rozświetloną tu i ówdzie mdłym światłem „kopcików”, przytłumionym zamarzniętymi szybami. Cudownie było spędzić ten wieczór wśród rodaków. Inne rodziny polskie w kołchozie również się gromadziły, nikt nie był osamotniony. Cóż innego nam pozostało jak nie narodowa i religijna solidarność?

Przed zaśnięciem wspominam z mamą bożonarodzeniowe przedwojenne zjazdy rodzinne w Nowogródku, Chełmie i Warszawie.

Było zawsze tak radośnie i gwarno! Święty Mikołaj (w którego wcielał się któryś z wujków albo mój tatuś) w czerwonej szacie, z doczepioną długą białą brodą i wąsami przywoził na sankach prezenty. Przy ich rozpakowywaniu było tyle radości i zachwytu! Przychodzili kolędnicy z gwiazdą betlejemską, szopkarze wystawiali jasełka, urządzaliśmy kulig i pędziło się w długim szeregu małych saneczek za konnymi saniami. Mróz, śnieg, śmiech. Beztróskie dzieciństwo.

W obecnej rzeczywistości wspomnienia te wydają się jakimś cudownym, odległym snem. Wspominamy także Święta Bożego Narodzenia w 1939 roku, pierwsze po wkroczeniu Sowietów. Był wtedy z nami jeszcze mój brat Boguś.

Choinka do sufitu pięknie ubrana, tradycyjna wieczerza wigilijna z trzynastu dań, na deser makowce i pierniki, bakalie i owoce południowe, orzechy włoskie, laskowe i fistaszki podane na wielkiej, srebrnej tacy. W sklepach panowały już pustki, ale pan Witkowski – były właściciel sklepu spożywczo-kolonialnego, miał w magazynach zapasy towarów dla swoich stałych klientów. Wprowadził mnie z mamą do podziemia i to, co wtedy ujrzałam, pamiętam do dziś. Na regałach od podłogi do sufitu spoczywały różnego kształtu i koloru sery: żółte, płaskie, wielkie tarcze i czerwone kule. Konserwy: szynki, słonina, smalec, boczek w blaszanych puszkach – to były pozostałości zapasów dla wojska na wypadek wojny. Mama kupiła trochę konserw „na czarną godzinę” i są teraz z nami dzięki życzliwym ludziom, którzy nas ekwipowali na drogę.

Przed wojną sklep pana Witkowskiego był odpowiednikiem dzisiejszych Delikatesów. W zimie na długich drążkach podwieszonych pod sufitem wisały żające, kuropatwy i bażanty. Na regałach piętrzyły się skrzynki z owocami południowymi jak banany, pomarańcze, mandarynki. Na podłodze stały rzędem jutowe wory z przeróżnymi orzechami. Migdały, rodzynki sułtańskie, figi i daktyle w płaskich skrzyneczkach stały na bocznej ladzie. Na półkach wylegiwały się przeróżnego kształtu butelki przednich win dla koneserów: greckie, włoskie, hiszpańskie, gruzińskie. Od samego widoku tych różnorodności można było dostać oczopląsu. I ta odurzająca, niepowtarzalna mieszanina zapachów wanilii, pomarańczy i suszonych borowików niosąca przedsmak rozkoszy dla podniebienia

Moja pamięć przywołuje także dodatkowe szczegóły tamtej wigilii: siedzimy już przy deserach, kolędujemy, nagle – pukanie do drzwi. To dwaj sowieccy oficerowie – narzuceni nam przez obecnie władze miejskie lokatorzy.

– U was tak uroczyste, a nasze żony z dziećmi daleko, w Moskwie. Czy możemy trochę pobyc z wami? U nas obchodzi się tylko Nowy Rok.

Mama zaprasza intruzów do stołu. Wyciągają tekturowe pudełko z czekoladowymi cukierkami opakowanymi w obskurny szary papier z nadrukiem niedźwiadka – prezent dla mnie. Oficerowie są w roboczych mundurach, „pachną wojskiem”. Na szczęście wykazują takt i nie przedłużają krótkiej wizyty na bezalkoholowej uroczystości, co zapewne wydało im się czymś dziwnym i niezrozumiałym.

Następne, a zarazem ostatnie Boże Narodzenie w Baranowiczach to był rok 1940. Boguś w sowieckim więzieniu. Smutne to były Święta. Te na Syberii jeszcze smutniejsze, bez ojca i brata, daleko od domu, od Polski... Tuż po Świętach dotarła do nas wiadomość, że na terenie ZSRR przebywają nasi generałowie Władysław Anders i Mieczysław Boruta-Spiechowicz. Mama napisała list do generała Andersa z prośbą o pomoc w wydostaniu się z kołchozu. (Mój ojciec, lekarz wojskowy znał Generała, który w 1937 roku objął dowództwo Nowogródzkiej Brygady Kawalerii stacjonującej w Baranowiczach.)

Teraz czekamy na odpowiedź i z tą nadzieją wkroczymy w Nowy Rok 1942. Drugi rok naszego zesłania<sup>22</sup>.

Z. Wężyk-Machowska

\*

<sup>22</sup> Tekst powstał na podstawie syberyjskiego pamiętnika. Fragmenty drukowane mniejszą czcionką pochodzą z mojej książki pt. *Retrospekcja. Z Baranowicz przez Syberię do Gdańska*, Warszawa 2010.

*Tamte wigilie*

Było ich sześć – dwie w Kazachstanie i cztery w Uzbekistanie, ale dla mnie 13-letniej jedynaczki najsmutniejsza i zarazem pełna nadziei była ta w 1941 roku.

Najsmutniejsza, bo utraciłam ukochanego ojca, pełna nadziei, ponieważ po tzw. układzie Sikorski-Majski ogłoszona została amnestia dla polskich zesłańców z 1940 i z pierwszej połowy 1941 roku.

A było to tak.

W sierpniu 1941 r. ogłoszono w ZSRR amnestię dla uwięzionych i deportowanych obywateli polskich. Polacy zesłani do sowchozu „Wtoraja Piatiletka” w semipałatyńskim obwodzie w Kazachstanie, żyli tym wydarzeniem z gorączkową nadzieją i zarazem niepokojem oczekując dalszego biegu spraw związanych z odzyskaną wolnością. Następną radosną wiadomość, która dotarła do nas w niedługim czasie, to utworzenie w ZSRR polskiej armii pod dowództwem gen. Władysława Andersa. Wzrosła więc nadzieja na odnalezienie aresztowanych i internowanych członków rodzin. Bo nie wszyscy byli takimi „szczęśliwcami” jak ja i mama, że otrzymałyśmy wiadomość o ojcu z obozu na Uralu, gdzie odbywał wyrok „8 lat pracy poprawczej”, wydany przez OSSO w Moskwie. OSSO – skrót nazwy „Osoboje sowieszczanije...”, czyli specjalna instytucja wydająca zaoczne wyroki dla więźniów politycznych.

Istotnie, 23 września ojciec zjawił się w sowchozie w towarzystwie dwóch młodych łagierników, też nauczycieli. Radość moja była ogromna, bo bardzo tęskniłam za ojcem. Wybiegłam mu naprzeciw, na ścieżkę wiodącą z biura sowchozowego w kierunku naszego przysiółka, ale spotkanie było dla mnie trudnym przeżyciem! Ojciec był tak zmieniony, wynędzniały, z długą do pasa brodą i bez okularów, które przedtem stale nosił, że w pierwszej chwili zawahałam się, który z trzech brodaczy jest ojcem. W tym momencie ojciec zawołał mnie po imieniu i padliśmy sobie w objęcia. Zaprowadziłam przybyszów do naszej ziemianki, w której mieszkaliśmy z zaleszczycką rodziną pp. Fedorowiczów. Pan Fedorowicz był urzędnikiem skarbowym, został wywieziony z żoną i czwórką dzieci. Dwie córki były już dorosłe, a syn i trzecia córka to prawie moi rówieśnicy. Było nas razem 8 osób. Ziemianka stanowiła naszą wspólną własność i choć była ciasna, była dobra i ciepła na mrozy. Niestety, radość z powrotu ojca nie trwała długo. Ojciec przeziębził się w drodze i dostał zapalenia płuc. Wycieńczony organizm nie przetrzymał tej choroby (antybiotyków wówczas nie znano) i ojciec zmarł po 10 dniach od przyjazdu. Był to dla mnie cios straszliwy. Do tej pory słyszę jego ostatnie słowa: „Żegnajcie! Żegnajcie moje kochane!”

W kondukcje pogrzebowym za furą szli wszyscy Polacy z sowchozu, kilkanaście rodzin. Ojca pochowano w stepie, na wzgórku stanowiącym niby cmentarz.

Po tej amnestii życie wśród pozornie wolnych Polaków stało się bardzo ożywione. Powstał „teatrzyk”, w którym ja też uczestniczyłam, maskując skryty ból po śmierci ojca. Pierwsze przedstawienie miało tytuł „Zaczarowana fujarka”, a ja grałam rolę smutnego królewicza, w czym pomagał mi własny smutek. Była to oczywiście bajka dla dzieci a organizatorką zespołu była nauczycielka Maria Dąbrowska i korzystała ze szkolnego repertuaru, który miała w pamięci.

Druga impreza prezentowała różne tańce ludowe – krakowiaka, trojaka, cygański. Przygrywał na pożyczonym akordeonie Fedorowicz – junior. Miejscowi Rosjanie przyjmowali nas z zachwytem i podziwem dla przemyślnych strojów. A były to jakieś łowickie kapy, plażowe szorty i inne szmatki nie nadające się do noszenia w tamtejszych warunkach.

Tak minęła jesień, zaczęła się sroga, syberyjska zima, obfita w śnieg i śnieżne burze oraz związane z tym kłopoty. Prac polowych nie było, jak to na wsi, więc siedzieliśmy w ziemiankach i zajmowaliśmy się lekturą polskich książek. Oczywiście pracujący na fermach hodowlanych pracować musieli – przy krowach, świniami, owcach. Nadeszła też wigilia. Świętowaliśmy ją wspólnie łamiąc się chlebem. Ale cóż to za wigilia – bez choinki, bez prezentów, bez łakoci. Smutno wszystkim było, mnie szczególnie, bo nie było ojca. Nadrabialiśmy minami i pocieszaliśmy się wzajemnie, że przecież wojna się skończy i wrócimy do domu, swojego domu w Polsce. Któż wtedy mógł przewidzieć jak to się skończy? Że wrócimy nie na swoje tereny, nie do swoich domów i nie do takiej, wymarzonej Polski!

Wtedy ważne było, że mogliśmy zjeść do syta, choćby pierogów z razowej mąki, bo wojna i tu dawała się we znaki brakiem aprowizacji. Byliśmy jednak wolni, więc zasyciwszy głód zakolędowaliśmy 8-śmo głosowym chórem. A potem, zgodnie z tradycją, powędrowaliśmy pod okna do naszych Krajan i omotani chustami, bez gwiazdy, ale z radością i zapałem śpiewaliśmy koledy, wyciągając młodszych do naszej gromady.

W następnym dniu, świąt nie było, pracujący musieli udać się do pracy.<sup>23</sup>

*M. Zawatkiewicz-Maciąg*

\*

### *Szósta wigilia w 1945 roku*

Ilekróć w dzień wigilijny zasiadam w gronie rodziny do stołu, patrzę na pogodne twarze mych bliskich, na roześmiane buzie dzieci, na choinkę mieniącą się lampkami, na stół zastawiony tradycyjnymi potrawami, wracają wtedy do mnie wspomnienia z jakże odmiennych wigilii, spędzonych daleko na Syberii, w ciężkich latach wojennych w głodzie, chłodzie i tęsknocie. Miałem sześć takich wigilii w dalekim, obcym kraju. Sześć razy gromadziliśmy się, my, wygnañcy, w ten najbardziej rodzinny wieczór w roku, sześć razy wspominaliśmy naszych najbliższych – czy żyją jeszcze i co przeżywają?

Szósta wigilia w 1945 roku. Jeszcze raz zasiadło nas kilkoro pozostałych z licznej rodziny, przy stole w ziemiance, przy skromnej wieczerzy, złożonej z pozostałych z poprzednich lat okruszyn opłatka, nieco lepszych niż zwykle blinów, resztek sucharów, herbaty, kompotu. Patrzyłem wtedy na szczupłe grono mych najbliższych i wspominałem jakże inne wieczory wigilijne z lat dziecinnych, kiedy niczego nie brakowało.

---

<sup>23</sup> Autorka relacji urodziła się w Kamionce Strumiłowej (7. IV.1928 r.) w woj. tarnopolskim. Wywieziona została z matką do Kazachstanu 13 kwietnia 1940 r. z Zaleszczyk, gdzie ojciec jej był dyrektorem Państwowego Gimnazjum i Liceum. Ojca aresztowano 25 grudnia 1939 r. i zesłano do łagru na Uralu, w obw. swierdłowskim, w rejonie Iwdiel. Relacja przysłana do redakcji „Zesłańca” jako odpowiedź na apel dotyczący opisu syberyjskich wigilii.



Lecz i na Syberii nie zabrakło nam jednego – serdecznych powitań i ciepłych słów – gdy do naszej ziemianki zaczęli się schodzić Polacy z Ogłówki, tacy sami jak my wygnańcy, przesiedleni w 1940 r.

W ten wieczór każdy z sobą coś przyniósł. Były to skromne dary zaoszczędzone z paczek Czerwonego Krzyża i Polonii amerykańskiej. Jedna z najstarszych Polek przyniosła własnego wyrobu opłatek, a nasz senior, zacny i szanowany Pan Antoni pobłogosławił go. Przy łamaniu opłatka byliśmy wszyscy do głębi wzruszeni. Przypomnił mi się wtedy obraz naszego znanego artysty malarza „Wigilia zesłańców na Syberii” Jacka Malczewskiego. Serca nasze i myśli wyrwały się w jedną stronę – na zachód do ziemi ojczystej, przez łyż wypowiadaliśmy wszystko, co na obczyźnie Polak czuć może.

Siedzieliśmy gdzie się dało, na ławkach, na pryczy, skrzyniach. Jedliśmy tę naszą wigilijną „uczte” w malutkich kawałeczkach, marząc o chwili, kiedy będziemy mogli najeść się do syta, ogrzać, zobaczyć bliskich. Jedną myślą zjednoczeni ukłękliśmy, aby się pomodlić niezapomnianymi słowami zesłańców: „O Panie, który jesteś w niebie, błagamy Ciebie z syberyjskich stron, o Twoją opiekę i pomocną dłoń”. Modlitwę jak zawsze kończyliśmy słowami: „Boże! – Zbaw Polskę”. Słowa te tak weszły nam w krew, że nawet teraz my Sybiracy, przy wieczornej modlitwie powtarzamy te same słowa.

A mnie wtedy było jeszcze bardziej ciężko na sercu, bo nie mogłem się włączyć do śpiewu i rozmów, bo nie docierały do mnie słowa modlitwy. Byłem głuchy i jedynie w pamięci mogłem je powtarzać. Parę razy wychodziłem na próg ziemianki i myślałem o tym, jaka będzie moja przyszłość, jakie będę miał miejsce w świecie?

W pierwszy dzień jednych Świąt Bożego Narodzenia urządziliśmy wieczorem jasełka. Na scenie stajenka betlejemską, Matka Boska, św. Józef i Dzieciątko w żłóbku. Idą z pokłonem Trzej Królowie, żołnierz, krakowianki, wygnaniec. Pamiętam, że ja jako żołnierz powiedziałem słowa: „I my żołnierze polscy, niesiemy Ci o Jezu drogi swą krew i trudy wojenne za to, by nad umęczoną Ojczyzną naszą zakwitło Twe Panowanie”. Później deklamowano wiersz Adama Mickiewicza „Do matki Polski” oraz epilog „Pana Tadeusza”. Na końcu wszedł św. Mikołaj ze skromniutką „gwiazdką” dla dzieci.

Ciężko nam było żyć w tych latach w głębi syberyjskiej tundry, lecz zachowaliśmy wiarę i gorące serca.<sup>24</sup>

*L. Kamiński*

\*

---

<sup>24</sup> Fragment pamiętnika z 27 grudnia 1945 roku. Ludwik Kamiński od 1990 r. należy do Związku Sybiraków w Tychach. Mieszka w Pszczynie, jest inwalidą – niesłyszący po przebytej w młodości chorobie. Urodził się 15 stycznia 1925 r. w Słonimiu, woj. nowogródzkie. Deportowany 13 kwietnia 1940 r. z matką i siostrą do Północnego Kazachstanu, rej. Presnowka, posesiłek Olgówka, kolchoz Czerwona Zorza. Ojciec był aresztowany wcześniej i zesłany do Uchty w Komi ASRR. Z Armią gen. W. Andersa wyjechał z ZSRR, zmarł poza Polską. Autor relacji powrócił z rodziną do Polski w 1946 r. Relacja przysłana do redakcji „Zesłańca” jako odpowiedź na apel dotyczący opisu syberyjskiej wigilii.

### Wigilia

Jakoś w noc wigilijną sen oczu nie klei  
I w ciszy słyhać tylko tykanie zegara.  
Za oknem się rozlega szum śnieżnej zawiei,  
Każdą szparą do domu wiatr dostać się stara.

My siedem godzin temu zjedliśmy wieczerzę,  
Teraz wy za wilijnym stołem zasiądziecie.  
Zostawcie puste miejsca i puste talerze  
Dla tych, co są rozsiani po szerokim stepie.

Kiedy na pustych miejscach spocznie wasze oko,  
Nie płaczcie, bo łzy takie nic nam nie pomogą,  
Tylko niech myśli wasze wzniosą się wysoko  
I na spotkanie naszych idą mleczną drogą.

Zakazy i granice nie istnieją w górze,  
Kędy na gwiazdach wsparty stoi żłobek w szopce.  
Upadniemy choć myślą do Dzieciątka nóżek,  
Odrzucając od siebie, wszystko, co jest obce.

A kiedy Bogu swoje otworzymy serce,  
To widząc naszą mękę anioły zapłaczą  
I będą się modliły w niebieskiej pasterce,  
Aby Bóg skrócił naszą niedolę tułaczą.

Gdy wędrówkę zaczyna swą dziś Dziecię Boże  
I Jego gwiazda wam i nam jednako świeci,  
Wiatr za oknem kolędy wygrywa na dworze,  
A ja leżę i myślę, gdzie ojciec mych dzieci?

I chciałabym do domu powrócić choć we śnie...  
Jakoś w noc wigilijną sen oczu nie klei.  
I zasypiać za późno, i wstawać za wcześnie.  
A za oknem wciąż słyhać szum śnieżnej zawiei.<sup>25</sup>

\*

---

<sup>25</sup> Wiersz pochodzi z książki pt. *Bezdomne paki, opowieść prawdziwa*, Białystok 1995, autorstwa Marii Niwińskiej wywiezionej z Białegostoku z dwojgiem dzieci i chorą matką w nocy z 19 na 20 czerwca 1941 r.

### *Moje wigilie na zesłaniu*

Zesłańcy skierowani do łagrów, na najcięższe warunki o żadnej wigilii nie mogli pomarzyć, były one możliwe tylko na tak zwanej wolnej zsyłce w Kazachstanie, w Archangielsku czy Ałtajskim Kraju, gdzie na długie cztery lata trafiłam wraz z matką i młodszą siostrą. To rozróżnienie jest konieczne zaraz na początku wigilijnych wspomnień zesłańca. Wolna zsyłka polegała na tym, że zesłańcy nie byli zamknięci w łagrach, ale dorośli musieli do czasu układu Sikorski-Majski co tydzień meldować się w NKWD „Normalność” życia była w dużej mierze wytworem naszej wyobraźni, a także zależała od głębi religijności Polaków oraz tradycji domów w których się Oni urodzili i wychowali, bardzo istotna była też pomoc i przyjacielskie gesty współtowarzyszy niedoli.

Wielu znajomych pyta mnie zwłaszcza, gdy zbliża się Boże Narodzenie jak wyglądały nasze wigilie tam. Odpowiadam: zwyczajnie, jak można było na „niehumanitarnej ziemi” zorganizować choćby namiastkę Wigilijnej Wieczery? Jakim sposobem zdołaliśmy będąc tam wywołać atmosferę Świąt? Nasze ówczesne wigilie, dzięki matce, były bardzo proste, ubogie, wymuszone warunkami w jakich żyliśmy.

Gdy z Dworca Poleskiego w Białymstoku w czerwcu 1941 roku wyruszył w nieznanym kierunku obskurny pociąg w zestawie około 80 wagonów bydłowych, wypełniony dwoma tysiącami zesłańców nikt nie myślał, że ci, którzy przeżyją u kresu morderczej podróży staną przed niewyobrażalną perspektywą obchodzenia Świąt Bożego Narodzenia Pańskiego, tysiące kilometrów od domu. Bijsk w Ałtajskim Kraju gdzie nas osiedlono leży około 7000 kilometrów od Polski. Na miejscu zsyłki przyszło nam mozolnie przystosowywać się do tego cośmy tam zastali, mimo srogich zim, krótkich upalnych letnich miesięcy, biedy, głodu, żrących nas wszy, pluskiew, meszek i innych przyziemnych udręczeń. Polacy w miarę możliwości kultywowali nasze zapamiętane obrzędy i zwyczaje przystosowując je do syberyjskich warunków. Oto cała tajemnica. Gdy na zewnątrz było  $-40\text{ C}$ , nie dało się wyjść na dwór i wypatrywać pierwszej gwiazdki. Nawet zobaczenie jej przez okno stawało się niemożliwe, bo łód na dole okiennej szybki osiągał grubość około 20 cm.

Najpierw matka przykrywała stół kawałkiem prześcieradła i pod ten „obrus” kładła „sianko”. Potrawy były takie, jakie można było zdobyć produkty do ich przygotowania, gdy w koło panował nieustający głód. Na początku był czerwony barszcz z buraków przechowywanych w piwnicy (podpolie). Była też kapusta z grzybami, ale ukiszona na wzór rosyjski z zielonymi pomidorami. Jak kaže tradycja były w niej grzyby, ale nie polskie prawdziwki tylko opieńki, na deser był kisiel z żurawinami z trudem zdobytymi, (które w tamtych okolicach na bagnach rosną w dużych ilościach) posłodzony wywarem z buraków cukrowych. Zamiast opłatkiem dzieliliśmy się kawałkiem chleba kartkowego. Nawet choinkę miałyśmy. Ojciec późniejszego prezydenta w Rządzie Londyńskim, Ryszarda Kaczorowskiego przynosił nam sosenkę z pobliskiego lasu i zawieszałyśmy ją u sufitu udekorowaną przez mnie łańcuchem z biało czerwonych chorągiewek namalowanych kredką na ścinkach z obrzeży książek. Wigilie w Polsce kojarzyły się nam, dzieciom z ciepłem rodzinnego domu rozumianym dosłownie i w przenośni. Domu nie było, ale ciepła dostarczała słynna rosyjska pieczka.

Niestety nie było Pasterki, w pobliżu nie istniał żaden katolicki kościół, a nawet nie istniała żadna cerkiew (zamieniono je na magazyny). Cerkwie

otworzono dopiero wtedy, gdy ZSRR został członkiem koalicji antyhitlerowskiej. Do tego czasu modliliśmy się do ikony, która w większości domów stała na półce w rogu pomieszczenia kuchennego. Oczywiście śpiewaliśmy kolędy i składaliśmy sobie życzenia zawsze szybkiego powrotu do Ojczyzny. Dzięki tym skromnym dostępnym dla nas obrzędom wigilijnym tworzyliśmy sobie pozór normalności. Na pierwszy dzień świąt piekło się szanieczki, rarytas, na który stać nas było tylko w święta. Były to obwarzanki z ciasta drożdżowego w środku wypełnione kartoflami piure zmieszany z mlekiem. Święta w Polsce nie kończyły się przecież na wigilii. Chodziło o ciągłość Świąt Bożego Narodzenia o obchodzenie ich jako całości, brakowało nam podniosłego nastroju, towarzyskich wizyt, widoku na ulicy ludzi odświętnie ubranych, zdążających do kościoła. Jednak Polacy musieli wdrożyć się do zastanych warunków. Nawet tak skromne obchodzenie wigilii i Świąt Bożego Narodzenia pogłębiało tęsknotę za Ojczyzną.

Tak zapamiętałam moje wigilie, które przeżywałam jako mała dziewczynka, jednak na tyle duża, by móc je po latach przywoływać w pamięci. To są wigilie widziane oczami dziecka, ale nad wiek dojrzałego, które postrzegało otaczający świat jasno, wyraziściej realistycznie. Oczywiście wigilie były tylko wycinkiem surowego świata na zesłaniu nie zrozumiałego dla dziecięcej wyobraźni, ale sybirackie dzieci musiały się w tym świecie odnaleźć, żeby przetrwać. Nie było miejsca na sentymenty, nadmierną wrażliwość, które zabiły ciężkie warunki.

Jak musiała przeżywać sybirackie wigilie moja matka na której spoczywał cały ciężar przetrwania. Dodatkowo stale zamartwiała się o męża, którego aresztowano w Białymstoku 22 lutego 1941 roku, w czasie „kotła” zorganizowanego w naszym domu, aby aresztować ppłk. Władysława Liniarskiego, dowódcę AK okręgu białostockiego, który według przedwojennej mapy sięgał aż do Grodna.

My na zesłaniu, każdego 24 grudnia chcieliśmy się czuć normalnie dzięki temu, że nosiliśmy w sercu nadzieję na powrót do domu, że wszystko wokół nas to tylko jakiś etap przejściowy w naszym życiu. Ja to wszystko ogarniałam, rozumowałam kategoriami dorosłych, a miałam wówczas 14 lat<sup>26</sup>.

*I. Głowacka*

\*

### *A było to tak...*

Śnieg padał całą noc. W dzień kopano tunel od ziemianki by wyjść na drogę wiodącą do kolchozowego sklepu. Stała już tam grupka ludzi by odebrać przydziałowy chleb. Stałam i ja, bo mama powiedziała, że wieczorem jest wigilia Bożego Narodzenia. Spotkałam kolegę z sąsiedniej ziemianki. Wieczorem poszliśmy z mamą do niego. Było tam parę osób. Na stole paliła się świeczka. Po chwili wstano i odmówiono pacierz. Składano sobie życzenia, dzieląc się chlebem. Było smutno, mimo, że ktoś zanucił kolędę. Za oknem szalał wiatr i miało śniegiem.<sup>27</sup>

*Z. Modrzyński*

<sup>26</sup> Relacja przysłana do redakcji „Zesłańca” jako odpowiedź na apel dotyczący opisu syberyjskiej wigilii.

<sup>27</sup> Jak wyżej.

\*

*Puste miejsce przy stole*

Różne były nasze wigilie na zesłaniu, zawsze jednak smutne i niezwykle. Mama dbała o to, by była „choinka”. Czasem był to wyschnięty krzak piołunu, na ogół to miotełka brzoźowa, prosto z bani – bezlistna, surowa, na swój syberyjski sposób piękna. Stała na środku stołu w glinianym dzbanku, a ozdobiły ją płatki waty wyskubanej z kołdry. Na czubku kokardka ze strzępka harcerskiej krajki. Któregoś roku wisiały na choince na długiej nitce dwa żołnierskie guziki z orzełkami. Skąd się wzięły? Latem gromadka polskich dzieci w ogrodzie za banią w głębokiej konspiracji przysięgała na te guziki wierność Polsce. A przy wigilijnym stole, nakrytym spraną perkalową chustą w zielone gwiazdki, przychodził taki moment, że te gwiazdki płonęły, świeciły, rozpływały się w naszych oczach. Czarny sucharek wydawał się białym opłatkiem, a puste miejsce przy stole stawało się najważniejsze

Modlitwa przechodziła w kolędę, kolęda w „Rotę”, a „Rota”, w moją ulubioną, najpiękniejszą pieśń o Jasieńku i białych różach. Kiedy zabrzmiało „Jasieńkowi nic nie trzeba już”, płakali wszyscy, a mała Basia najgłośniej. Moja mama nie płakała. Trzymała mnie ciasno i wpatrywała się w płomień kopciłki. Milczała. Wiem o czym myślała, bo to przecież mój Ojciec miał na imię Jan...

*S. Wiatr-Partyka*

\*

**Wigilia 1943***Staśkowi*

Uczcijmy święto dzisiaj, tak wielkie tam, w Ojczyźnie,  
Uczcijmy święto dzisiaj, to nic, że na obczyźnie...  
To nic, że pierwszej gwiazdki nie widać dziś na niebie,  
To nic, że bez opłatka, o czarnym gorzkim chlebie.

To nic, że dziś choinki prawdziwej tutaj nie ma,  
To nic, że pod oknami kolędy nikt nie śpiewa,  
To nic, że płacze mama, myśląc o mężu, bracie,  
To nic, że na wigilie u nas tak zimno w chacie...

Dziewczynka mała, grzeczność obieca cicho mamie,  
Choć wie, że upominku na gwiazdkę nie dostanie...  
I tylko tak jak dawniej gorąco się modlimy,  
O powrót do Ojczyzny gorąco tak prosimy...

I wiemy, że na pewno Dzieciątko nas wysłucha  
I z cichym ukojeniem wstępuje w nas otucha,  
I wiemy, że na pewno znów pierwsza gwiazdka będzie,  
Opłatek... bułka... radość... choinka stanie wszędzie...

Zapalą się znów świece, toć przyjdzie ta godzina!  
I ojciec na kolana posadzi swego syna...  
I będzie słuchał o tym jak na obczyźnie było  
I będzie myślał o tym że szczęście powróciło.

I czułą ciepłą ręką pogładzi włoski płowe,  
A wokół świece złote... łańcuchy kolorowe...

*S. Wiatr-Partyka (Ilinka, 1943)*

\*

**Wigilia 1945**

A ta miotełka brzozowa na stole –  
To choinka...  
A ta watka z koldry wyskubana –  
To śnieg...

Toczy się, toczy XX-ty wiek...

A to miejsce puste przy stole –  
To dla Ciebie,  
Gdzie jesteś, Ojczy? –  
W Ostaszkowie? W Polsce?  
W niebie?

Skrapiamy opłatek łzami,  
Modlimy się do Ciebie.  
Modlimy się do Ciebie...  
Módl się za nami...

*S. Wiatr-Partyka (Jawlenka, 1945)<sup>28</sup>*



\*

<sup>28</sup> Opis wigilii oraz wiersze pochodzą z książek: Stanisława Wiatr-Partyka, *Piołun z kropelką rosy*, Tarnów 2007, s. 44 i 55 oraz *Zapomniana melodia, czyli Lacrimoso Polski*, Tarnów 2011, s. 53. Autorka urodziła się w Nieświeżu – „najpiękniejszym mieście na ziemi. Rosłam na stepie w Północnym Kazachstanie i tam zaczęłam pisać wiersze” – napisała w cytowanych powyżej książkach. Obecnie mieszka w Tarnowie.

**Opłatek Sybiraków**

Słowa, że „Bóg się  
Rodzi  
A więc zła moc  
Truchleje”  
Dawały – nam  
Zesłańcom  
Na przetrwanie  
Nadzieję.  
Wzmacniały siłę wiary  
W Opatrzność,  
W Polskę,  
W przyszłość...  
Wbrew rozważnie  
Myślącym  
Przyziemnym  
Realistom.  
Choć –  
Jak to wykazała  
Komunizmu praktyka –  
Realizm  
To też religia.  
Religia niewolnika!  
Religia  
Akceptacji  
Praw: kata i ofiary.  
Z marginesem  
Wolności  
Zacieśnionym przez  
Kary...  
Lecz tylko wiara  
Potrafi  
Krzywdzącym prawem  
Przeczyć.  
Cudem przenieść  
Góry...  
Nieuleczalnych  
Leczyć...  
Wzniesić się  
Ponad doraźność  
Marzeniem  
Wybiec w przyszłość  
I nie wyrazić zgody  
Na podłą  
Rzeczywistość!  
Myśmy –  
W tej właśnie wierze,  
Przez pokolenia żywej  
Doczekali Wolności  
Bez Boga –  
Niemożliwej.

Więc lulaj-że  
Jezusku  
W rytmie kolędy  
Tonów  
Na sianku  
(Spod obrusów  
Na stołach polskich  
Domów)  
Lulaj  
W ciepłe choinki,  
W tę Noc Cudowną  
Lulaj!..  
W łzach wspomnień  
Sibirackich Wigilii  
Nas utulaj.  
Niech Twoja  
Symboliczna obecność,  
Ten Opłatek,  
Oddali z naszych  
Domów  
I głód, i niedostatek,  
Spraw, by  
Prawda i Pokój,  
Wolność,  
Sprawiedliwość,  
Na cudze nieszczęścia,  
Wrażliwość  
W naszych sercach,  
Podstawa  
Chrześcijańskich  
Wartości.  
Nie ustąpiły miejsca  
Przejawom wrogości  
I pogardy  
Dla bliźnich  
Nieudaczników masy,  
Hamujących  
Wybrańcom  
Maraton do kasy!  
Niechaj  
W sercach Polaków  
Twoja Miłość zagości  
I Rząd  
Wraz z rządzącymi  
Połączy znów  
W Jedności!  
Nie pozbaw nas  
Jezusku  
Swej Boskiej Opieki  
I Niepodległą Polskę  
Zachować chciej  
Na wieki!...

*Marian Jonkajtys*



---

---

**JOLANTA ZAŁĘCZNY**

**WIERSZE PISANE W DRODZE.  
NA MARGINESIE TWÓRCZOŚCI  
LUDWIKI BIESIADOWSKIEJ-SZKLAREK**

„Może to się Pani przyda, znalazłem wśród rodzinnych szpargałów” – powiedział mój znajomy Sławomir Szklarek, przekazując mi skromny tomik poezji zatytułowany „Po drodze” wydany w Glasgow i dwie kserokopie programów wojskowych spotkań. „Biesiadowska, autorka wierszy, to była moja ciotka” – dodał. Jedna kopia zawierała program uroczystości na powitanie Naczelnego Wodza gen. Władysława Sikorskiego w Buzułuku w grudniu 1941 roku, znajdowała się w nim informacja, że wiersz ochotniczki Ludwiki Biesiadowskiej recytowała inna ochotniczka Jadwiga Domańska. Wiersze pisane w latach 1940-1943 rzeczywiście powstawały niejako „po drodze”, a zamieszczone pod tekstami miejscowości zdradzały długą tułaczkę autorki: 1940-1941 łagier Jaja, 1941 Buzułuk, 1942 Krasnowodsk, Kanaqin, Kermine i Rehwoth, 1943 Tel-Aviv, Kair, Stambuł i Jerozolima...

Dla historyka każdy ślad przeszłości jest ciekawy i zachęca do poszukiwań<sup>1</sup>. I tak zaczęła się moja bliższa „znajomość” z Ludwiką Biesiadowską i jej poezją. Nasuwało się wiele pytań... Jakie były jej losy? Jaką drogę przebyła? Dlaczego trafiła na Syberię? Już pobieżna analiza dat i miejsc sugerowała, że autorka wierszy ma w swojej biografii także syberyjską przeszłość. W jaki sposób z syberyjskiego łagru dotarła do armii? Jak został przyjęty jej wiersz przez gen. Sikorskiego? Pytania mnożyły się, rosło zaciekawienie i chęć poznania losów kobiety-żołnierza z syberyjskim rodowodem.

Ambasador Stanisław Kot wspominał,

że ciężko szło z uzyskaniem od wojska zwolnienia specjalistów, potrzebnych do różnego rodzaju rządowych prac i wydawnictw, nie mówiąc już o młodzieży, której należało umożliwić studia [...] Zaledwie mogłem zdobyć ułatwienie dla kilku ochotniczek, które wzięły się do spisywania swoich przeżyć więziennolagiernych, np. Ludwika Biesiadowska, Ada Halpern, Beata Obertyńska<sup>2</sup>.

---

<sup>1</sup> Otrzymany od p. Jacka Iwaszkiewicza pamiętnik jego stryja Leonarda Gruchacza stał się inspiracją do odtworzenia losów rodziny Gruchaczów: Piotra – powstańca styczniowego, Stanisława – aktywnego działacza niepodległościowego oraz Leonarda – emigranta, żołnierza armii gen. Hallera, uczestnika wojny 1920 roku, działacza Stowarzyszenia Weteranów Armii Polskiej w Ameryce; J. Załączny, *Wierni patriotycznym ideałom. Losy rodziny Gruchaczów w świetle zapisków Leonarda Gruchacza*, „Niepodległość i Pamięć”, Nr 33/ 2011, s. 7-30.

<sup>2</sup> S. Kot, *Listy z Rosji do gen. Sikorskiego*, Londyn 1956, s. 59.

Biesiadowska spisała swoje wspomnienia z okresu zesłania, znalazły się one w Archiwum Instytutu Józefa Piłsudskiego w Ameryce, w zespole archiwalnym nr 85 – Archiwum Apolinarego Kiełczyńskiego (teczka nr 31), trafiły do Archiwum Wschodniego Ośrodka Karta<sup>3</sup>.

Lektura wspomnień Ludwika Biesiadowskiej-Szklarek pozwoliła na odtworzenie skomplikowanych losów polskiej dziewczyny, która urodziła się w złym czasie i w złym miejscu. Ale zawsze i wszędzie starała się cieszyć się życiem, na przekór przeciwnościom... A po latach pisała:

To po to mnie trzymali  
W wilgotnych kazamatach,  
Bym mogła aż do bólu  
Czuć czarodziejstwo świata.<sup>4</sup>

Ludwika Biesiadowska przyszła na świat w polskiej rodzinie w Petersburgu 12 lutego 1911 roku. Jej ojciec Antoni Czapliński był pracownikiem kolei, kierownikiem narzędziowni w warsztatach remontowych, matka Anna z Ratyńskich prowadziła damską pracownię krawiecką. Po zakończeniu wojny polsko-bolszewickiej rodzina Czaplińskich otrzymała zgodę na zmianę obywatelstwa radzieckiego na polskie, a w czerwcu 1922 r. wyjechała do Polski. Miejscem stałego pobytu stało się Wilno. Szczęśliwy czas młodości spędzonej w Wilnie będzie powracał we wspomnieniach podczas wojny i zostanie utrwalaony w strofach wierszy:

[...] I tak co noc błędzę, Wilno,  
Twoimi ulicami.  
Przechodzę przez Bernardynkę,  
Co ciemnym zwałem zieleni  
Spada aż w jar głęboki,  
Kędy Wilejka się pieni.  
[...] I pójdę ot tak przed siebie  
Zwojem uliczek pokrętnym,  
Aż tam, gdzie trzy kościoły  
Śpią na małym placyku zamkniętym.

W roku 1929 Ludwika Czaplińska ukończyła Gimnazjum Państwowe im. Adama Jerzego Czartoryskiego i rozpoczęła studia polonistyczne na jednym z najlepszych wydziałów Uniwersytetu Stefana Batorego. Na pokrycie kosztów nauki zarabiała udzielaniem korepetycji. W 1935 roku uzyskała stopień magistra filozofii. Nauka na uniwersytecie, kontakt ze znakomitymi wykładowcami i studenckie przyjaźnie wywarły ogromny wpływ na całe jej późniejsze życie. Z dumą przywoływała potem te miejsca:

„Ojczyzna, nauka, cnota!”  
Jakie to dobrze znane [...]  
Vivat Akademia,  
Wivant professores!

<sup>3</sup> Ośrodek Karta, Archiwum Wschodnie, Kolekcje osobiste, Kolekcja wspomnień Komisji Historycznej Zarządu Głównego Związku Sybiraków, ZS 491. Współcześnie zostały opublikowane w tomiku L. Biesiadowska-Szklarek, *Nadzieja przeciw nadziei. Wspomnienia i wybór wierszy*, Brzesko, b. r. w.

<sup>4</sup> Wszystkie cytaty pochodzą z publikacji L. Biesiadowska-Szklarek, *Nadzieja przeciw nadziei*.

Atmosfera przedwojennego Wilna to głęboka religijność lokalnego społeczeństwa, które przysięgało Ostrobramskiej Królowej i „jak fala olbrzymia zatrzymana w biegu skupiło się, ścichło i na kolana padło przed jej Majestatem...” Religijność połączona w patriotyzmem widocznym na każdym kroku:

A ja, ach, tak, pamiętam  
Ostatni zjazd Legionów.  
Idą miarowym, sprężystym krokiem,  
Lufy kołysnym lśnią czworobokiem,  
Bojowe twarze powagą ścięte,  
Bo ponad nimi sztandary święte...

Po ukończeniu studiów Ludwika Czaplińska rozpoczęła w 1935 roku bezpłatną praktykę w polonistycznym ognisku metodycznym przy Państwowym Gimnazjum im. Adama Mickiewicza. Pomagała przy organizacji biblioteki dla nauczycieli, prowadziła wykłady na kursach maturalnych Stowarzyszenia Nauczycielstwa Polskiego. W listopadzie 1935 roku objęła posadę nauczycielki języka polskiego w Państwowym Gimnazjum im. Adama Mickiewicza. Od roku 1937 prowadziła tam bibliotekę, opiekowała się pracownią polonistyczną. Pewnie zostałyby wspinałką polonistką, ale wrzesień 1939 zmienił plany jej i wszystkich Polaków. W lutym 1940 roku, podczas przekraczania granicy rosyjsko-litewskiej została aresztowana.

Pierwsze badania na posterunku straży granicznej trwały długo. Oglądano dokładnie rzeczy, potem w osobnym pokoju jakaś moskiewka kazała mi się rozebrać i przeglądała wszystko i mnie samą, jak przedmiot. [...] Wreszcie po tych wszystkich wstępnych ceremoniach zamknięto mnie w malutkiej kamiennej klitce... Od tego rozpoczęły się moje dni więzienne.

Po trzech tygodniach pierwszy więzienny transport, wiodący przez Lidę, gdzie prowadzono drobiazgowo śledztwo. „Dziwili się ciągle, że znam tak dobrze język rosyjski, zapewniali, że mnie wypuszczą, bo mam dokumenty przy sobie, moja sprawa jest jasna...” A potem spreparowany długi akt oskarżenia i po sześciu tygodniach pobytu w więzieniu w Lidzie transport pociągiem na wschód.

Po kierunku zorientowałam się, dokąd nas wiozą. Potem stacja i jeszcze pięć kilometrów marszu po skopanym śniegu. I cel został osiągnięty – mocno stuknęła brama baranowickiego więzienia.

Kolejna rewizja i konfiskata odzieży i ostatnich pamiątek: fotografia męża, obrazek Matki Boskiej Ostrobramskiej, złoty krzyżyk z łańcuszkiem i ślubna obrączka, po zdarciu której pozostała krwawa szrama. Rozpoczął się nowy etap życia, z dala od rodziny, ojczyzny, w poczuciu pozbawienia wszelkiej godności ludzkiej. „Od rana czekałyśmy na noc, z wieczora czekałyśmy dnia i tak trwało”. Monotonię przerywało wprowadzenie do – i tak przepełnionej celi – kolejnych więźniarek, czy niespodziewane wyprowadzenie do łaźni lub na spacer. Nawet święta niczym szczególnym się nie wyróżniały. Więzienna Wielkanoc nie przypominała tamtej rodzinnej sprzed wojny. Tylko w odległych wspomnieniach wracały obrazy marcepanowych kurcząt, bab lukrem bielących się i świątecznych mazurków, dźwięczały wileńskie dzwony:

Już się ozwał Katedralny, Bernardynów  
I Wizytek już wtóruje mu srebrzystość.

Już rozwarły się Katedry drzwi dostojne,  
Już się jarzą, już kadzidel dym się snuje  
I buchnęło organowe, stugłosowe,  
Rozedrgane w swym triumfie „Alleluja”.

Czas odmierzały więzienne śledztwa, dokwaterowanie kolejnych więźniów, choć w celi było już trzydzieści osób. „Ciasnota po prostu niemożliwa. Spałyśmy dosłownie wtłoczone jedna w drugą, wykorzystując każdy najmniejszy nawet skrawek podłogi.” Dochodziły wieści o coraz bardziej brutalnych metodach wymuszania zeznań, rosło poczucie przygnębienia. „Tęsknota za wolnością zaczęła dręczyć jak najstraszliwsza nostalgia.” Czasem zdarzały się bunt i głodówki, za które naczelnik więzienia karał karcerem. W więzienną codzienność docierały informacje o działaniach polskiego rządu, powtarzano zasłyszane fragmenty przemówień Sikorskiego.

To nas cieszyło najbardziej. Był w Anglii nasz rząd, nasze wojsko, ktoś, kto kiedyś, może w dalekiej nawet przyszłości, zatroszczy się o nas, wyrwie z niewoli. W takie dni ożywała nadzieja, śpiewaliśmy wojskowe piosenki, snuły marzenia o powrocie do swoich.

Wśród więźniarek zawiązywały się bliższe znajomości. „Kilka osób zwracało powszechną uwagę. Jedną była Jadzia Domańska<sup>5</sup>, aktorka zawodowa, o której słyszałyśmy dużo opowiadań.” Zmiany losu więźniów wyznaczały decyzje o transporcie.

Kiedy dano rozkaz wymarszu, cała sala nagle samorzutnie zaczęła śpiewać „Jeszcze Polska”. Nie pomogły groźby i krzyki strażników. Wyszłyśmy już z sali, a za nami ciągle płynęła pieśń.

Potem przeliczanie i ładowanie po czterdzieści do bydłowych wagonów.

Głucho dudniły koła, w głowie absolutna, rozpacзлиwa pustka. A więc dokoła się. Wywożę. Pierwszy raz zrozumiałam, że nie wszystko jedno, gdzie zginę i gdzie zakopię. [...] Zdawało się, że coś się stanie, że tej granicy absolutnie nie można minąć, że to jest więcej niż nieludzkie. Niechby zadręczyli, ale na swojej ziemi. A pociąg gnał, nie zatrzymując się nigdzie.

Dopiero którejś nocy postój w Mińsku, a potem miejsce przeznaczenia – Orsza. Cella o wymiarach 3 na 3,5 metra, a w niej 30 kobiet. Więzienna codzienność i informacja, że wywożę na północ. „W ciszy i męce niepewności brzmiało to jak requiem. W ubikacji zaczęły się zjawiać na ścianach wydrapane napisy: „Uwaga – dają wyroki”.

---

<sup>5</sup> Jadwiga Domańska – aktorka, reżyser, pedagog. Występowała od roku 1932 m.in. w Wilnie, Łodzi, Łucku, Lublinie i Bydgoszczy. Po wybuchu wojny brała udział w działalności konspiracyjnej ZWZ w Wilnie. W styczniu 1940 r. została aresztowana przez NKWD, skazana na 8 lat ciężkich robót i wywieziona na Syberię. Zwolniona w 1941 trafiła do Armii Andersa, gdzie zainicjowała działalność kulturalno-artystyczną. Z Teatrem Dramatycznym Armii Polskiej na Wschodzie przebyła cały szlak wojenny. W latach 1943-48 była kierownikiem artystycznym Żołnierskiego Teatru Dramatycznego. Po 1948 r. była współtwórczynią polskich teatrów emigracyjnych w Londynie. Od roku 1960 kontynuowała działalność artystyczną w Kanadzie, tam też ukończyła studia pedagogiczne. Od 1967 mieszkała w Ottawie, w latach 1980-87 prowadziła tam polski program telewizyjny. Zmarła w roku 1996 r.

Biesiadowska została skazana na 5 lat przymusowych robót w karnym obozie pracy. „Dlaczego specjalnie w karnym – nie wiem” – pisała po latach we wspomnieniach.

To tylko było najgorsze, że miejscowość, gdzie miałam być odesłana, nazywała się Jaja, a więc nie Poćma, a więc stracona nadzieja spotkania kogoś z dawnych znajomych.

Rozpoczął się kolejny etap obozowej gehenny. Wywożono w wagonach towarowych, a podróży towarzyszyła „uporczywa myśl, że jadę coraz dalej i dalej, bez nadziei powrotu.” Po drodze dwudniowy postój w Moskwie, potem most na Woldze, Ural i „wjechałyśmy na obszar Syberii. [...]”. W Naryjsku, „daleko za Nowosybirskiem nastąpił kres podróży.” Ale nie na długo, bo jeszcze doba w pociągu, długi marsz przez pola, potem dwie godziny na lodowatym wietrze i zakwaterowanie w łagrowych barakach. Długich, drewnianych, z dwoma piecami i szeregami dwupiętrowych legowisk. W punkcie centralnym sanktuarium – stolik nakryty czerwoną płachtą, ławka, a na ścianie portret Stalina. Pośrodku obozu kino i biblioteka z komunistycznymi broszurami. Łagrowe życie wyznaczała praca w jajskiej fabryce odzieży<sup>6</sup>. Od 6 do 19 z koniecznym wyrobieniem normy, bo od tego zależał przydział chleba<sup>7</sup>. Czas wolny od pracy przeznaczony był na przymusowe lekcje komunistycznego wychowania.

Dziś rano znów „powierka” rzeczy,  
Dziś wieczorem codzienne „wnikanie”,  
Znów „cech”, „rozgruzka”, „brak”, „norma”,  
Ciągła rozpacz nie do wytrzymania.  
[...] A potem znów w krąg, w kółko to samo,  
Znów zaciska się zęby, znów serce skowyczy  
I ani jednej łzy. A tylko w nocy kusi  
Poprzeczna belka na ponurej pryczy.  
A jednak tak nie można, nie wolno, nie trzeba...

Życie pozbawione nadziei płynęło monotennie. Urozmaicały je tylko rzadkie chwile szczęścia, gdy nadchodził list z domu. W dalekiej Polsce pozostali rodzice i bliscy, tam też zostały pozbawione rodziców dzieci. Takim dzieckiem była Bożenka, „jasnowłosa Jadzina córeczka”, którą Biesiadowska знаła „tylko z opowiadań, no i z fotografii troszeczkę.” Od przebywającej w łagrze matki dziewczynki wiedziała, że ma ona „jasne loczki i minkę trochę dużej panienki, że lubi mówić o gwiazdach, a z bajek najwięcej kocha tę o wielkim, strasznym czarowniku.” Tytułowa Bożenka nie znała matki, dla niej ta cierpiąca w łagrze i tęskniąca kobieta to „jakaś obca”, nieznaną pani, o niej i jej podobnych będzie się być może uczyła na lekcjach historii poważnej, kiedy „bardzo stary profesor w okularach będzie mówił długo i szeroko o światowej wojny kuluarach”.

<sup>6</sup> Jajska fabryka odzieży była w 1940 roku największym przedsiębiorstwem GULAG-u szyjącym ubrania dla więźniów, pracowali tam więźniowie zesłani do Syberyjskiego ITŁ (Syberyjskiego Poprawczego Obozu Pracy); Łagry. *Przewodnik encyklopedyczny*, pod red. N. Ochotina i A. Rogińskiego, Warszawa 1998, s. 477-478.

<sup>7</sup> Dzienna norma chleba ustalona w październiku 1941 roku dla więźnia zatrudnionego przy produkcji wykonującego 200% normy i więcej wynosiła 800 gram, 100% – 600 gram, do 50% – 300 gram. W praktyce przydziały były znacznie niższe; S. Ciesielski, *GULag. Radzieckie obozy koncentracyjne 1918-1953*, Warszawa 2010, s. 337.

Nastały mrozy, śnieżyce, huragany.

Mijały dni rozpaczliwie beznadziejne, znaczone na ciemnogrnatowym niebie malinowymi wschodami i zachodami. Piękniejszego nieba niż tam i takich wschodów i zachodów słońca nie ma nigdzie.

Równie pięknie prezentowała się zorza polarna.

Całe niebo zasłaniała jedna świetlista gwiazda o gigantycznych słupach promieni. Środek, złożony cały z jaśniejących, drgających nieustannie cząstek, zmieniał co pewien czas miejsce i słupy promieni natychmiast przystosowywały się do niego. Tło nieba było jasnobłękitne, jakby pociągnięte uroczystą białawą poświatą, a żywa gwiazda nasuwała myśl o legendach i objawieniach świętych postaci.

Na przekór wszystkiemu więźniów nie opuszczała nadzieja, która „w głębi serc zamknięta każe śnić inaczej, wierzyć, że jeszcze nie wszystko skończono, że los się odmieni...”

Że kiedyś wreszcie, o jakiejś godzinie,  
O świcie, czy o zmierzchu skończy się zło tragiczne  
I pociąg długi, pośpiechem zdyszany  
Ominie zwolna dwa słupy graniczne.

I stał się cud, przyszło upalne lato 1941 roku, a wraz z nim wiadomość o podpisanym 30 lipca układzie polsko-rosyjskim przywracającym stosunki między ZSRR a Polską i zezwalającym na utworzenie na terenie Związku Radzieckiego polskiej armii<sup>8</sup>. Na wieść o ogłoszonej 12 sierpnia amnestii dla polskich jeńców wojennych i wszystkich obywateli polskich więzionych na terenie ZSRR napisała Biesiadowska dzień później wiersz zatytułowany „Sikorskiemu”.

Pierwszy raz imię Twoje, Generale,  
Przyszło na fali radiowej z Londynu.  
[...] mówiłeś, że nasi mężowie i bracia  
Są przy tobie, bliscy, że tworzą wojsko  
I, że Polska – będzie.  
Tych słów ja, Generale, nigdy nie zapomnę..  
O, Ty nie wiesz przecie,  
Co znaczy tu otrzymać wolność z polskiej ręki  
I imię Twe w sowieckiej przeczytać gazecie.

Wtedy nie wiedziała, nie mogła nawet przewidywać, jaki będzie los tego wiersza... Na zwolnienie musiała jednak Biesiadowska poczekać. Ale wreszcie nadeszła długo oczekiwana wolność.

Razem z dwiema koleżankami wyszłam za bramę łagru. Po raz pierwszy od dwóch prawie lat bojec z karabinem nie szedł za nami. Nie umiem opisać tego uczucia. Wolno było cieszyć się słońcem, wodą, powietrzem. Cały świat nabrał koloru. Czyż może być większe szczęście?

<sup>8</sup> Wieści o podpisanej umowie, a potem o amnestii docierały do więźniów różnymi drogami. Biesiadowska tak opisuje ten moment: „Któregoś wieczora [...] uderzył mnie dziwny widok. [...] Tam, gdzie pracowały Polki, stał naczelnik otoczony tłumem dziewcząt i coś im czytał, a one co chwila zagłuszały go burzą oklasków albo ścisnęły jedną drugą. W pewnym momencie myślałam, że zwariowały. Podeszłam bliżej i dowiedziałam się o traktacie polsko-rosyjskim i o amnestii.”

Zwolnienie z łagru oznaczało skierowanie do Czimkentu, miasta w Uzbekistanie. Podróż pociągiem, mimo niewygody, napawała optymizmem.

Wsiadłyśmy do pociągu wypełnionego niemal wyłącznie powracającymi ła-giernikami. Wszędzie słychać było polską mowę. [...] Tę drogę wspominam ja-ko jedną z cudowniejszych w życiu. [...] Przez cały czas towarzyszyło nam upojne uczucie wolności i podziwu dla piękna świata, zwłaszcza cudnych Gór Ałmatyjskich – brązowych wieczorem i różowo-mglistych o wschodzie.

Po trwającej 8 dni podróży wreszcie Czimkent<sup>9</sup>. Miasto, w którym urze-kała Biesiadowska gościnność mieszkańców. Wkrótce szczęśliwie udało się zdo-być posadę nauczycielki w wiosce oddalonej o 8 kilometrów. Historia zatoczyła koło, nauczycielka języka polskiego z Wilna została nauczycielką w rosyjskiej szkole. Ale do pełni szczęścia wciąż jeszcze czegoś brakowało. „Co dzień by-wałyśmy w urzędzie wojskowym, żeby dowiedzieć się, gdzie tworzy się nasza armia.” Bo jak pisał Feliks Konarski: „Były jedynie dwie kategorie ludzi: ci, którzy byli w wojsku i ci, którzy za wszelką cenę chcieli być!”<sup>10</sup> Uzyskanie informacji nie było łatwe, pomógł jakiś przygodny ukraiński artysta, który przypomniał sobie, że podczas tournée przejeżdżał przez Buzułuk i tam widział polskie wojsko. Posłały zgłoszenie, po długim oczekiwaniu, gdy już traciły nadzieję, przyszło wezwanie do polskiej armii. I znów podróż pociągiem, ale w jakże innym nastroju<sup>11</sup>. Po raz kolejny Ural, a potem pogrążony w nocnej drzemce Buzułuk<sup>12</sup>. Dom, przed którym

przechadzał się tam i z powrotem prawdziwy polski żołnierz z karabinem i orzełkiem na czapce. Nad drzwiami powiewały chorągwie<sup>13</sup>. [...] Nie zapłaka-łyśmy ze wzruszenia – tego nie można było wyrazić płaczem, tylko żadna z nas nie potrafiła wydobyć z gardła najmniejszego głosu. Bo jakże – przecież w tym sowieckim mieście chwał się swobodnie na wietrze i mienił się w łzawej mgłę biało-czerwony sztandar. Oto po latach poniewierki, poprzez tysiące, tysiące ki-lometrów przemówiła do nas ojczyzna.

Wkrótce Ludwika Biesiadowska wstąpiła do Pomocniczej Służby Kobiet, formacji powołanej rozkazem gen. Władysława Andersa we wrześniu 1941 roku<sup>14</sup>, której żołnierzy nazywano popularnie „pestkami”<sup>15</sup>. W Buzułuku utwo-

<sup>9</sup> W obwodzie Czimkent znajdowały się duże skupiska ludności polskiej, część Polaków – tak jak Biesiadowska – przybyła tam w roku 1941. Warunki egzystencji były bardzo ciężkie, często koczowano pod gołym niebem, bez środków do życia; S. Kot, *Rozmowy z Kremlem*, Londyn 1959, s. 76.

<sup>10</sup> F. Konarski, *Piosenki z plecaka Helenki*, Rzym 1946, s. 47.

<sup>11</sup> Podobnie jak Biesiadowska wspominało tę podróż wielu Polaków, np. T. Gwiazda-Dłuska, *Wspomnienia o niedoli mojej rodziny*, [w:] „Wspomnienia Sybiraków”, t. I, Warszawa 1990, s. 106-107.

<sup>12</sup> Buzułuk – miejscowość koło Kujbyszewa, nad rzeką Samarą, gdzie we wrze-sniu 1941 roku ulokowano Dowództwo Armii Polskiej.

<sup>13</sup> Do siedziby dowództwa, nad którą powiewały trzy flagi: polska, brytyjska i radziecka, docierały kolejne grupy ochotników; K. Filipow, Z. Wawer, *Przechodniu, powiedz Polsce...*, Warszawa 1991, s. 72.

<sup>14</sup> Szczegóły organizacji PSK sprecyzował gen. W. Sikorski w instrukcji przeka-zanej gen. W. Andresowi w grudniu 1941 roku. Podkreślał w niej, że kobiety w armii mogą pełnić funkcje personelu szpitalnego, świetliczanek i kantyniarek, maszynistek, telefonistek, telegrafistek, szoferek oraz pracowników administracyjno-gospodarczych.

rzo szefostwo PSK, kierowała nim Władysława Piechowska<sup>16</sup>. Warunki życia w Buzułuku były trudne, wojsko mieszkało w namiotach albo ziemiankach. W ziemiankach lokowano też świetlice prowadzone przez ochotniczki z PSK. Pomimo wojennych trudów kobiety spisywały się bardzo dzielnie, były szczęśliwe i dumne, że mogą nosić polski mundur<sup>17</sup>. Ochotniczki pracowały w szpitalach i przychodniach, biurach, sierocińcach, magazynach, kasynach, kuchniach, pralniach i szwalniach, prowadziły świetlice. Szczególną rolę odgrywała właśnie praca świetliczanek, które organizowały życie kulturalne, pomagały żołnierzom w pisaniu listów do rodzin, przygotowywały gazetki ściennie i programy artystyczne. W PSK wydawano gazetkę noszącą tytuł „Ochotniczka”<sup>18</sup>.

Biesiadowska została przydzielona do plutonu oświatowego, a potem – w charakterze referenta – do biura historycznego. Jesienią 1941 roku napisała słowa „Hymnu Ochotniczek”, muzykę do tekstu skomponowała Aleksandra Hanuszowa.

Bacność! Na sztandar zwracamy jasny wzrok!  
Nadszedł już czas, Ojczyzna woła nas!  
W rytm serc gorących uderza równy krok.  
Znamy ten szlak, to kobiet polskich szlak.

Refren: My całym światem wędrujemy,  
Śmierć czarna strzeże trudnych dróg.  
Lecz w duszach niesiemy płomień,  
Bo naszym hasłem Polska jest i Bóg.

Choć czasem smutno, nie błyska w oku łza.  
Męstwo i hart w ofierze trzeba dać,  
My dzisiaj wszystkie w najświętszej służbie tej,  
Na posterunku do końca będziemy trwać.

Refren: My całym światem...<sup>19</sup>

Niezwykłe w życiu Ludwiki Biesiadowskiej wydarzenie miało miejsce w grudniu 1941 roku. Wtedy to gen. Władysław Sikorski odbywał objazd polskich obozów w ZSRR i 11 grudnia odwiedził obóz w Buzułuku, gdzie zapa-

Kobiety mają być traktowane jak normalni żołnierze, a stosunek do nich musi być pod każdym względem wzorowy; M. Maćkowska, *Pomocnicza Służba Kobiet w Polskich Siłach Zbrojnych w okresie 2 wojny światowej*, Londyn 1990, s. 15-16.

<sup>15</sup> „Nasze drogie „pestki”, których poświęcenie przejdzie kiedyś [...] do historii całego uchoźstwa polskiego, dają z siebie wszystko, co tylko mogą. Ich praca i samozaparcie jest godne podziwu...” Tak o kobietach-żołnierzach pisał żołnierz Armii Andersa Bronisław Dowgiałło; B. Dowgiałło, *Z wojennego szlaku (1939-1942)*, [w:] *Tak było... Sybiracy 8. Wyszli z Andersem*, Kraków 2002, s. 189.

<sup>16</sup> O organizowaniu PSK szerzej: M. Maćkowska, op. cit., s. 11-13.

<sup>17</sup> Hermina Naglerowa wspominała: „Nosiliśmy mundur przez pięć długich lat. Był dla nas najpiękniejszą suknią zdobiącą naszą pracę i nas same”; H. Naglerowa, *Pięć lat PSK*, „Ochotniczka” Rzym, IX 1946, nr 9.

<sup>18</sup> Początkowo jej nakład to zaledwie 4-6 egzemplarzy, pisana był ręcznie, a ilustrowały ją Maria Milejowa, Maria Zaleska-Stokłosa i Iżykowska. Z powodu braku materiałów gazetka szybko przestała wychodzić. Wznowiono jej wydawanie dopiero w październiku 1943 roku w Palestynie. Redaktorką została Hermina Naglerowa. Ostatni numer ukazał się we wrześniu 1946 roku.

<sup>19</sup> Tekst hymnu został zamieszczony na łamach I drukowanego numeru „Ochotniczki” w październiku 1943 roku.



nował szczególny nastrój. Każdy „żołnierz chciał zobaczyć swego Naczelnego Wodza, którego nazwisko urastało dla niego – więźnia i łagiernika – do niemal symbolu, za jaki tyle wycierpiał. Żołnierz miał przywitać w gen. Sikorskim [...] przede wszystkim oswobodziciela, który go wyrwał śmierci i dał mu prawo do dalszej walki.”<sup>20</sup>

W Buzułuku gen. Władysław Sikorski był uroczysto witany przez żołnierzy, już w angielskich mundurach i z bronią. Na dworcu orkiestra zagrała hymn i odbyła się defilada. Potem – wraz z towarzyszącymi mu osobami – spotkał się z szefami służb i komend w siedzibie Sztabu. Powitalne przemówienie wygłosił gen. Władysław Andres, podkreślił zasługi Sikorskiego i zapewnił o gotowości wojska do najwyższych poświęceń. Na przyjazd Naczelnego Wodza przygotowano specjalny program artystyczny, którego pierwszy punkt stanowiła recytacja wiersza Ludwika Biesiadowskiej „Sikorskiemu”, napisanego jeszcze w sowieckim łagrze w 1941 roku, w wykonaniu artystki teatru wileńskiego Jadwigi Domańskiej. „Wiersz był wyjątkowo silny w wyrazie, oddawał przeżycia duchowe i świadczył czym było dla więźniów-zesłańców nazwisko Sikorskiego”<sup>21</sup>.

Jak wspominał Stanisław Kot, recytacja ta w sposób szczególny wzruszyła generała, który uściskał z rozczuleniem autorkę i recytatorkę<sup>22</sup>. W programie były ponadto: zbiorowa deklamacja kolejnego wiersza Biesiadowskiej „Ochotniczka”, pieśni w wykonaniu ppor. Stanisława Pieczora, fantazje z pieśni żołnierskich w opracowaniu kapelmistrza Ludwika Philipsa zagrane przez orkiestrę szwadronu przybocznego, piosenki w wykonaniu kwartetu wokalnego ochotniczek (układ i akompaniament por. Jerzy Kropiwnicki), „Piosenka o rodzinnym domu” odśpiewana przez Zofię Terne, wiersze Konrada Toma: „Sternik” i „Dojdziemy” recytowane przez Jadwigę Domańską, scenka pióra Toma „Przetwórnia wojskowa” w wykonaniu ppor. A. Szczepańskiego, plut. B. Kersena i kpr. S. Belskiego oraz występ chóru kandydatów do szkoły podchorążych<sup>23</sup>.

Niewątpliwie Ludwika Biesiadowska – podobnie jak inni żołnierze – mocno przeżywała wizytę gen. Sikorskiego. Pod wpływem emocji powstał kolejny wiersz „Powrót” opatrzony przez autorkę adnotacją: „w Buzułuku, 1941 rok. Wiersz na przyjazd Generała.”

Wiecie, czasami mi się marzy pijany szczęściem dzień powrotu,  
Kolumny pierwsze już wkraczają do miasta z dalekiego lotu.  
Tłum na ulicach, na balkonach wita nas żywym transparentem  
i orgia, orgia oszalała, najdroższej bieli z amarantem.[...]  
a my idziemy wciąż, manierka brzęknie  
lub załśni w słońcu lufa mauzera.[...]  
słuchajcie, my musimy wrócić,  
za bardzo tęsknią tam za nami.

Wiersze pisane w Buzułuku okazywały z jednej strony codzienne życie żołnierzy, z drugiej zaś były poetyckim zapisem marzeń i wspomnień.

<sup>20</sup> K. Rudnicki, *Na polskim szlaku*, cyt. za S. Kot, op. cit., s. 67.

<sup>21</sup> M. Maćkowska, op. cit., s. 15

<sup>22</sup> S. Kot, op. cit., s. 215

<sup>23</sup> Program uroczystego poranku na powitanie Naczelnego Wodza – kserokopia w posiadaniu autorki.

Taki codzienny ranek [...] za minut dwadzieścia zbiórka, za pół godziny marsz. A serce wciąż rwie się do miejsc i osób kochanych... Coś mi w duszy wciąż płacze, coś w niej żyje i wzrasta...

Przystaję, serce ściska cichutko i boleśnie  
Nagła, nawrotna fala.  
Przychodziłeś dziś do mnie we śnie.

Życie wojskowe, choć surowe i podlegające dyscyplinie, skłaniało do dumy, przyjało wspomnieniom. W Mikołajki 1941 roku Biesiadowska napisała wiersz „Do Marysi”, w którym przywołała „dawne zamierzchłe czasy, zabawy dziecinne, obiady gotowane dla lalek, [...] jabłka z sadu ciotki kradzione, pamiętne wieczory w małym pokoiku, uśmiechniętą twarz mamy...” Twarda żołnierka, z syberyjską przeszłością, a jednocześnie tkliwa, sentymentalna, kobieca.

Ochotniczki PSK zatrudnione jako świetliczanki miały wiele zadań. Przepisywały komunikaty radiowe i przekazywały ich treść żołnierzom, urządziły jasełka i wieczory kolęd, organizowały życie kulturalne. W Buzułuku, daleko od ojczyzny wszelkie uroczystości nabierały szczególnego znaczenia. Taki charakter miał wieczór ku czci Najświętszej Marii Panny Zwycięskiej, jaki odbył się 14 grudnia 1941 roku. Program wieczoru był bardzo bogaty. Najpierw *Bogurodzica Dziewica* w wykonaniu chóru pod batutą por. Jerzego Kropiwnickiego, a po nim przemówienie gen. Wacława Przeździeckiego. Ochotniczka A. Kopijczukowa zagrała kilka melodii na skrzypcach solo, a następnie duet W. Wójcikiewicz i A. Kopijczukowa wykonał „Ave Maria”. Jadwiga Domańska z właściwym sobie kunsztem aktorskim zaprezentowała wiersz „Częstochowska” autorstwa Kazimierzy Iłakowiczówny oraz napisany przez Ludwikę Biesiadowską tekst „Przysięgaliśmy Ostrobramskiej Królowej”.

Kiedyś dawno, drugiego lipca w Wilnie  
Przysięgaliśmy Ostrobramskiej Królowej.  
Tłum jak fala olbrzymia zatrzymana w biegu  
Skupił się, ściął i na kolana padł przed Majestatem.[...]  
Czas przeminął i klęską zaciążył nad nami.[...]  
Daj nam, o Pani Jasna, ten ciężki szlak porzucić,  
Pomóż nam wszystkim przetrwać i pomóż wszystkim wrócić [...]  
Krok nasz równo uderza, morze wydarzeń wzbiera,  
Pozwól iść szlakiem polskim żołnierza i bohatera.

W podniosłym, religijnym nastroju utrzymane były kolejne punkty programu: „Kołysanka Maryi” w wykonaniu H. Wyszukowskiej i chóralna modlitwa „Zdrowaś Mario”. Na zakończenie por. Jerzy Kropiwnicki zaprezentował improwizację na fisharmonii, a Jadwiga Domańska wraz z chórem przedstawiła „Śluby Jana Kazimierza”. Tekst opracowali: Ludwika Biesiadowska i kpt. Walerian Charkiewicz, dekorację wykonał ppor. Stanisław Westwalewicz<sup>24</sup>.

Jak widać, poetycki talent Biesiadowskiej znalazł swoje miejsce w wojskowym życiu kulturalnym. Z okresu pobytu w ZSRR (do września 1942) pochodzą też inne jej teksty, jak choćby pełen nostalgii wiersz „Wielkanoc w Wilnie” napisany w Kermine w Wielkanoc 1942 roku. Czas wojskowej służby

<sup>24</sup> *Wieczór Maryański ku czci Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny Zwycięskiej. Niedziela 14 XII 1941. W Buzułuku Sztab Polskich Sił Zbrojnych w ZSRR – kserokopia w posiadaniu autorki.*

w 7 Dywizji Piechoty<sup>25</sup> wypełniały marzenia o domku „z galeryjką i ze wschodnim, kolumnowym gankiem, gdzie można byłoby spędzać czas z mężczyzną, który siadłby przy mnie bliźutko i patrzył w oczy”. Otoczenie, „gdzie góry są ciemne sepia, góry są ciemnym fioletem i pławią się w turkusowym Kaspijskim Morzu” budziło zachwyt, ale też potęgowało samotność:

I tylko czasem, wieczorem, gdy góry już szernieją  
A wiatr łagodny powieje od morza błękitną tęsknotą,  
Tak kulę się niespodzianie, tak drzę w strasliwym  
Chłodzie,  
Jak psiak bezdomny, co pragnie swojego pana pieszcoty.

Wracały też wspomnienia rodziny, a listy do matki nabierały poetyckiej formy:

Wiesz matulu, tutaj co dzień z rana  
Suną wolno tak wielbłądów karawany,  
W dali widać jakieś obce góry,  
Z dołu cieniem się błękitnią ponurym  
Różowieją wyżej długim szeregiem  
I aż w chmurach giną białym śniegiem.

I pomimo pięknej przyrody, to „obco, nieprzytulnie jest czasem”, a do tego „beznadziejnie tęskni się”. I narasta żal, „że tak dawno już, kochani moi, nie chcieliście odwiedzić mnie choć we śnie”. Więc pojawia się jedno wielkie, a przecież nierealne marzenie:

[...] wiecie, co bym chciała,  
Tak pojechać do was morzem, łądem,  
Choćby takim sobie pierwszym lepszym,  
Ukradzionym z karawany wielbłądem.  
Przyszłabym wieczorem, niespodzianie,  
Cóż za radość byłaby, mój Boże,  
Śmiech, okrzyki, zapytania przerywane...

Ze Związku Radzieckiego droga wiodła najpierw do Iraku (w trakcie transportu Biesiadowska prowadziła żołnierską kantinę), a potem do Palestyny, gdzie w miejscowości Rehwoth organizowała wojskową świetlicę, redagowała gazetkę ścienną i pisała teksty do „Gazety Polskiej”. Kolejne Boże Narodzenie z dala od kraju i najbliższych przywołało wspomnienia, które zainspirowały do napisania wiersza „Ballada o Bożym Narodzeniu w Wilnie 1942 roku”. To poetycki opis wędrówki Matki Boskiej z maleńkim Jezusem po ulicach i świątyniach Wilna. W kościele św. Michała złożyła dzieciątko w żłobie i wtedy przyszli do niego niczym trzej królowie „prawdziwi, polscy, z orzełkiem na czapkach – żołnierze”. Był wśród nich „junaczek zuchwały”, który „chciał się samej Pani Świętej meldować, tak, jak go pan wachmistrz uczył”. Ale ze wzruszenia „coś go w gardle zdławiło, stanął tylko na baczność aż miło i rękę do czapki przyłożył...”

A potem po kryjomu,  
Nic nie mówiąc nikomu,[...]

<sup>25</sup> W materiałach przechowywanych w Archiwum Wschodnim Ośrodka Karta znajduje się kserokopia legitymacji ochotniczki Ludwiki Biesiadowskiej zajmującej stanowisko kancelistki Kwatery Głównej 7 Dywizji Piechoty (legitymacja nr 12 wystawiona przez Dowódcę Polskich Sił Zbrojnych w ZSRR).

Z kieszeni wyjmował i dawał do rączek uśmiechniętej dziewczyny  
Pomarańcze złote z Palestyny [...]

Był też „jeden sierżant stary, który dał na sercu chowany kawałek dobrej przepowiedni skrypty i kilka skarabeuszy z kości słoniowej, wiezionych dla Syneczka z dalekiego Egiptu.[...] A potem ktoś zaszeptał głucho do drugiego na ucho, że zimno. Więc skupili się w kolisko”.

I zapłonęło wnet przed żłobeczkiem  
Żołnierskim obyczajem ognisko.  
A, że drzewa nie mieli, ani kawałeczka wcale,  
Więc na ogień swe serca od miłości płonące rzucali.

Kolejny rok 1943 upłynął Biesiadowskiej między Jerozolimą a Stambułem. W styczniu trzymała stypendium z Funduszu Kultury Narodowej<sup>26</sup>, dzięki czemu mogła uporządkować wspomniane już zapiski z pobytu na zesłaniu oraz przygotować do druku tomik wierszy zatytułowany „Po drodze z Wilna czy Nowogródka na Syberię, a przez Persję, Irak, Palestynę i Egipt do Turcji...” wydany przez Książnicę Polską w Glasgow<sup>27</sup>. Od marca 1943 roku pracowała w Ambasadzie Polskiej w Stambule, prowadziła tam kancelarię, zajmowała się też organizowaniem pomocy dla jeńców wojennych w Niemczech<sup>28</sup>. Okres ten przyniósł kolejne teksty poetyckie. Wymownie brzmiał wiersz „Niemcom”, w którym autorka przestrzegała wroga, że nie może czuć się bezkarny ani bezpieczny. Przemawiała do Niemców kategorycznym tonem: „wam się jeszcze zdaje, że zbrodnią i przemocą zmusicie nas zapomnieć i w nowy sposób żyć...” A przecież „dla nas to jest sprawa, by nie być, albo być.” W tej sytuacji nie pomogą: wojsko, nakazy, ani prawa, ani najstraszniejsze nawet cierpienia, bo

Nie potraficie zmusić do zaniechania walki,  
Wyplenić z duszy polskiej miłości do Ojczyzny!

Bunt przeciw wojnie mieszał się z tęsknotą za krajem, przywoływał wspomnienia miejsc znanych, a tak odległych. W strofach wierszy pojawiał się obraz Warszawy, której ulice „miękkim wiatrem wilgotne przedwiośnie opętało.” A gdy kamienice „w milcząca noc zastuchane stoją”, dziewczęce dłonie rozlepiają plakaty, by następnego dnia zadrżały radośnie serca „ludziom zgnębionym”. By powiało wolnością...

<sup>26</sup> Fundusz Kultury Narodowej powstał w Paryżu, potem funkcjonował w Londynie. Kierował nim Jan Hulewicz. Udzielał artystom i naukowcom wsparcia finansowego, dzięki czemu otrzymywali oni zasiłki, finansowano ich wyjazdy i publikacje (np. opublikowany w Glasgow w 1945 roku tomik wierszy L. Biesiadowskiej, *W drodze*); M. Danilewicz-Zielińska, *Szkice o literaturze emigracyjnej*, Paryż 1978, s. 81-84.

<sup>27</sup> To właśnie ten tomik otrzymała autorka od krewnego Biesiadowskiej.

<sup>28</sup> Praca Biesiadowskiej spotkała się z uznaniem przełożonych. Kierownik Placówki w Stambule w piśmie z dnia 17 sierpnia 1945 roku pisał: „Stwierdzam, iż Ludwika Biesiadowska pracowała w placówce MSZ w Stambule od dnia 1 marca 1943 do 17 sierpnia 1945 (tj. do dnia zakończenia prac likwidacyjnych w Turcji) prowadząc dział kancelarii ogólnej oraz pomocy paczkowej dla kraju wykazała się wyjątkową sumiennością, dokładnością i szczerą ideową oddaniem pracy. Na szczególne podkreślenie zasługuje dyskrecja i obowiązkowość w wykonywaniu powierzonych jej obowiązków”. Kserokopia pisma w materiałach Archiwum Wschodniego Ośrodka Karta, ZS 491.

Ranek w jasność białawą spowił  
Postać małą, bezwładną i krwawą.  
Rozpląkała się mglistym świtem  
Nad swym dzieckiem walcząca Warszawa.

Ale na przekór wszystkiemu otaczający świat kusił swym pięknem, więc warto było czasem „samotnie, wieczorem po stambulskich ulicach chodzić, [...] błądzić wśród tłumu ludzi, [...] skręcać w obce zaułki”. Podziwiać moment, gdy „załśni znienacka na Bosforze połysk białawy”. Wtedy w wyobraźni można toczyć długie rozmowy... Czasem jednak, gdy „deszcz za oknem pada, wicher dmie od Bosforu, kłębi się w duszy żal”. I przychodzi gorzka refleksja: „wszystko jest tam, a nie tu”. Bo przecież – jak podkreślała z żalem Biesiadowska – „coś się w życiu już skończyło, [...] nie mam domu, ni ojczyzny i przybędą jestem wszędzie.”

Po zakończeniu działań wojennych była nadal związana z armią, była spikerką radiową, a od kwietnia 1946 roku pracowała w Sekcji Wydawniczej w Jerozolimie jako korektorka. Przełożeni docenili jej ofiarną służbę. Na mocy rozkazu nr 111/46 ochotniczka Ludwika Biesiadowska z Kompanii Zapasowej PWSK została odznaczona medalem Wojska Polskiego<sup>29</sup>. We wrześniu 1947 roku wyjechała do Anglii, a po odejściu do rezerwy podjęła pracę w londyńskim muzeum nauki i techniki. Pracowała w aptece i w biurze opiekuńczym. Dzięki kontaktom z profesorem Stanisławem Kościałkowskim (przedwojennym wykładowcą historii na Uniwersytecie w Wilnie) udało się jej uzyskać zaświadczenie o ukończonych studiach polonistycznych<sup>30</sup>. Po wyjeździe do Stanów Zjednoczonych została zatrudniona w Miejskim Towarzystwie Opiekuńczym w Chicago, a potem w Instytucie Sztuki.

Po rozwodzie z pierwszym mężem Bohdanem Biesiadowskim, 21 sierpnia 1954 roku poślubiła Mariana Szklarka (1915-2005), żołnierza Polskich Sił Zbrojnych<sup>31</sup>.

Ludwika Biesiadowska-Szklarek zginęła w wypadku w 1976 roku. Jej prochy wróciły do Polski, zostały pochowane na cmentarzu Doły w Łodzi. Odeszła kobieta-ześlaniec, kobieta-żołnierz. Pozostała pamięć. Po śmierci Biesiadowskiej w Chicago odbyła się akademie, podczas której żegnano zmarłą jak żołnierza. W Polsce w roku 1981 zamieszczono w „Odgłosach” artykuł o niej oraz kilka wierszy, a rok później program IV Polskiego Radia wyemitował audycję jej poświęconą. Wiersze Biesiadowskiej trafiły do wielu tomików poezji

<sup>29</sup> Legitymacja Nr 3028 – kserokopia w materiałach w Archiwum Wschodnim Ośrodka Karta ZS 491.

<sup>30</sup> W piśmie z 1 października 1945 roku Stanisław Kościałkowski potwierdził, że „Ludwika Biesiadowska (wówczas jeszcze Czaplńska) odbyła studia na wydziale humanistycznym Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie i po złożeniu ze skutkiem pomyślnym wszystkich przepisanych egzaminów oraz napisaniu rozprawy na temat „Żeromski a pozytywiści” i przyjęciu jej przez komisję otrzymała w roku 1935 dyplom mgr filozofii w zakresie filologii polskiej. W roku 1938 po upływie przepisane dwulecia złożyła egzamin kwalifikacyjny na nauczyciela szkół średnich;” kserokopia w materiałach w Archiwum Wschodnim Ośrodka Karta ZS 491.

<sup>31</sup> Losy Mariana Szklarka zostały szczegółowo opisane na łamach „Rocznika Legionowskiego”: B. i S. Szklarek, *Życie jak wiek długie*, „Rocznik Legionowski”, III, 2008, s. 252-283. Tam też wzmianka o Ludwice Biesiadowskiej-Szklarek (s. 277).

łagrowej i zesłańczej. Znalazły się w wydanej w roku 1993 antologii polskiej poezji żołnierskiej na obczyźnie 1939-1945 zatytułowanej „Wiatr nas nosi po świecie”<sup>32</sup>. Wiersz dedykowany Sikorskiemu zamieszczony został w antologii tekstów o gen. W. Sikorskim<sup>33</sup>, pięć utworów przytoczyła Nina Taylor-Terlecka w „Gułagu polskich poetów”<sup>34</sup>.

Pod względem artystycznym twórczość Ludwika Biesiadowskiej można zapewne oceniać bardzo różnie, należy jednak pamiętać, że wiersz to nie tylko utwór literacki. W przypadku zapisków z zesłania czy żołnierskiej biografii, należy traktować wiersz jako swoiste źródło historyczne, które dokumentuje losy Polaków podczas wojny. Obok osobistych przeżyć są w nim zawarte kronikarskie zapiski ukazujące warunki życia, a tęsknota za krajem i rodziną miesza się z zachwytem nad pięknem przyrody. Wiersze i wspomnienia Ludwika Biesiadowskiej pozostają w strefie cienia między historią a obszarem pamięci i dlatego są tak ważne, zarówno dla historyka, badacza wojennych losów Polaków jak i dla osób, które doświadczyły wojennych przeżyć.

---

<sup>32</sup> A. Międzyrzecki, B. Klimaszewski, W. Ligęza, *Wiatr nas nosi po świecie. Antologia polskiej poezji żołnierskiej na obczyźnie 1939-1945*, Kraków 1993, s. 59.

<sup>33</sup> J. Feduszka, *Jenerał Sikorski – antologia tekstów o gen. W. Sikorskim*, Mielec – Zamość 2008, s. 13.

<sup>34</sup> N. Taylor-Terlecka, *Gułag polskich poetów*, Warszawa 2011, s. 31-37.

---

---

## RELACJE Z ZESŁANIA

By czas nie zatarł śladów naszych doświadczeń syberyjskich od wieków najdawniejszych aż po okres drugiej wojny światowej oraz w pierwszych latach po jej zakończeniu, a pamięć o tym trwała, redakcja „Zesłańca” postanowiła utworzyć nowy dział poświęcony tej problematyce. Spełniamy tym samym prośby wielu Czytelników, którzy przysyłają propozycje dotyczące publikowania swoich zesłańczych wspomnień, powołując się na zeszyt „Zesłańca” poświęcony Matkom Sybiraczkom, który spotkał się z wielkim zainteresowaniem.

Dział „Relacje z zesłania”, nawiązuje w pewnym sensie do serii „Biblioteka Zesłańca”, ukazującej się w Polskim Towarzystwie Ludoznawczym oraz do serii pod nazwą „Wspomnienia Sybiraków”, wydawanej w poprzednich latach przez Komisję Historyczną Zarządu Głównego Związku Sybiraków pod red. nieodżałowanej pamięci Janusza Przewłockiego, pomysłodawcy tego działu w naszym piśmie. Zesłańcze wspomnienia wydawane są także w poczytnej serii „Tak było... Sybiracy”, realizowanej przez Oddział Związku Sybiraków w Krakowie, pod red. Aleksandry Szemioth, przewodniczącej tamtejszej Komisji Historycznej oraz systematycznie drukuje je czasopismo „My Sybiracy” wydawane przez Oddział Związku Sybiraków w Łodzi. Mamy nadzieję, że przez taki zabieg edytorski wzbogacimy naszą historiografię o cenne źródła dotyczące deportacji Polaków na Syberię, do Kazachstanu, na Daleki Wschód i w inne rejony byłego Związku Radzieckiego. (red.)

\*

### **Stanisław Lasek – Wspomnienia Kresowiaków – Sybiraków**

W krótkim zarysie przedstawimy tragedię naszej rodziny, jak i wielu innych, osiedlonych na Kresach Wschodnich. Mieszkaliśmy w kolonii Terpin, położonej nad rzeką Berezówką. Po drugiej stronie tejże rzeki znajdowała się druga kolonia – Dębina – z czternastoma rodzinami kolonistów. W centrum położona była wieś Dmytrów, w której mieszkało 1100 rodzin, przeważnie ukraińskich, a także mieszanych. Po drugiej stronie Dmytrowa były dwie kolonie czysto polskie – Bełzów i Strachów, kolonie te powstały w latach 1919-1920 z parcelacji dworu ziemianina – Ślężaka. Z początku gmina mieściła się w Dmytrowie, lecz w roku 1930 przeniesiono ją do Chołojowa, małego miasta na trasie Radziechów – Kamionka Strumiłowa.

Okolice to piękny płaskowzgórz żyznej ziemi podolskiej. Gospodarstwa kolonistów obejmowały powierzchnię od 5 do 12 hektarów. Rolnicy uprawiali pszenicę, buraki, lucernę i żyto. Każdy gospodarz posiadał mały sad owocowy. Kolonia Terpin była zamieszkała przez dziewięć rodzin: Leon Walski – siedmioro dzieci, Wojciech Lasek – dziewięcioro dzieci, Jan Koziół – dwoje dzieci, Felek Zbyrał – jedno dziecko, Henryk Łopuszański – bezdzietny, Jan Krawczyk – dziesięcioro dzieci, Michał Dziewa – dwoje dzieci, Jan Piekarz – troje dzieci, Franek Gawęłko – troje dzieci.

Kościół parafialny, w Chołojowie, oddalony był o 4 km, dlatego Polacy (koloniści) rozpoczęli budowę kościoła w Dmytrowie. Budowy niestety nie ukończono, gdyż wybuchła wojna w 1939 roku. We wsi Dmytrów mieliśmy 7-klasową szkołę III stopnia, Dom Ludowy, dużą cerkiew, karczmę „Jośka”, kooperatywę (spółdzielnię), elektrownię, która dostarczała prąd do miasta powiatowego Radziechów. We wsi Dmytrów nie było światła elektrycznego, za wyjątkiem młyna i dworu Ślęzaka. Władze powiatowe nie zezwoliły na zaciągnięcie kabli i elektryfikację wsi Dmytrów, pomimo że sieć słupów i przewodów była przygotowana przez całą wieś.

Wieś i jej budynki – to drewniane domy, skupione przy sobie, kryte tak, że strzechy dotykały jedna drugiej. Przy każdym domu był sad z jabłonią, gruszą, śliwkami itp. oraz ogródki warzywno-kwiatowe. Gdy przyszła wiosna, to cała wieś była potężną doniczką różnokolorowych kwiatów. Jesień natomiast swymi kolorami i odcieniami przypominała ogromną barwną tęczę. Nad rzeką Berezówka rosły dziesiątki wierzb płaczących, a obok wiła się dróżka do pieszych spacerów. Od wschodniej strony aż do naszej kolonii przez mniej więcej trzy kilometry ciągnęły się rozległe łąki i torfowiska, na których pasły się stada bydła, czy też stały stogi siana oraz kopce suszącego się torfu, służącego na opał. Piękno naszej okolicy, z jej różnorodnością – to żywy obraz dla malarza.

Harmonia życia wsi Dmytrów i naszych kolonii nigdy nie była zakłócana. Razem chodziliśmy do jednej szkoły, religii uczyli katolicy księża i prawosławni popi, a jeśli któryś nie mógł być na lekcji, to połączone dzieci z klas uczyły się religii pod opieką księdza albo popa. Zdawało się, że wszyscy dbają o to, aby dobrze gospodarować i zbierać plony pracy rąk. Pomagano sobie wzajemnie przy pracach w polu w czasie żniw, sianokosów czy wykopków ziemniaków.

Ten spokojny tryb życia został zakłócony wybuchem II wojny światowej. Najazd Niemców na Polskę – 1 września 1939 roku, a następnie Rosji sowieckiej i ich okupacja była początkiem tragedii kolonistów, osadników, nauczycieli, leśniczych, żandarmerii oraz inteligencji polskiej zamieszkującej wschodnią Małopolskę, okupowaną przez bolszewików. Nacjonałści ukraińscy i różna szumowina zaczęli masowo występować przeciw polskiej ludności. W listopadzie 1939 roku na kolonii Strachów Ukraińcy wymordowali dwie rodziny kolonistów. Biedota (żłodzieje i różni przestępcy) otrzymali władzę od okupanta bolszewickiego. Potworzyli milicję, otrzymali broń i w biały dzień zaczęli rabować i pacyfikować kolonistów na naszym terenie. W pierwszym tygodniu grudnia 1939 roku Ukraińcy wraz z biedotą napadli na nasze kolonie – Terpin i Dębinę, rabując bydło, trzodę chlewną, zboże, kury, a nawet obuwie. Naszej rodzinie zabrano dwie krowy, trzy paśne świny, ponad pięćdziesiąt kur, odzież i część pościeli. Nacjonałści zapowiedzieli, że „to nie koniec i przyjdą rozprawić się z Lachami, bo my już dość nacieszyli się życiem na ich ziemi”. Kolonia nasza zaczęła się organizować i prowadzić 24-godzinną wartę wokół zabudowań. Złożony meldunek do NKWD nic nie pomógł w tej sprawie, mimo obietnic. Wszyscy Polacy żyli w nieustannym strachu o swoje życie i mienie, z niepokojem oczekując następnego dnia. Święta Bożego Narodzenia 1939 roku przeszły spokojnie, bez wypadków. Niedługo potem na stacji kolejowej w Chołojowie zauważono długi rząd wagonów towarowych z kratami w oknach i piecykami w środku. Zastanawialiśmy się, dla kogo są przeznaczone gdyż posiadały dwa rzędy przycz.



10 lutego 1940 roku o godzinie czwartej rano kolonia nasza została otoczona przez żołdatów NKWD i Ukraińców. Gdy zaczęli dobijać się do drzwi, ojciec otworzył nasz dom. Wówczas żołdat z bagnetem na karabinie i dwóch Ukraińców wpadło do mieszkania, rozpoczynając rewizję (nazwiska Ukraińców – Wasyl Kucuper i Mikołaj Strilkow). Ojca trzymali pod bagnetem i bronią gotową do strzału, Wyrwana ze snu rodzina nie wiedziała, co począć. Powstał wielki płacz dzieci, których było ośmioro, gdyż najstarsze, brat Józef, było u kuzynów. Najmłodsza siostra Rozalia miała wówczas osiem miesięcy.

Enkawudzista ogłosił zarządzenie „Wierchownoho Sowieta”, że „mamy tylko 40 minut na ubranie się, spakowanie rzeczy i opuszczenie domu”. Mama Zofia, słysząc to, zemdląła, a ojcu nie pozwolono się ruszyć. Najstarsza siostra Anna cuciła mamę i ubierała młodsze rodzeństwo. Czas uciekał. Brat Janek pakował rzeczy osobiste rodziny, a Ukraińcy kontrolowali, co bierze, i dużo rzeczy osobistych nie pozwolili zabrać.

Gdy brat udał się do spichlerza po żywność, Ukraińcy odważyli 50 kg mąki i 25 kg kaszy jęczmiennej, przeznaczonej na paszę dla prosiąt, chociaż mąki było około 300 kg, a także większe ilości kasz, to Ukraińcy nie pozwolili wziąć. Dziewięcioletni brat Wojtuś niezauważony przez Ukraińców wbiegł do kurnika i zadusił 25 kur, wrzucił je do worka, a następnie na przygotowane sanie. Mieliśmy w domu tylko pół bochenka chleba, bo właśnie w tym dniu (sobota) miał być pieczony świeży. I to było wszystko, co pozwolono zabrać naszej licznej rodzinie. Po upływie 40 minut żołnierz zakomenderował: – „Wychadi wremia proszło!” Mama Zofia nie zdążyła się ubrać i w nocnej koszuli, ubrana w płaszcz, musiała wychodzić. Mróz był bardzo silny, dochodził do 30 st. poniżej zera. Po załadowaniu rodziny i dobytku na dwie pary sań, dołączono nas do kolumny rodzin sąsiadów, tak jak my wyrzuconych ze swoich domów. Zewsząd słychać było rozpaczliwy płacz dzieci, a także nieustanne wycie psów z naszej kolonii.

Kiedy kolumna sań ruszyła otoczona żołnierzami na koniach, prowadzono nas nie wprost na stację Chołojów w prostej drodze 3 km, lecz jechaliśmy w kierunku wsi Dmytrów okrężną drogą 10 km. Mimo wczesnych godzin rannych, wzdłuż drogi po obu stronach stali Ukraińcy młodzi i starzy, urągając: – „Czas na was, Lachy!” Inni kiwali rękoma na pożegnanie, większość jednak milczała. Po drodze dołączyły do nas kolumny z Bełzowa i Strachowa, naszych kolonistów, nauczycieli z naszej szkoły w Dmytrowie oraz leśniczych (dwie rodziny). Gdy jechaliśmy przez miasto Chołojów, ludność zęgną nas łzami, jedynie Żydzi z czerwonymi opaskami na rękawach, uśmiechali się szyderczo do żołnierzy. Gdy przybyliśmy na stację, część wagonów była zajęta i załadowana. Do wagonu 25 TW załadowano 42 osoby wraz z bagażami. Tłok był niesamowity. W wagonie znajdowało się 18 dzieci do lat 12, w tym troje niemowląt, 6 dziewcząt, 7 kawalerów oraz rodzice w wieku około 50 lat.

Wagon – drzwi odsuwane na zewnątrz – piecyk żelazny 2-fajerkowy, okna okratowane bez osłon, otwór – ubikacja, prycza górna – prycza górna, prycza dolna – prycza dolna. Dzieci zamarznęte w drodze ułożono w pierzynach na górnych pryczach. Na pryczach nie było żadnego pośłania, jedynie deski. Jeśli zważymy, że mróz sięgał 30 st. poniżej zera, to mamy obraz tragedii rodzin wyrzuconych z własnych domów, bez żywności. Dzieci były tak zamarznęte i wyczerpane płaczem, że ledwo dawały znaki życia kwileniem. Tuliły

się wzajemnie, nie dając się odłączyć od matek. Ich oczy przejęte grozą i strachem to niezapomniane wrażenie. Boże, pożałuj nad tymi biednymi dziećmi twymi, którym wyznaczyłeś krzyż cierpienia, tułaczki, nędzy i głodu!

W wagonie było bardzo zimno, gdyż był nieszczelny i z otwartymi oknami. Na stacji udało się ukraść trzy podkłady kolejowe, które natychmiast pocięto i ukryto pod dolną pryczą, by żołnierze nie zauważyli, bowiem w przeciwnym wypadku winni kradzieży natychmiast byliby sądzeni jako sabotażyści. Równocześnie udało się zdobyć trochę węgla i to umożliwiło rozpalenie piecyka. Mróz połączony z wiatrem wciskał się wszystkimi szczelinami wagonu, zwłaszcza przez cztery okna bez szyb, zakratowane.

Dla organizacji życia w nowych warunkach, po krótkiej naradzie wybrano kierownika wagonu, którym został oficer rezerwy Wojska Polskiego, a zarazem leśniczy w Lasach Państwowych na naszym terenie – Michał Kłopotyński. Posiadał liczną, 12-osobową rodzinę. Na zastępcę wybrano mojego ojca, Wojciecha Laska. Do ich obowiązków należało utrzymanie porządku w wagonie i występowanie w imieniu wszystkich do władz sowieckich o zaopatrzenie w żywność, wodę i opał.

Po rozlokowaniu dzieci na górnych pryczach, starsi w miarę możliwości zabezpieczyli okna workami i kawałkami desek, które udało się zdobyć na stacji. Płacz dzieci zmarzniętych, przeziębionych, kaszlących i głodnych przejmował grozą. Płacz ten słyszeć było na całej stacji kolejowej. Nie pomagały zabiegi matek tulących biedactwa do swych piersi. Przez trzy dni dowożono wysiedlone rodziny i samotnych z transportu. W drugim dniu (niedziela, 11 lutego 1940 roku), gdy ojciec udał się po wodę, spotkał szewca, Ukraińca, u którego naprawialiśmy buty i czasami ojciec zatrudniał go przy pracach polowych. Nazywał się Mikołaj Krzywoj. Człowiek ten przyniósł 10-litrową konewkę mleka i cztery bochenki chleba. Inny mieszkaniec Ochladew – Jakub Kielerman, przyniósł kilka bochenków chleba, słoninę, kilka kilogramów mięsa oraz kilka litrów mleka i śmietany, wyrażając się ze smutkiem, że to „dzieciom na pokrzepienie”. Ojciec, Wojciech, ze łzami w oczach dziękował za ten ludzki gest. W wagonie natychmiast nakarmiono najmłodsze dzieci. Kierownik zarządził wspólne gotowanie na trzy rodziny z braku miejsca na piecyku, który miał tylko dwie fajerki.

W trzecim dniu dołączył do nas brat, Józef, który podczas wywózki był u krewnych. Dowiedziawszy się o tragedii, przyjechał, by dzielić los wspólnie z rodziną. Też nocny transport ruszył w kierunku na wschód, z czego wywnioskowaliśmy, że wywożą nas do Rosji. Wszystkie wagony były zamknięte z zewnątrz i pilnowane przez konwojentów transportu, którzy z bronią w rękę śledzili nas z wieżyczek.

W nocy dojechaliśmy na punkt graniczny do Bronowic, żegnając ojczystą ziemię. W Bronowicach na stacji spotkaliśmy kilka innych transportów ludzi wysiedlonych w tym samym czasie jak my z województwa tarnopolskiego. Na stacji zaopatrzone nas w wiadro zupy na 10 osób oraz porcje 20 dkg chleba na osobę i gotowaną wodę (*kipiatok*). Ciągłe słyszeć było nawoływania żołdatów: – „Odkryli!” – co oznacza otwierać, i – „Zakryli!” – zamykać. Na ten głos otwierano drzwi wagonu i wychodzili wyznaczeni przesiedleńcy po wodę i prowiant pod eskortą żołnierzy. Następnie, po powrocie do wagonu, zamykano wagony od zewnątrz. W wagonach było tak ciasno, że brakowało miejsca do wypoczynku dla wszystkich.

Starsi spali na zmianę, gdy jedni odpoczywali, to drudzy stali lub siedzieli na podłodze środka wagonu. Stale zmarznięte nogi cierpiały, gdyż nie było gdzie ich ogrzać. Starsi, zwłaszcza młodzież, mieli kłopot z załatwianiem potrzeb fizjologicznych. Ubikację stanowiła dziura w podłodze wagonu. Z początku, gdy jedna osoba szła za swoją potrzebą, to druga zasłaniała ją kocem. Gdy nadeszły choroby połączone z rozwolnieniem, tak że łało się z ludzi, wtedy nikt nie zważał na obecność innych, tylko aby dojść do otworu. Zmarznięte odchody trzeba było zdrapywać i usuwać otworem, co powodowało fetor w całym wagonie.

Dzieci zaczęły chorować na koklusz i grypę, kaszląc nieustannie. Do tego dochodziły bóle brzucha i biegunka. Niemycie się i brud kału ludzkiego spowodowało rozmnożenie się robactwa, wszy, które wszystkim dokuczały. Wiele dzieci zmarło z przeziębienia i chorób, nigdy nie zbadane przez lekarza. Transport nasz jechał nieraz przez cały dzień, przystając jedynie po uzupełnieniu węgla i wody. Mijaliśmy miasta i osiedla, wszędzie widać było nędzę. Mężczyźni i kobiety ubrani byli jednakowo: w watowane spodnie i kurtki, a na nogach *walonki* (fabrycznie ubita wełna owcza na formie), z kaloszami, niektóre bardzo zniszczone. Na głowach czapki z nausznikami (*papachy*), twarze wynędzniałe.

Na stacjach kolejowych potężne portrety Lenina i Stalina oraz transparenty z hasłami rewolucji i raju sowieckiego. Tak, po 23 dniach podróży w oblodzonych ścianach wagonu i temperaturze poniżej 30 st., dotarliśmy do ostatniej stacji kolejowej: Kotłas, obwód archangielski. Po sześciu godzinach postoju w zamkniętych wagonach, naczelnik transportu NKWD rozkazał wyładowywać się do przygotowywanych baraków, które służyły wcześniej dla transportowanych na zesłanie różnych przestępców i wrogów Związku Sowieckiego.

Tu rozdzielono nas do różnych obozów rozrzuconych na dalekiej północy Rosji, rozłączając rodziny, ludzi z jednej miejscowości, a także jadących razem w wagonach. Naszą rodzinę skierowano do obozu Permogor (Zapad), 185 km za Krasnoborskiem, na północ nad rzeką Dwiną, która wpada do Morza Białego w mieście portowym Archangielsk. Wraz z nami z transportu przydzielono ponad 120 osób. Mimo czujności konwoju udało się, że wraz z nami przydział do obozu otrzymała rodzina z naszej kolonii Jana Krawczyka, z dziesięciorgiem dzieci, a także przyjaciele naszej rodziny. Podjechały jednokonne sanki.

Nam przydzielono dwie pary sanek. Gdy mama, Zofia, rozpaczła, gdzie pomieści dzieci i skromny bagaż, enkawudzista odrzekł: – „Siadaj i odjeżdżaj, bo was rozdzielę” – ciebie tu, a męża do drugiego obozu, jak będziesz się buntować.

Załadowano młodsze rodzeństwo i mamę. Okryto, czym się dało, a ojciec i bracia przywiązali się sznurkami, aby się nie pogubić. Odległość 185 km z Kotłasa do Permogor przebyliśmy w ciągu czterech i pół dnia. My starsi musieliśmy iść pieszo: ojciec Wojciech, bracia – Józef i Jan, siostra Anna i ja – Stanisław. Po 40 km dziennie szliśmy przy 40 st. mrozu. Nie mając odpowiedniego ubrania ani obuwia, już w pierwszym dniu ja i siostra Anna odmroziliśmy sobie twarze, a siostra też nogi. W czasie drogi, gdy szliśmy dość szybko, to mróz zatykał oddech w piersiach.

Pierwszy postój w Czajni, która składała się z dużej izby z piecem przy jednej ścianie. Na piecu spali gospodarze Czajni. Nam rzucono wiązkę słomy w rogu izby. Furmani (*woszczyki*) mieli przygotowane spanie w drugim rogu izby. Tu dano nam herbaty (*czaju*), zupę rybną i po 300 gramów chleba.

Pragnę zaznaczyć, iż cały czas jechaliśmy korytem rzeki Dwiny. Forman oświadczył, że następnego dnia rano wyruszamy w dalszą drogę. Ojciec, który znał język rosyjski z okresu niewoli w czasie I wojny światowej, zapytał gospodarza, gdzie można kupić mleka dzieciom. Ten, po namyśle, odpowiedział, że wie, ale mleko jest drogie. Ojciec wziął sukienkę siostry i pokazał. Gospodarz odrzekł, że za tę sukienkę dostanie trzy litry mleka. Co było robić – ojciec wyraził zgodę. Gdy dzieci dostały po kubku mleka, natychmiast zasnęły. Ja z siostrą leczyliśmy odmrożone twarze i nogi. Ojciec doradził, aby dla ochrony twarzy użyć pończoch. Wycięliśmy w pończochach otwory na oczy i usta, zakładając je na twarz. Przez cały czas służyły nam, chroniąc twarz od dalszych odmrożeń.

Nazajutrz wczesnym rankiem wyruszyliśmy w dalszą podróż. Po godzinie drogi zamarznąłą rzeką Dwiną napotkała nas śnieżna burza, co o mało nie zakończyło się tragedią. Kolejny drogi zostały zasypane, a powstałe zasy trudniały poruszanie się. Konie i sanki grzęzły w śniegu, trzeba było pomagać wyciągać sanie. Wiatr ze śniegiem wdzierał się we wszystkie szparki ubrania, opanował nas niesamowity chłód i ziąb oraz senność z wyczerpania. Trzymaliśmy się sznura blisko siebie, aby nie zgubić się w szalejącej zamieci.

Wszyscy modliliśmy się, prosząc Boga o ocalenie. Po 2-3 godzinach zamieć ustała. Konie były tak zmęczone, że ledwie się ruszały. Furmani zażądali, by wysadzić z sań dzieci. My zaś, prosząc nade wszystko, aby dzieci zostały w saniach, zobowiązaliśmy się pomagać ciągnąć sanie, chociaż byliśmy u kresu wytrzymałości.

Z obu stron konia przytroczonymi sznurami pomagaliśmy ciągnąć sanie. Tak dobrnęliśmy do następnej Czajni późnym wieczorem. Znow to samo – zupa rybna [*ucha*], herbata, łyżka kaszy i 300 gramów chleba, który był jak bryła gliny z opieczoną skorupą. Wszyscy byli krańcowo wyczerpani i pragnęli snu. Jednak nie było nam dane spać spokojnie, gdyż do wszy, które bardzo dokuczały, dołączyła jeszcze szarańcza pluskiew, które gryzły niemiłosiernie. Młodsze rodzeństwo zaczęło płakać i nie można go było uspokoić. Gospodarz Czajni, gdy dowiedział się, co jest przyczyną płaczu dzieci, powiedział: – „U nas wszędzie jest ich dużo i wy też się przyzwyczajcie!”

Dalsza podróż odbywała się dość spokojnie. W piątym dniu około południa zauważyliśmy dużą wieś. Furman oświadczył, że to Permogor – wieś. My mieliśmy zamieszkać po drugiej stronie rzeki w osiedlu dla osób skazanych. Woźnica wskazał nam obóz. Były to stare baraki służące zesłańcom i skazanym, którzy buntowali się przeciwko władzy carskiej i sowieckiej. Po przybyciu komendant obozu, Sokołowski, przywitał swych podwładnych, zaś woźnica za pokwitowaniem i przeliczeniem zdał naszą rodzinę.

Sokołowski – to syn polskiego zesłańca, który nie mówił po polsku, ale rozumiał. Przydzielono nam dużą izbę w baraku, gdzie rozmieściliśmy się po dwudziestu sześciu i pół dnia podróży. W obozie było już dużo rodzin z dziećmi oraz osób samotnych. Razem 350 osób. Samotni to nauczyciele, policjanci i żołnierze z centralnej Polski. Wszyscy samotni mieszkali w baraku ogólnym, bez przedzielonych pokoi, samotne kobiety osobno i mężczyźni osobno. Nasze pomieszczenie okazało się za ciasne dla naszej rodziny. Chociaż mieliśmy podwójne łóżka, nie mogli się wszyscy pomieścić i spaliśmy po troje w jednym łóżku. Łoża to drewniane prycze z desek, do których na postanie przydzielono wiązkę żytniej słomy.

Zesłańców i łagierników ratowało to, że tajga obfitowała w jagody i grzyby, a zalew i rzeka w ławice wszelkich ryb. Komendant oświadczył, że będziemy pracować przy wyrębie lasów, wykuwaniu drzewa z lodu, budowie tratw i ich spławie oraz piłowaniu drzewa na opalanie parowozów (okrętów parowych), które będą ciągnęły tratwy do portu w Archangielsku. Natychmiast po rozlokowaniu się nakazano wszystkim pójście do łaźni parowej (*bani*), oddając ubranie do pokoju, gdzie jest wysoka temperatura zabijająca wszelkie robactwo, jak wszy, gnidy (*woszobojka*). W bani kąpią się wszyscy razem, mężczyźni i kobiety, starsi, młodzi, także dzieci. Było to bardzo krępujące, szczególnie dla mojej mamy i starszej siostry, a także młodych dziewcząt, które w tym czasie przywieziono do obozu. Nakaz naczelnika był nieodwołalny: – „Wszyscy urodzili się nago i nago się będą razem kąpać!” Nakaz ten odnosił się do wszystkich łagierników i był surowo przestrzegany.

Dla naszej ochrony przydzielony był komendant i dwóch policjantów NKWD oraz kierownik robót leśnych (wyrębu i wywózki drzew), felczer – dentysta (22-letnia dziewczyna), kucharka, koniuszy (dogładający koni i magazynu). Koniuszy był pochodzenia polskiego, syn zesłanej. Nazywał się Jan Karasiński. Był też *klepilszczyk*, który wyznaczał drzewa do ścięcia według kwalifikacji. On również zapisywał ilość wykonanej pracy przez poszczególne brygady robotników leśnych.

Permogor (Zapad) – to półwysep oblany z trzech stron wodą z rzeki Dwiny. Zaplecze zaś – to nie do przebrnięcia tajga z dziewiczą tundrą, ciągnąca się setkami kilometrów – niezbadana przez człowieka. Dzieci z obozu nie uczęszczały do szkoły, za wyjątkiem dzieci kierownictwa i obsługi oraz donosicieli (szpicli), których było wśród zesłańców kilku. Szkoła mieściła się we wsi Permogor, do której zimą dowożono dzieci saniami, a latem łodzią. Po dwóch dniach od naszego przybycia do obozu, komendant, po przeliczeniu dorosłych (imienni) na zbiorce pomiędzy barakami, powiedział: – „Wy musicie pracować dla Związku Radzieckiego, bo kto nie pracuje – ten nie je!”

Zaczęto organizować brygady, tzw. dziesiątki, z dziesiątnikiem grupy, którego wybierali sami uczestnicy dziesiątki. Ojciec z braćmi i siostrą oraz sąsiad, Krawczyk, z dwójką synów zgłosili się do dziesiątki ojca, a trzeci brat namówił samotnych, tworząc grupę. Przydzielono sprzęt, piły ręczne, siekiery i łomy. Każdej brygadzie wyznaczono z góry normy wykonania pracy przy zrębie drzew i załadunku na sanie. Praca była bardzo ciężka przy wysokiej normie. Mrozy sięgały do 41 st. poniżej zera, ponadto obfite śniegi, w których grzęzło się powyżej pasa. 17-letnią siostrę Annę przydzielono następnie do kręcenia wici (są to wiklinowe gałęzie uplecione na kołowrocie, tworzące koło). Trzeba było umiejętnie wplatać łodygę, aby koło 10 cm nie rozwinęło się. Tak wyglądało koło wiklinowe. Była to bardzo niebezpieczna praca, bo jeśli pret wiklinowy grubości 2,5 cm źle założono, mógł się odbić i poważnie zranić, ewentualnie złamać rękę, a nawet zabić człowieka. Wici te służyły do wiązania tratw drzewnych.

Tratwa składała się z 4-5 warstw drzewa wzdłuż i w poprzek koła wici wiązania wici dolnego kolca drzewnego z górnym. Brygada naszego ojca rozpracowała sposób wykonania normy, który pozwalał na otrzymanie premii w postaci 600 g chleba, zupy i kaszy perłowej, okraszanej oliwą lub suchego

prowiantu, dzięki któremu można było skromnie przeżyć. Ponadto dla wykonujących normę przydzielono walonki i watowane ubranie. Aby przeżyć, wszyscy starali się zrobić jak najwięcej, a zarazem oszukiwać w liczeniu ilości załadowanego drzewa (kloców) oraz zrębu. Techniki tej nauczyli ruscy zesłańcy (żuliki), odbywający długoletnie kary w tym samym obozie. Była to grupa młodych przestępców, którzy nie wahali się przed żadną zbrodnią, wykonując samowolne wyroki na tych, którzy im podpadli, zwłaszcza donosicieli i szpicli tępiłi bez litości. Rozliczenie za pracę odbywało się co dwa tygodnie, na narażdzie w świetlicy przez kierownika leśnego w obecności komendanta. Dziesiątka ojca (brygada) za wykonanie normy otrzymała kurtki (kufajka), bruki (spodnie – waciaki) oraz walonki. Przez pierwsze dwa tygodnie, idąc do pracy, owijano buty szmatami i polewano wodą, aby zamarzły, i w takich lodowatych butach pracowano. Poocierane nogi puchły i bolały. Cały czas mróz nie folgował i sięgał 30-40 st. W lesie nie było wiatru i wydawało się, że jest cieplej.

Po kilku dniach komendant przyszedł z kontrolą na teren baraków. Do mamy powiedział: – „Ty musisz pracować!” Mama odpowiedziała, że nie może iść do pracy, bo ma pięcioro małych dzieci, którym trzeba dać co jeść i opiekować się nimi, zwłaszcza jednoroczną Rozalią i 3-letnią Stefcią. Słyszając to, powiedziałem: – „Ja pójdę pracować za mamę!” Miałem 15 lat. Komendant przyjął propozycję, przydzielając mnie do drwali. Nasze stanowisko pracy było odległe 3-4 km od obozu, nad brzegiem rzeki Dwiny, gdzie dopływały statki w okresie letnim, zaopatrując się w drzewo opałowe, którym napędzane były parowozy. Drzewo cięto na 1-metrowe kłocę, układając je w sągi. Norma dzienna wynosiła 2 sągi. Była to bardzo ciężka praca. Samemu trzeba było naostrzyć piłę i siekiere, zaś o pilniki do ostrzenia było bardzo trudno, stałe braki w magazynie.

Za wykonywaną pracę otrzymywałem 600 g chleba, zupę i łyżkę kaszy perłowej. Nie mając obuwia, owijałem nogi szmatami i łykiem z kory łożyny i brzozy. Na partnera przydzielono mi starszego zesłańca, który był nauczycielem w Polsce – Leona Łosińskiego spod Sanoka. Był bardzo wyczerpany i schorowany, z wielkim trudem ciągnął piłę. Tak męczyliśmy się przez 6 tygodni, do chwili jego zachorowania na grypę, którą z kolei przeziębził i po kilku dniach zmarł. Zmieniono mi pracę, przydzielając do wożenia saniami drzewa w zaprzęgu jednokonnym.

Mój Kary był bardzo chudy i słaby, tak że zaledwie kilka drzew długich 12-14 mb można było ułożyć. Sanie szły torowiskiem ubitym i oblanym wodą, bardzo śliskim. Jeżeli załadowane sanie ruszyły z miejsca, trzeba było tylko umiejętnie kierować koniem, to wszystko poszło dobrze. Droga do składnicy drzewa była odległa 500-2000 m. Sztuki powożenia saniami nauczył mnie Siergiej, syn koniuszego (stajennego).

Nocą podkradałem siano dla mojego Karego, aby go odżywić. Po kilku tygodniach miałem dobre efekty. Koń się poprawił, a ja zacząłem wyrabiać normę wywózki, a tym samym powiększył się mój *pajok* chleba i produktów żywnościowych, które przynosiłem do domu.

Praca trwała przez siedem dni w tygodniu, po 10 godzin dziennie, nie licząc dojazdu do pracy i powrotu. Tak pracowałem do maja 1940 roku. Około 20 maja lody spłynęły z rzeki, która szeroko rozlała swe koryto, podchodząc pod baraki zlokalizowane na dość wysokim wzniesieniu. Nastąpiła zmiana pracy wszystkich zesłańców – spław drewna i zbijanie tratw.

Z nastaniem ciepła przyleciała szarańcza komarów, które gryzły bezlitośnie. Ludzie zaczęli chorować na malarię. Chory trząsał się z zimna, a gorączka dochodziła do 40 st. Wówczas zaczęto dawać nam tabletki chininy. Bardzo dużo osób zmarło na malarię i z wycieńczenia organizmu. Zmarłych chowano za ogrodzeniem obozu, bez trumien, i nie wolno było stawiać krzyży.

Komary i pluskwy w naszym łagrze – to największe utrapienie zesłańców. Dzieci były owrzodzone, całe w strupach od ukąszeń pluskiew i komarów. Nie było sposobu pozbycia się ich, co powodowało liczne zakażenia, silne gorączki, doprowadzające do zgonu. Ludzie z wycieńczenia dostawali kurzej ślepoty. Na tę chorobę zachorowałem też ja i moi bracia. Najlepszym lekarstwem w naszych warunkach był rybi tran i wątroba. Kto mógł i gdzie się dało – łapano ptaki, nawet wrony, i gotowano. Brat Józef zdobył psa naczelnika, którego po kryjomu zjedliśmy. Ryb w rzece i zalewach nie brakowało. Do łowienia upleliśmy kosze wiklinowe.

W tajdze od wczesnej wiosny pojawiły się jagody (*klukwa*), kształtem przypominające czerwone porzeczki. Nasze młodsze rodzeństwo nauczyło się zbierać je, a brat Wojtuś był specjalistą od łowienia ryb, przynosząc dziennie po kilkanaście sztuk. Dostatek pożywienia z ryb spowodował ustąpienie choroby – ślepoty. Mama nauczyła się suszyć ryby, a także marynować. Również marynowano jagody, chociaż brakowało naczyń. Już w lipcu pokazały się grzyby, które zbierano i suszono na zimę.

Chodzenie w głąb tajgi groziło niebezpieczeństwem ze strony drapieżnych zwierząt, takich jak wilki, niedźwiedzie, rysie. Zdarzały się wypadki, że wilki napadały na ludzi. Wolny czas spędzano na łataniu odzieży i obuwia. Boso nie można było chodzić dla własnego bezpieczeństwa. Wymyślano różne łapcie z kory i z włókna wierzby do ochrony stóp.

Naczelnik stale podsłuchiwał wśród zesłańców, co myślą, o co się modlą itp. Młodszy mieli obowiązek uczestniczenia w zajęciach w świetlicy, gdzie na powitanie na skrzypiącym gramofonie grano pieśń *Pomniat psy atamany, pomniat polskije pany, Polszu i polskij narod*, którą musieliśmy wysłuchiwać. Wreszcie jeden z zesłańców zlitował się i płytę zniszczył. Ileż było przesłuchań i dochodzeń, jednak sprawa się nie wydała. Z zemsty naczelnik wraz z enkawudzistami przeprowadzili rewizję w barakach, zabierając książeczki do nabożeństwa, różańce, krzyżyki, obrazki świętych, powiadając: – *U nas Boha niet i On nie nužen, eta stara wasza prywyczka. Ja skazał nielzia i wsio!*

Posiadaliśmy katechizm i Biblię szkolną, z której mama uczyła młodsze dzieci naszej wiary świętej oraz zasad jej wyznawania. Pewnego razu naczelnik niepostrzeżenie wszedł do mieszkania, gdy mama modliła się z książki do nabożeństwa. Zabrał książeczkę i zlecił, by mama stawiała się za pół godziny w komendanturze. Po przybyciu przesłuchiowano ją ponad godzinę, wmawiając buntowanie się przeciwko władzy sowieckiej i jej zarządzeniom. Przez trzy dni, w różnych godzinach, mama wzywana była do komendantury i przesłuchiwana w obecności szpicla – tłumacza.

Naczelnik miał dwie dorosłe córki i samotną felczerkę. Dziewczęta te przychodziły do klubu, gdzie brat, Józek, wygrywał na swojej harmonijce różne piosenki i melodie do tańca. Tańczyły z ruskimi chłopcami. Umiejętność gry pomogła bratu, gdyż córka naczelnika, prowadząca księgi, dopisywała wyko-

nywanie norm pracy przez poszczególne brygady robocze. Brat poprosił ją, aby zabrała z biura książeczkę mojej mamy. Zgodziła się i przyniosła bratu tę książeczkę, zaklinając, aby jej nie zdradził.

Gdy naczelnik spostrzegł brak zarekwirowanej książeczki, przewrócił cały obóz w trakcie szczegółowych rewizji, o czym wcześniej córka naczelnika ostrzegła brata, a on wszystkich innych. Ponieważ rewizja nie dała rezultatu, padło podejrzenie na donosiciela, który był w kancelarii naczelnika. Natychmiast aresztowano i wywieziono go z obozu pod eskortą. Tak zakończył pracę jeden z donosicieli. Drugiemu ukręcili głowę rosyjscy łagiernicy. Ciało jego znaleziono w rzece. Stwierdzono: utopił się. To zdarzenie odstraszyło wielu szpicli i donosicieli na długi czas.

Tak minęło lato i jesień 1940 roku i przyszła znów sroga zima. Już wrzesień pokrył nasz łagier śniegiem, a rzekę chwyciły lody. Znów praca w lesie przy zrębie drzew, wykuwaniu drzewa (kloców) z lodu i śniegu i zwożenie do tzw. magazynów drzewnych. W niektórych zalewach budowano tratwy na lodzie. Drzewo pierwszej klasy przeznaczone było na eksport do Anglii, zaś niższych klas na użytek wewnętrzny oraz na opał dla statków parowych i mieszkańców Archangielska.

Z nastaniem zimy młodsze dzieci zaczęto uczyć w grupach, oczywiście potajemnie, bez wiedzy kierownika obozu. Na spotkaniach rodziców ustalono sposób prowadzenia nauki, tak aby dzieci poznały przynajmniej zasady czytania i pisania. Zwrócono się do naczelnika z prośbą, aby pozwolił uczyć się alfabetu rosyjskiego, na co uzyskano zgodę. I tak zaczęła się podstawowa nauka języka rosyjskiego, a przy okazji podstaw języka polskiego.

**W okresie** świąt Bożego Narodzenia dzieci przygotowywały różne ozdoby na choinkę, łańcuszki ze słomy, pajace ze skorupki jaj. W Permogorze, w kantorze, udało się kupić kilka świec i kolorową bibułę. Wszystko to dokonywano w wielkiej tajemnicy. Wigilia Bożego Narodzenia 1940 roku – pierwsza na zesłaniu na nieludzkiej ziemi, na dalekiej północy. Mama upiekła cieniutkie naleśniki, które zastąpiły opłatek. Z lasu przynieśliśmy piękną choinkę, którą ubraliśmy łańcuszkami ze słomy i kolorowych papierków oraz kilkoma ciastkami upieczonymi przez mamę. Cała rodzina zasiadła przy stole nakrytym białym obrusem. Zaproszono trzy osoby samotne. Po złożeniu życzeń, łamiąc się opłatkiem, wspominaliśmy Wigilię w Polsce, po czym modliliśmy się, by Boża Dziecina ratowała nas w tej biedzie i pozwoliła wrócić do wolnej Ojczyzny: *Ojczyznę wolną racz nam wrócić Panie!*

Na wieczerzę mama przygotowała zupę grzybową, rybę smażoną, kisiel z jagód i każdemu ciastko. Po kolacji około godziny ósmej wieczorem udaliśmy się wszyscy do klubu, gdzie moi bracia i inni młodzi zesłańcy, także siostra Anna i córki kierownika leśnego zakładu, ubierali choinkę w łańcuszki z kolorowego papieru, zaś na górze umieścili aniołka zrobionego przez nauczycielkę naszego łagru. Zapalono świece. Wkrótce była pełna sala zesłańców z dziećmi. Zaczęto śpiewać kolędy, a łzy płynęły wszystkim z oczu, gdy śpiewano: *Podnieś rączkę Boże Dziecię, zmieniając tekst na: Wróć nam Ojczyznę miłą i wróć nas do Niej!* Z braku miejsc w klubie wielu zesłańców stało na zewnątrz, śpiewając kolędy. Przyszła też cała władza obozu, naczelnik, enkawudziści, ale nie interweniowali. Ktoś zanucił kolędy po ukraińsku *Boh Predwicznyj*, którą



większość ludzi znała z Polski od ludności ukraińskiej. Do północy trwały śpiewy kolęd i pieśni nabożnych. O północy gwiazda polarna zabłysła na niebie w całej swojej krasie. Mówiono: *Ona to wskazuje swymi blaskami miejsce narodzin Dzieciątka Jezus!*

W Nowy Rok 1941 ponownie zebrano się w klubie, gdzie przymusowo wysłuchaliśmy przechwałek na temat władzy sowieckiej i jej wodza – Stalina. Po wysłuchaniu tej mowy otrzymaliśmy po 300 g białego chleba, zupę mięsna i kaszę ze słoniną – dar władzy sowieckiej. Składano sobie życzenia i odśpiewano kilka kolęd, m.in. *Nowy Rok bieży*. Wspominano tych, co zmarli w obozie i już nigdy nie wrócą do Ojczyzny, zapomniani na nieznaną, wrogiej ziemi.

Ta druga zima w obozie była już trochę łżejsza dla zesłańców. W lecie większość zaopatrzyła się w suszone i marynowane grzyby, suszone ryby, jagody oraz nauczyliśmy się łowić ryby spod lodu, a także zakładać sidła na zwierzynę leśną. Wielu mężczyznom udało się schwytać zająca, lisa, kuropatwy, a nawet sarny lub jelenia, oczywiście wszystko w ukryciu. Najgorzej było z odzieżą dla dzieci, był jej całkowity brak. Mama umiała szyć, więc przerabiała ubranie z większych dzieci na mniejsze. Z watowanek dużych szyła małe. Tak też postępowali inni. Mama pomagała innym w szyciu. Pomagano sobie wzajemnie, aby tylko przeżyć ten ciężki okres. Dzieci nadal oficjalnie pozbawione były możliwości nauki. Było tylko potajemne nauczanie przez rodziców. Tak minęła zima 1941 roku przy jednostajnej, ciężkiej pracy leśnej. Wielu zesłańców zabiły różne choroby, gdyż był brak leków i lekarza. Jedyne dostępne środki to aspiryna i chinina, tabletki, które zażywali wszyscy trzy razy dziennie przez cały rok, nie wyłączając dzieci. Malaria to straszna choroba. Chory dostaje bardzo wysokiej gorączki, trzęsie się z zimna w febrze, przy tym nie pomaga żadne okrycie.

W lipcu 1941 roku przyplłynął statek po tratwy drzewne i przywiózł wiadomości i gazetę, z której dowiedzieliśmy się o zawartej umowie pomiędzy Stalinem a gen. Władysławem Sikorskim, dotyczącej tworzenia się Wojska Polskiego na terenie Rosji, oraz że „Polacy są wolni”, co znaczyło, że „nie są łaźniernikami, a wolnymi obywatelami.” Osoby, które pragną wstąpić do Wojska Polskiego, komenda obozu ma zwolnić i zaopatrzyć na 3 dni w żywność i dokumenty. Pracowaliśmy, jak pamiętam, przy sortowaniu drewna i układaniu tratew. Zapanowała ogromna radość. Wszyscy śpiewali *Jeszcze Polska nie zginęła!*

Część załogi rzuciła pracę mimo próśb kierownika leśnego przedsiębiorstwa. Z gazetą udali się do naczelnika, donosząc, że za dwa dni opuszczają obóz, kierując się do punktów zbornych, tj. do miejscowości Kujbyszew. Naczelnik tłumaczył: ja nic nie wiem i nie mam żadnych rozporządzeń w tej sprawie! Po długich sporach i kilkakrotnym czytaniu gazet z rozkazem *Wierchownoho Sowieta*, naczelnik zgodził się i przyrzekł: odchodzących wyposażyć w prowiant na trzy dni i rozliczyć zapłaty za pracę. Gazety rozchwytywano i czytano w całym obozie. Wszyscy chcieli zaraz jechać. Młodszy, samotni, w wieku poborowym rejestrowali się w komendzie na wyjazd i opuszczenie obozu. Również moi bracia, Józef z roku 1920 i Jan z 1921, zgłosili się w komendzie na wyjazd. Rodzice nie zabraniali im i natychmiast, zwłaszcza mama, czyniła przygotowania do ich odjazdu. Z jednej strony, panowała radość, a z drugiej strony, smutek i łzy, że znów się rozłączamy.

W trzecim dniu wszyscy byli gotowi. Zebrali się w klubie i tam oficjalnie nastąpiło pożegnanie. Ojciec, Wojciech Lasek, powiedział: idźcie, bo Ojczyzna Was wzywa, niech Pani Najświętsza ma Was w swojej opiece! Wszyscy zaśpiewali *Boże coś Polskę* i ze znakiem krzyża świętego odjeżdżający opuścili obóz Permogor (Zapad). Płacz i łzy towarzyszyły oddalającej się łodzi, aż znikła na horyzoncie. Tak wyjechali pierwsi, wolni łagiernicy w liczbie 12 samotnych mężczyzn, do tworzącego się Wojska Polskiego.

Rodzina nasza pozostała w obozie do końca lipca 1941 roku. Ojciec Wojciech wypowiedział pracę jako brygadzysta, oznajmiając kierownikowi, że wraz z rodziną udaje się do *Krpicznowo Zawodu* (cegielnia) w Krasnoborsku. Komendant robót leśnych prosił, by jeszcze pozostał. Ojciec nie ustąpił i nazajutrz wyjechaliśmy do Krasnoborska, zatrudniając się w cegielni. Spotkaliśmy tam kilka rodzin z naszych kolonii. Praca była ciężka, ale lepiej płatna, a w miasteczku można było w kantorach kupić dla dzieci odzież i żywność, mleko, herbatę, cukier (tylko po 1/2 kg). W cegielni przepracowaliśmy 6 tygodni. W tym czasie mama robiła zapasy sucharów i innych produktów z otrzymywanych przydziałów. Podjęta decyzja, aby zwolnić się z pracy w cegielni i wyjazd w nieznaną z tak liczną rodziną małych dzieci, była wielkim błędem i tragedią. Wolność i możliwość wyrwania się z sowieckiego łagru było przesłanką do podjęcia tej decyzji.

Wyjazd nasz z cegielni nastąpił w pierwszych dniach października 1941 roku. Po załadowaniu się do pociągu, na który czekaliśmy dwie doby na stacji w Kotłasie, ruszyliśmy wraz z wieloma rodzinami polskimi (zesłańcami) oraz samotnymi z różnych łagrów syberyjskich. Kierunek do Kujbyszewa. Tam miał być punkt zborny zarówno dla wojska, jak i osób cywilnych.

Od chwili wejścia do wagonów towarowych przeznaczonych do przewozu ludzi (takich samych jak nas wywozili z Polski w roku 1940) wszy z miejsca nas obiegły, wagony były brudne i zawzione. Pociąg co jakiś czas zatrzymywał się na bocznicach, przepuszczając pociągi z wojskiem i uzbrojeniem. Nikt się nami nie interesował i nie troszczył o nasz los. Na wszystkich stacjach panował niesamowity tłok, pełno żołnierzy rosyjskich, cywilów, uciekinierów, ludności cywilnej z terenów przyfrontowych. Nie zawsze udawało się dostać gotowaną wodę.

Już po kilku dniach podróży zaczęły nas atakować różne choroby: czerwonka, tyfus brzuszny. Tak po ośmiu dniach dojechaliśmy do Kujbyszewa. Z wagonów nie wolno było wychodzić i opuszczać transportu. Przybyli przedstawiciele Polskiej Placówki i dokonali szczegółowych spisów: data i miejsce urodzenia, skąd i kiedy wywieziony, czym się zajmował w Polsce, z jakiej miejscowości przybywa, Oświadczyli, że po tej ewidencji przedstawiciel każdej rodziny uda się po prowiant gotowany. Wszyscy, którzy służyli w wojsku, mieli obowiązek podać stopień wojskowy, formację i miejsce jednostki, gdzie służyli. Obietnica Polskiej Placówki spełniła się, Ojciec z siostrą udali się do stołówki, gdzie otrzymali wiadro zupy z kaszą jęczmienną oraz 10 porcji makaronu ze słonią, a także herbaty z cukrem. Była to pierwsza w Rosji rodzinna uczta z polskiej kuchni. Otrzymaliśmy również suchy prowiant w ilości 5 kg chleba, paczkę kawy z cykorią i cukrem. Placówka Polska nie pochwałała decyzji o opuszczeniu miejsca pracy i zamieszkania, gdyż na taką masę ludzi nie byli przygotowani i zrobiło się duże zamieszanie, co spowodowało sprzeciw Sowie-

tów, że to łamana jest umowa gen. Sikorskiego ze Stalinem. Zakładano, że będą zgłaszać się tylko młodzi mężczyźni zdolni do służby wojskowej, w wieku 20-55 lat, a nie całe rodziny.

Sytuacja była bardzo poważna. Front i ofensywa wojsk niemieckich szybko posuwała się w głąb Rosji, ewakuacja tysięcy ludzi ze strefy przyfrontowej, których trzeba zabezpieczyć i wyżywić, ponadto transporty wojsk rosyjskich stworzyły wielki chaos i bałagan na stacjach. W takich warunkach transport nasz został skierowany do Samarkandy. Transport poruszał się bardzo powoli i często miał postoje po 10-15 godzin na małych stacjach, gdzie można było dostać tylko gotowaną wodę. Znowu głód i choroby, zwłaszcza tyfus brzuszny i czerwonka (dysenteria), dziesiątkowały ludzi, a śmierć zbierała obfite żniwo. Ludzie, a zwłaszcza dzieci, padali jak muchy. Największą plagą były wszy, roznoszące zarazki chorób, i brud. Ludzie nie myli się całymi tygodniami i wyglądali jak cienie. Codziennie wynoszono po kilka trupów, następnie ładowano je na wozy, jak śmiecie, i nikt nie wiedział, gdzie bliska osoba z rodziny jest pochowana! Z Kujbyszewa do Farah jechaliśmy ponad dwa tygodnie. Farah to miasteczko położone przy samej granicy Afganistanu i Persji, nad wielką rzeką Amudaria. Młodsze rodzeństwo, wycieńczone, chorowało na tyfus: brat Wojtuś i siostry Marysia, Stefcia i Róża, zaś mama Zofia w ciągłych atakach kamieni żółciowych. Gdy wysiedliśmy w Farah z transportu, przybył lekarz wezwany przez kierownika transportu (oficera przydzielonego w Kujbyszewie). Po zbadaniu rodziny zlecił natychmiastowe przetransportowanie chorych do szpitali. Przebywali tam trzy tygodnie.

Nad brzegiem rzeki Amu-daria rozłożyło się ponad tysiąc osób pod gołym niebem. Kilkanaście osób samotnych, które przybyły wcześniej, zajęło dwa drewniane baraki i tam koczowali na gołej ziemi. Widok był straszny. Ludzie jak widma, jak śmierć: głęboko zapadnięte oczy, szkielet obciążony skórą. Idąc, ślanieli się na nogach. Wszędzie pełno odchodów ludzkich. Nie można było przejść. Ludzie leżeli prawie nago, lał się z nich kał z krwią. Boże, zlituj się nad naszą nieszczęsną dolą!

Zaczął się grudzień, przynosząc zimne deszcze, nierzadko ze śniegiem, które wykańczały schorowanych ludzi. Nikt nie myślał o przeżyciu, lecz w duchu o śmierci, która nad każdym krążyła i zaglądała w oczy. Młodsze rodzeństwo w szpitalu, ojciec cały owrzodziały (szkorbut), nie mógł się poruszać. Ja, Stanisław, bez przerwy musiałem pilnować dzieci i naszego skromnego bagażu przed złodziejami. Siostra Anna chodziła do odległych kołchozów, by coś kupić z żywności. Ceny niemieszczące się w ludzkiej wyobraźni! Za parę nowych butów można było dostać 5 kg chleba, a raczej placków (*lepioszek*) z mąki pszennej i jeden lub dwa litry mleka. Ani ojciec, ani ja nie spaliśmy wcale. Trzeba było odwiedzić chorych w szpitalu, pójść do komendantury po przydział chleba. Drzemaliśmy, chodząc jak lunatycy. Człowiek padał i podnosił się, by iść dalej. Pewnego wieczoru ojciec położył się na kufrze, przywiązując go do nogi, ja zaś na skrzyni. Po około 30 minutach ojciec obudził się, bo spod niego złodzieje zabrali kufer! Były tam metryki całej rodziny i różne pamiątki, dokumenty oraz 300 rubli. Kufer odnalazł się wśród samotnych w baraku, ale nie było w nim metryk i innych drobiazgów. Dziwne było to, że złodzieje nie zabrali rubli, chociaż miały dużą wartość. Nie można było uwierzyć i tylko Anioł Stróż uchronił je przed kradzieżą.

Głód i choroby nadal dziesiątkowały ludzi, toteż polskie kierownictwo obozowiska postanowiło ratować resztki nędzarzy i wywieźć ich do Taszkientu czy Czymkentu do kołchozów. Zalecali maksymalny pośpiech, gdyż za kilka dni Sowieci nie dadzą już transportu kolejowego do rozładowania skupiska chorych ludzi na chorobę zakaźną. Granice zostały wzmocnione, aby uniemożliwić ucieczkę do Persji. Rodzeństwo młodsze w szpitalu, a wagony transportowe już zostały podstawione.

W tej sytuacji ojciec zdecydował zabrać dzieci ze szpitala na własną odpowiedzialność. Po załadowaniu transportu ruszył do Turkiestanu. Pięć dni jechaliśmy i na każdym postoju zabierano z wagonów po kilka zmarłych osób. W górach na przystanku kolejowym Sergo, do którego dochodziła również kolejka wąskotorowa, kazano wszystkim wysiąść, czego surowo dopilnowali enkawudziści. Brat Wojtuś w konwulsjach, trzymałem jego główkę na kolanach. Był w agonii. Modliliśmy się o jego śmierć lub wyzdrowienie, gdyż dziecko bardzo cierpiało. To obsługa kolejowa wraz z lekarzem stwierdzili, że zmarł (*użepohyb*) i zostawili go w wagonie. Takich dzieci jak on i starszych było wiele. Podjechała *arba* – wóz dwukołowy zaprzęgnięty w wielbłąda, z dużym koszem, do którego wrzucono zwłoki na kupę i odwieziono w nieznanym kierunku w miejsce pochówku. Tam został mój braciszek – pierwsza ofiara w naszej rodzinie. Byliśmy nieprzytomni z bólu i żalu po stracie małego braciszka. Podjechały wagony wąskotorówki i kazano nam się załadować (wagony to lory do przewozu rudy i drewna).

Ruszyliśmy w dalszą tułaczkę w nieznaną. Płaczu już w wagonach nie było słychać, bo większość ludzi była w gorączce, a ci, co byli zdrowi, pomagali chorym, podawali wodę czy kawałki chleba. Boże, zlituj się nad nami!

Na drugi dzień dojechaliśmy do stacji w Aczi-saju, położonej w górach Kara-Kum. Było to miasto górnicze, kopalnie rudy żelaznej, w której pracowali jeńcy wojenni wykluczeni (przestępcy sowieckiej władzy). Aczi-saj – to ostatnia stacja wąskotorówki. Dalej prowadziła bardzo wąska droga, wśród gór pokrytych słabym drzewostanem, zaś na niektórych wysokich szczytach leżał wieczny śnieg. W transporcie był lekarz – Polak, który przyszedł na prośbę ojca zbadać mamę i siostry. Stwierdził groźny stan u wszystkich chorych. Lekarz nie dysponował lekarstwami za wyjątkiem aspiryny, bandaży, które otrzymał w Polskim Czerwonym Krzyżu. Gdy wysiedliśmy, wskazano nam barak, gdzie mieliśmy się zatrzymać aż do przydziału do kołchozu w rejonie Czułak-kurgan (Czełek-Kur-Han). W tym czasie NKWD znów objęło władzę i nakazano nam podzielić się na dziesiątki grupy i wybrać dziesiątnika, który będzie otrzymywał żywność dla swojej dziesiątki. Ojciec dokooptował do naszej listy trzy osoby, które wyraziły na to zgodę, i poszedł po prowiant. W tym czasie zmarła najmłodsza siostra na rękach półprzytomnej mamy. W ciągu dwóch dni straciliśmy kochane dwie istoty: brata 12-letniego Wojtka i 2,5-letniąsiostrzyczkę – Stefcie. Rozpacz bez granic. Przed śmiercią Stefcia odzyskała przytomność, wycalowała mamę i najstarszą siostrę Annę i ze łzami w oczach oddała ducha. Siostra ubrała ją w białą sukieneczkę i białe pończochy, koronkową chusteczką nakryła główkę. Ja z ojcem odnieśliśmy ją do kostnicy – lepianki (domek z surowej gliny). Tam też leżało już dwóch mężczyzn i dziewczyna ok. 20 lat, w drewnianych skrzyniach (trumnach) z wiekiem. Ojciec udał się do NKWD z prośbą o trumnę

lub deski na jej wykonanie. Odpowiedź brzmiała: Nie i nie będzie, tak pochowaj, bo jej nic nie trzeba! W tej sytuacji ojciec zdecydował, że włoży ciało siostrzyczki do trumny zmarłej dziewczyny. Uczynił to i razem zostały pochowane w jednym grobie, blisko stacji kolei wąskotorowej Sergo – Aczi-saj.

Ojciec ubłagał NKWD, aby zabrali mamę i siostry do szpitala. Przyjechała ciężarówka ZIS, na którą załadowano chore siostry – Franię, Marię, Rozalię oraz mamę, a jako opiekunkę, siostrę Annę. Ojciec dał siostrze kilka rubli oraz chleb, jaki jeszcze mieliśmy. Tak półprzytomni, w silnej gorączce, ja i ojciec pożegnaliśmy ich. Nikt nam nie wskazał, gdzie znajduje się szpital. Łzy, ból i rozpacz wraz z wyczerpaniem zmogły mnie tak, że idąc do stołówki po gotowaną wodę, zatrzymałem się na słupie telefonicznym i na stojąco usnąłem. Jak długo stałem, nie pamiętam. Obudził mnie Kazach, który coś mówił do mnie, ale go nie rozumiałem. Wziął mnie za rękę i poprowadził do swej lepianki, poczęstował plackami i kozim mlekiem. To sprawiło, że znów nabrałem zaufania do ludzi i stwierdziłem, że nie wszyscy wyzbyli się litości. Po powrocie zastałem ojca płaczącego, czego nigdy wcześniej nie widziałem. Siedząc obydwoj na swych nędznych bagażach, pytaliśmy się wzajemnie: Co dalej? Jaki nas los czeka, czy zobaczymy jeszcze resztę rodziny? Ojciec uznał, że bardzo źle postąpił, wierząc propagandzie i opuszczając miejsce pracy. Tam mogliśmy wszyscy przeżyć. Podejmując tę decyzję wielkiej wagi, wierzył, że uda mu się wyprowadzić rodzinę z tego straszego, obcego i wrogiego kraju.

Kiedy ojciec udał się ponownie do komendy NKWD z pytaniem, gdzie znajduje się szpital, w którym przebywają siostry i mama, otrzymał odpowiedź, że w rejonie Czuzak-kurgan. My zaś zostaliśmy skierowani do kołchozu Bał-Osu-Zu, tegoż rejonu. Postanowiliśmy następnego dnia tam pojechać. Tymczasem, gdy rano poszedłem po gotowaną wodę na herbatę, by rozmoczyć resztki sucharów z chleba, przyjechał *woszczyk* z kołchozu, odebrać nas z komendy, załadowaliśmy bagaże i ruszyliśmy w drogę. Przed odjazdem otrzymaliśmy kartki na jeden bochenek chleba 2-kilogramowy. Kazach, który powoził furmanką, ani słowa nie umiał po rosyjsku, tylko wypowiadał jakieś niezrozumiałe dla nas słowa. Porozumiewaliśmy się na migi i gesty. Wąska droga pomiędzy górami wiła się to w górę, to w dół. Z góry jechaliśmy, zaś pod górę trzeba było iść pieszo, bo konie nie mogły uciągnąć wozu, takie były słabe. Do tego kołchozu w Aczi-saju było 25 km. Po czterech godzinach jazdy przebyliśmy może połowę drogi, gdyż konie ciągle przystawały. Kazach próbował wypręgać i zostawić nas w górach na drodze, sam zaś pojechać do kołchozu po inne konie. Prosił nas, tłumacząc, żeby popaść konie tu, na trawie, a gdy odpoczną i pożywią się, to pojedziemy dalej. Dał się uprosić. Po dwugodzinnej przerwie ruszyliśmy dalej. Na zboczu drogi zauważyliśmy dwa ludzkie trupy. Po ich ubraniu poznaliśmy, że to nasi – Polacy. Czy ludzie ci zmarli śmiercią naturalną, czy zostali zabici – nigdy nie dowiedzieliśmy się. Wreszcie wyjechaliśmy z gór na rozległą równinę. Robił się wieczór, po chwili całkiem ściemniało, a było to kilka dni przed świętami Bożego Narodzenia 1941 roku. Woźnica pilnował aby konie nie zjechały z drogi, na której znać było tylko koleiny wozów. Reszta wkoło porośnięta była *baszanem* (trawa na stepach Azji).

W dali ujrzeliśmy migocące światelka w kierunku, gdzie jechał nasz woźnica. Okazało się jednak, że to nie kołchoz, a przydrożna *Czajnia*, przystań

dla podróżnych. Była to lepianka (dach – belki pokryte gałęziami i zalane gliną mieszaną ze słomą, otwór w dachu na ulatnianie się dymu, drzwi zasłonięte matą z sierści wielbłąda, na środku lepianki palenisko – dym unosił się otworem w dachu). Tu woźnica zatrzymał się, popił *czaju* z samowara, siedząc w kucki przy ognisku. Rozmawiał, gestykulując i pokazując na nas. Obaj mówili po kazachsku. Nie rozumieli po rosyjsku, co nas niezmiernie zdziwiło, że tak żyją w sowieckim raju. Od Czajni do naszego kołchozu, gdzie otrzymaliśmy przydział, pozostało jeszcze około 4 km.

Ruszyliśmy w dalszą drogę w ciemności nocy. Konie przystawały, chcąc skubnąć *dżusanu*, i tak pomału, krok za krokiem, około północy dobrnęliśmy do kołchozu. Wóz zatrzymał się przed dużą i długą lepianką. Okazało się, że to biura kołchozowe i *selsowietu*. Woźnica wyprzęgnął konie z wozu i wypuścił je w step, a sam poszedł do kubitki (lepianki), wywołał mężczyznę, który łamanym językiem rosyjskim przekazał nam, gdzie jesteśmy i że rano przyjdzie selsowiet i da nam wskazówki naszego postępowania, nasze prawa i obowiązki. Odszedł, a my z ojcem po zmówieniu modlitwy położyliśmy się na wozie, aby odpocząć po męczącej podróży.

Ojciec miał kilka wrzodów (czyraków) na ciele, które mu bardzo dokuczały. W nocy z sąsiedniej kubitki zaczęli wychodzić ludzie za potrzebą. Poznaliśmy, że to Polacy, ale nikt nie odzywał się. Rano w kubitce dały się słyszeć głosy kobiet, radzące, jak ugotować zupę i herbatę, jak zdobyć opał. Wyrwano furtkę z desek, kobieta z siekierą porąbała ją, rzucając kawałki do lepianki. Rozpaliły w piecu i ugotowały zupę. My podzieliliśmy się z nimi posiadaną solą. Tak nawiązała się znajomość. Otrzymaliśmy od nich po garnuszku zupy i herbatę. Za te drzwi było trochę kłopotu, dochodzeń, co się stało z drzwiami, ale nikt nie przyznał się i sprawa ucichła.

Ja zostałem przy naszym bagażu, a ojciec poszedł do przedstawiciela kołchozu z prośbą, aby nas odwieziono do rejonu (Czułak-kurgan), gdzie w szpitalu przebywała mama i siostry. Po dłuższej rozmowie i perswazjach przedstawiciel oświadczył: Ty i twoja rodzina ma tutaj przydział, tu będziesz pracował, rozumiesz? Wówczas ojciec poprosił o transport (*arbę*) celem przewiezienia rodziny ze szpitala. Na to również otrzymał odmowę: Nie ma takiego polecenia z rejonu!

Postanowiliśmy, że nazajutrz rano ojciec pójdzie pieszo. Nie znał drogi ani kierunku. Trzeba było znaleźć kogoś, kto wskazałby drogę. Spotkałem młodego Mongoła i wszcząłem z nim rozmowę. Okazało się, że dobrze rozumie po rosyjsku. Zapytałem o drogę do rejonu, a on wskazał, że trzeba kierować się na tę kubitkę, która stoi w stepie i koło niej łączą się dwie drogi, jedna i ta właśnie droga prowadzi do rejonu, po drodze będzie rzeka i kołchoz „Kalinin”. Poprosiłem, aby tę wskazówkę powtórzył ojcu, który wybiera się tam do szpitala. Mongoł podszedł do ojca i opisał mu dokładnie drogę do rejonu. O świcie ojciec pożegnał się ze mną i wyruszył w 30-kilometrową drogę do rejonu. Gdy doszedł do wskazanego kołchozu, około 15 km, ogarnęło go zmęczenie i sen, że musiał chwilę odpocząć. Dalej już droga wiodła prosto. Około godziny 4 po południu ojciec doszedł do miasta powiatowego Czułak-kurgan. Jak na człowieka schorowanego był to nadludzki wysiłek i silna wola, aby przebyć odcinek 30 km bez picia o kawałku chleba z solą. Picie surowej wody groziło wielkim niebezpieczeństwem. Była to łaska i opieka Boża oraz wielka siła i wola życia, przetrwania i nadziei.

Po przybyciu do miasta ojciec natknął się na Polaków, którzy mieszkali w lepiance. Od nich dowiedział się, że jest stołówka i tam można za kartki z NKWD otrzymać zupę i chleb. W stołówce w kolejce za zupą ojciec zauważył moją siostrę Annę, która wraz z mamą i pozostałymi siostrami wyjechała do szpitala. Od niej dowiedział się, że dla chorych Polaków nie ma miejsca w szpitalu i że leżą oni w budynku szkolnym na podłodze, bez opieki lekarskiej i pielęgniarskiej. Jednak, gdy na własne oczy zobaczył chorych leżących na gołych deskach na podłodze, bez przykrycia, wszędzie kał ludzki, straszny fetor, brak powietrza – ogarnęła go trwoga i rozpacz: Boże Wielki – ile człowiek może wytrzymać! Jedni ludzie umierali, a na ich miejsce przywozili następnych. Tego nie da się opisać, gdyż przechodzi wszelkie wyobrażenie. Władza sowiecka świadomie dążyła do wyniszczenia chorych ludzi. Natychmiast postanowiono, aby wyrwać się z tego piekła. Ojciec poszedł do biura rejonowego NKWD, przedstawiając całość sprawy, i prosił o odwiezienie rodziny do kołchozu.

Po wysłuchaniu ojca, naczelnik w rozmowie telefonicznej z kołchozem dowiedział się, że furmanka przyjechała z kołchozu po towar do sklepu, i natychmiast rozkazał przywołanemu woźnicy, by zabrał ze szpitala (czyli szkoły) pięć osób i zawiózł je do kołchozu Bał-Osu-Zu. Po dojechaniu na miejsce przedstawiciel ma zameldować o wykonaniu rozkazu. Woźnica pobiegł po furmankę, po czym zabrano chorych. Ze szczęścia, że znów byli razem, wszyscy płakali, podnosząc się wzajemnie na duchu. Na furmance rozłożono pierzynę i ułożono siostrę i mamę, a ojciec i najstarsza siostra szli pieszo za wozem. Para koni, będąca w ciągłym zaprzęgu, niedokarmiana odpowiednio, nie dawała rady ciągnąć wozu. Po ujechaniu kilku kilometrów woźnica kazał chorym zejść z wozu. Dopiero uwaga ojca: – Czy zna zarządzenie *Rajkoma NKWD*? – pokłoniła woźnicę i sam zszedł z wozu, by ulżyć koniom. Postronki u koni były bardzo słabe i w każdej chwili mogły się zerwać. Ojciec odwiązał z kufra mocny sznur i wymienił, z czego woźnica był bardzo zadowolony. Późną nocą przyjechali wreszcie do kołchozu. Chorych umieszczono tymczasowo w izbie obok biur kołchozowych. Izba ta była przeznaczona dla przyjeżdżających władz sowieckich. Nazajutrz przedstawiciel kołchozu wskazał nam lepiankę, tę samą, z której poprzedniego dnia Polacy spalili drzwi. – „To będzie wasze mieszkanie” – zakomunikował. Były to cztery ściany i dach wylepione gliną, dwa otwory na okna i otwór wejściowy, w dachu dziura na ulatnianie się dymu lub na rurę do pieca. Mieliśmy szczęście, że był tam żelazny piec z dużym otworem na kocioł żelazny. W kotłach gotowano wszystko, wodę na zupę, herbatę, a nawet pieczono placki.

Ja z najstarszą siostrą Anną przystąpiliśmy do czyszczenia chaty. Wyrzuciliśmy *dżusan* (trawa stepowa), siostra rozrobiła w wiadrze glinę z wodą, zmywając tym glinianą podłogę lepianki. Była to częściowo dezynfekcja oraz zalepianie wszelkich szczelin, w których gromadziło się robactwo. W stepie naciąłem motyką świeżego *dżusanu*, z którego zrobiliśmy pośłanie wzdłuż jednej ściany lepianki, odgradzając surową cegłą przyniesioną z rozwalonej lepianki. Ten zagrodzony kąt służył nam jako łóżko dla całej rodziny. Oczywiście żadnych mebli nie mieliśmy, wszystko robiło się na ziemi. Do takiego to domu wprowadziła się nasza chora rodzina dwa dni przed świętami Bożego Narodzenia, To już drugie Boże Narodzenie na obcej, wrogiej ziemi sowieckiej.

Miejscowa ludność to Kazachy i Uzbeki, którzy mają mowę niezrozumiałą dla nas, wyznający religię mahometańską, za Boga mają Allacha. Starsi ludzie na głowach noszą zawoje (turbany), młodszy zaś *papachy* (czapki ze skóry lisa z ogonem). Wszyscy starsi w spodniach ze skóry baraniej oraz długim kozuchem, przepasanym krajką lub pasem, za którym u każdego nóż (kindżał). Kobiety chodzą w białych długich sukniach oraz cienkich spodniach z cienkiego płótna. Głowy przykrywają dużymi chustkami łącznie z czołem. Mężatki nazywano *maradzia* – żona. Głównym pożywieniem ich jest mięso i ser. Przykładowe śniadanie – herbata w specjalnych porcelanowych miseczkach, placki z mąki pszennej (*lepioszki*) i suszony owczy ser (galki sera suszone na słońcu). Obiad – rosół z mięsa baraniego, końskiego, wielbłądziego lub wołowego. Wieprzowina jest zabroniona. Mięso musi pochodzić z uboju, nie można jeść padliny.

W kołchozie Bał-Osu-Zu było zaledwie kilka młodych osób mówiących po rosyjsku i tylko z nimi można się było porozumieć. Jedną z nich to pisarz kołchozu, który poinformował mnie, że mogę kupić mleko, a także, że jeśli będziemy pracować, to otrzymamy przydział mleka dla dzieci, 1 litr dziennie. Za polską chustkę na głowę wytargowałem 4 litry świeżego mleka i 2 placki (*lepioszki*) o wadze około 1 kg. Jakaż była radość w domu z przyniesionego przeze mnie prowiantu! Na rozcieńczonym mleku siostra ugotowała zacierkę, nakarmiła młodsze rodzeństwo, pomalutku powracające do życia. Wygląd ich przerażał. Szkielety ludzkie, wynędzniałe, słaniające się na nogach. Kazach poinformował mnie, że w kołchozie w lepiankach są też inni Polacy i Żydzi (*Jewreje*) i wskazał miejsca. Udał się tam z ojcem. Odległość około kilometra drogi. W lepiankach żyło 9 rodzin polskich i 5 żydowskich. Każda rodzina straciła po kilka osób. Wśród nich były dwie rodziny leśniczych z Białegostoku oraz rodzina Jana Krawczyka z naszej kolonii. W chwili wywózki na Sybir rodzina ta liczyła 10 osób; została tylko matka i dwóch synów, reszta zmarła w drodze. Najstarszy syn poszedł do wojska razem z moimi braćmi: Józefem i Janem. Tam też dowiedzieliśmy się, że znajoma rodzina Jakuba Buczka, 9-osobowa, zmarła, zaś z rodziny brata Jakuba został tylko ojciec i dwie córki. Pozostali zmarli z wycieńczenia. Ja ucieszyłem się z obecności Mietka Krawczyka, mego 15-letniego kolegi i przyjaciela.

Nadeszły święta Bożego Narodzenia – najbardziej smutne święta na przełomie 1941 i 1942 roku. Postanowiliśmy je spędzić razem z rodziną Krawczyków w naszej lepiance. Sekretarz kołchozowy przyniósł wiadomość, że zdechła krowa i możemy dostać mięso bezpłatnie. Ojciec przyniósł całą tylną szynkę, około 10 kg. Inni Polacy i Żydzi otrzymali także duże porcje. Mięso rozdali, ponieważ nie wolno im takiego jeść ze względów religijnych. Mieliśmy dobrą ucztę na święta. Kupiliśmy od Kazacha 10 kg mąki pszennej. Wigilia Bożego Narodzenia to skromna kolacja, płacz, wspomnienia. Z naszej 11-osobowej rodziny odszedł brat i siostra. Dwóch starszych braci poszło do wojska i nie wiadomo – czy i gdzie żyją. U Krawczyków jeszcze gorzej, ojciec i siedmioro dzieci zmarło, na Syberii jedno, w drodze czworo i w kołchozie dwójka. I tak w każdej rodzinie łzy, rozpacz i niepewność jutra, nędza i głód. Boże, zlituj się nad nami i nie smagaj biczem śmierci nas, biednych tułaczy Polaków!

Wezwano wszystkich dorosłych Polaków i Żydów do sali *selsowieta* i oznajmiono, że wszyscy zdolni do pracy muszą ją podjąć. *Sowiecki Sajuz* jest zagrożony i potrzebuje dużo chleba dla wojska walczącego z faszyzmem germańskim. Kto będzie pracował, ten będzie miał zapisane *trudodni* przez bryga-



dzistów i będzie otrzymywał mleko i mąkę za przepracowane dni. Kto zaś nie będzie pracował, nic nie dostanie i niech umiera.

Każdego dnia była zbiórka do pracy o 7 rano. Ojciec, siostra Anna i ja stawiliśmy się nazajutrz przed *selsowietem*. Razem z kołchoźnikami (kobiety i mężczyźni) udaliśmy się roznosić ziemię w workach, wysypując ją na pola, gdzie miała być uprawiana bawełna. Było to celowe męczenie ludzi. Wykopywano dziury, zgarniając wierzchnią warstwę próchnicy. Następnie tę martwą ziemię na głębokość ponad 1 metra kopano i rozsypywano na pola uprawne. Koń by się uśmieł!

Pracę doglądał agronom kołchozowy, który mówił po rosyjsku. Ojciec zwrócił mu uwagę, że on, agronom, robi sabotaż, świadomie pomniejszając plony kołchozu przez odrzucanie warstwy próchnicy. Po dyskusji i argumentacji ojca agronom, widocznie przestraszony, udał się do biura i wezwał agronoma rejonowego. Nazajutrz wezwano ojca do kancelarii naczelnika, który był jednocześnie milicjantem NKWD. Tam już czekali przedstawiciele władzy sowieckiej – *Rajispołkomu*, *Rajkomu*, agronom powiatowy, miejscowy *selsowiet* i przedstawiciel kołchozu.

Ojciec, z długą szpakowatą brodą, która dodawała mu powagi, usiadł na wskazanym miejscu i rozpoczęła się narada. Po zadaniu kilkunastu pytań przez agronoma rejonowego i naczelnika NKWD ojciec wytłumaczył wartość ziemi próchnicznej oraz ziemi martwej, nie posiadającej żadnych składników niezbędnych do rozwoju i życia roślin. Dla poparcia argumentów i udowodnienia racji przeprowadzono doświadczenie. W jednym naczyniu napełnionym ziemią z wierzchniej warstwy pola i w drugim naczyniu napełnionym ziemią wydobytą z dołów (którą rozsypywano na pola uprawne) zasiano po kilka odliczonych ziaren pszenicy. Po sześciu dniach nawilżania w naczyniu z próchnicą wzeszło każde ziarenko i roślinka była zielona, zaś w martwicy nie wszystkie ziarenka wzeszły i od razu roślina żółkła, i mimo wilgoci – zaczęła umierać. Znow zebrał się wspomniani już przedstawiciele władzy, pochwalili ojca, że jest dobrym gospodarzem, dbającym o dobro kołchozu. Argumenty ojca spowodowały, że w całym rejonie zaniechano nawożenia pól uprawnych martwą ziemią. Kołchoźnikom ulżyło to w pracy, bo nie dźwigali już worków z ziemią. Nie wiedzieli, komu zawdzięczają tę ulgę. Od tego czasu agronomowie często przyjeżdżali do ojca po porady rolnicze.

Ja zostałem przydzielony do warsztatu napraw sprzętu i maszyn rolniczych. Znajdowały się one w bardzo opłakanym stanie i nie było fachowca, który by się znał na maszynach. Kołchoz posiadał traktory, pługi wieloskibowe, siewniki zbożowe i nawozowe, dwa kombajny, a i prymitywne sochy, jakimi w Polsce posługiwano się w zamierzchłych czasach średniowiecza (socha – rączka do kierowania – dyszel pociągowy – wzmocnienie sochy – nasada z drzewa (pięta) – grot żelazny nasadzany na oprawę drzewną sochy). Socha była ciągnięta przez parę wołów, koni lub wielbłądów.

Kołchoz Bat-Osu-Zu posiadał około 2000 hektarów uprawnej ziemi, bardzo żyznej, i kilka tysięcy hektarów stepu dziewiczego, na którym nie było ani drzew, ani krzewów, tylko stepowa azjatycka trawa *dżusan* i kolczaste krzaki.

Uprawę ziemi prowadzono systemem trójpolówki. W pierwszym sieje się pszenicę czy bawełnę, a przez dwa lata ziemia odpoczywa. Następnie cykl się powtarzał. Poletka pszenicy obejmowały obszar od 50 do 100 hektarów ziemi,

jeden wielki łan. Bawełny zaś nie większe niż 10-15 hektarowe, jednokompleksowe. Wszystkie uprawy są bardzo pracochłonne, gdyż wymagają nawadniania (irygacji). Pole przed orką jest równomiernie zalewane wodą. Po dwóch dniach zostaje zaorane i zasiane pszenicą. Po wejściu roślin i zakorzenieniu się cały łan jest ponownie nawadniany, potem jeszcze raz przed zakwitnięciem pszenicy. Taki sposób pielęgnacji daje gwarancję dobrych zbiorów. Nienawodnienie w wymaganym czasie powoduje wyschnięcie roślin i zmarnowanie całej uprawy. Do uprawy bawełny pole przygotowuje się starannie, tak jak w Polsce przed uprawą buraków. Tworzy się szerokie rzędy i nasypy, na których sieje się bawełnę w odstępach 25-30 cm. Doprowadzona woda sączy się przez cały czas rowkami i nawadnia plantację. Bawełnę sieje się w końcu kwietnia, a zbiór następuje w sierpniu albo i wcześniej. Przed zbiorem bawełny pola wyglądają pięknie. Duże pęki bielutkiej bawełny na każdej roślinie. Ponieważ zbiór ręczny jest czasochłonny, pracę tę wykonują kombajny przystosowane do tego, bardzo szybkie, nie niszcząc przy tym cennych zbiorów. Bawełnę pakuje się do specjalnych worów, po czym wielbłądy przewożą ją do łuszczarni, gdzie maszyny wyłuskują nasiona. Z tych nasion wytłacza się olej, zaś czystą bawełnę odsyła się do fabryki do przeróbki.

Każdy kołchoz ma narzucony plan uprawy i zbiorów bawełny. Niewykonanie planu grozi agronomowi i przewodniczącemu kołchozu karą więzienia, łącznie z oskarżeniem o sabotaż, lub wywózką do łagrów na przymusowe roboty na kilka lub kilkanaście lat. W kołchozach, w latach 1941-1945, karano surowo za najmniejsze przewinienie, takie jak niestawienie się do pracy, nie mówiąc o niewykonaniu planu uprawy – zsyłka na Sybir do łagrów.

W kołchozie Bał-Osu-Zu, poza uprawą pszenicy i bawełny, szeroko była rozwinięta hodowla owiec, w liczbie około tysiąca sztuk, a także hodowla dzikich koni; których było kilka tabunów w liczbie 50-80 koni każdy. Niektóre z nich przez cały swój żywot nie nosiły człowieka na grzbiecie. Większość z nich to araby. W chwili przywiezienia nas do kołchozu załogę stanowili starcy i kobiety. Mężczyzn zabrano do wojska rosyjskiego. Przewodniczącą kołchozu była kobieta, brygadzystkami, traktorzystkami też. Jak wcześniej zaznaczyłem, mechanikiem był stary *babaj*, nieznający się na maszynach. Warsztatu stałego nie było, tylko kuźnia polowa na kółkach i bez przerwy ktoś musiał dymać w miech, by utrzymać żar w palenisku. Jako chłopiec, w drodze do szkoły zawsze przechodziłem obok kuźni, która mnie bardzo interesowała, szczególnie klepanie lemieszy na gorąco, nakładanie obręczy na koła czy podkuwanie koni. Czynności te stale miałem przed oczyma i po kryjomu próbowałem tego fachu w kołchozie. Wiedziałem, że jeśli zdradzę się ze swoimi umiejętnościami, będę musiał wykonywać tę pracę. Miałem na uwadze również to, że złe okucie konia i ochwacenie go, to groźba kary więzienia lub zesłania. Koń był bardziej ceniony niż człowiek. Mówiło się w kołchozie: *Łoszad pamierla* (koń umarł), a *Wasyl padoch* (Wasyl zdechł).

Po kilku dniach naszego pobytu w kołchozie uprosiliśmy Niurę, byśmy mogli przenieść się do lepianki bliżej polskich rodzin. Tam otrzymaliśmy lepiankę z ciekącym dachem i bardzo zniszczoną, ale większą. Szybko uporaliśmy się z przygotowaniem jej do zamieszkania – naprawa dachu i ścian, a ponadto pokryliśmy miejsca białą gliną, wymazaliśmy ściany i sufit naszej lepianki i wyglądała jak pomalowana. Mama, odzyskawszy trochę sił i zdrowia, wymurowała piec

gliniany wraz z kotłem żeliwnym do gotowania. Dzieło to przychodzili oglądać sąsiedzi, a również Kazachy i władze kołchozu. Ojca i siostrę zatrudniono przy produkcji surowej cegły na budowę nowych biur kołchozu i *selsowietu*. Praca ciężka, akordowa, ale nie było możliwości odstąpić od niej. Szczególnie ciężkie było mieszanie gliny ze słomą pociętą na 10-centymetrowe odcinki. Jednak Polak sobie poradzi! Nakopaną glinę ułożyliśmy w dole, na środku wkopaliśmy głęboko słup i przy obrotowej żerdzi wokół słupa zaprzęgliśmy woły, które chodząc w koło, mieszały glinę. Robiliśmy to przeważnie wieczorami, kiedy kołchoźnicy poszli do swych kibitek lub szałasów. Planowano rozpocząć budowę nowego osiedla kołchoźników, magazynów zbożowych itp. Przez kilka tygodni ojciec ze starszą siostrą, a także przy pomocy młodszej siostry Frani, zrobili 25 tysięcy surowych cegieł, które suszyły się na słońcu, a po wyschnięciu stanowiły już materiał budowlany. Co kilka dni przychodził selsowiec sprawdzać robotę. Brygadzysta liczył sztuki zrobionej cegły, która miała wymiary 40x20x15 cm. W taki oto sposób ojciec, Wojciech Lasek, rozpoczął budowę osiedla kołchozowego. Do pracy włączono również inne polskie rodziny.

Rodziny żydowskie, w liczbie pięciu, wymarły w ciągu trzech miesięcy z wycieńczenia. Nie pracowali i nie otrzymywali żadnej żywności. Strach było na nich patrzeć, snujące się kościotrupy powleczone skórą, zbierające trawę do jedzenia. Ojciec namawiał Mojsia, by podjął pracę u niego przy wykonywaniu cegły, to otrzyma przydział jedzenia, ale Żyd odrzekł: – „Nie mogę, nie mam siły, zresztą widzi pan, że to już niedługo!” Tak dobrowolnie sami wydali na siebie wyrok śmierci głodowej.

Wojna coraz bardziej dawała się odczuć. Zboże oddawano dla państwa, tak że brakowało na zasiewy. Kołchoźnikom pozostawał poślad zbożowy. Podobnie było z bydłem, owcami i końmi. Tabuny koni stawały się coraz mniejsze, wszystko szło dla wojska i wojskowych urzędników, którym za transport służyły osiodłane wierzchowce. Zrobiono ze mnie woźnicę dostawcę ropy do traktorów ze stacji Sergo Aczy-saj, odległej o 25 km. Na wozie była zainstalowana 500-litrowa beczka z kranem i wlewem oraz miejsce na smary, towot i oleje. Gdy wcześniej rano wyruszałem w drogę, to około północy wracałem. Co drugi dzień po 18 godzin pracy. Zdarzało się często, że po przyjeździe opróżniałem beczkę, wylewając ropę do zbiorników paliwa. Polubiłem tę pracę, gdyż zawsze udało się przywieźć bochenek chleba od górników za drobne wymiany. Tak upływały nam dni na nieustannej walce o zdobycie pożywienia i utrzymanie jako takiej kondycji do pracy, W kołchozie zaczął się głód. Za przepracowane dniówki (*trudodni*) kołchoz nie miał czym płacić. Polacy dzięki swojemu sprytowi jakoś dawali sobie radę. Kombinowali, jak mogli: a to ktoś ukradł pszenicy przy siewie, to znów nocą naciął kłosów pszenicy, to ukradł owieczkę czy psa – aby tylko przeżyć. Naszą rodzinę władze kołchozu przeniosły do obory dla koni wierzchowych i roboczych. Koniom wydzielano trochę zboża do obroku, a z tego trzeba było i uszczknąć nieco sobie. Skonstruowałem żarna, z których korzystaliśmy my, a także wielu kołchoźników, którzy za zmienie 2 kg pszenicy dawali szklankę mąki. Było to dla nas dużą pomocą.

Ojciec został oficjalnie koniuszym, do niego należało oporządzać konie oraz dbać o ogrodzenie dla bydła i owiec. Ogrodzenie to zabezpieczało zwierzęta nasze przed atakami wilków i innych drapieżników. Duży plac wokół ogro-

dzony 2-metrowym murem i z dwiema bramami całą noc pilnowany był przez nocnych stróży. Do tych zagród zakradały się w nocy wilki, ale na dwóch nogach (Polacy), którzy po zarżnięciu na miejscu owieczkę pakowali do worka i uciekali w step. Tam obierali ze skóry, a łeb i nogi zostawiali na pożarcie hienom i sępom. Po takiej nocnej wyprawie można było zauważyć w stepie stada sępów i hien, czyhających na padlinę, czy też pozostawioną skórę baranią. Kołchozowy pastuch meldował, że wilki porwały owieczkę, po czym odpisywano ją ze stanu stada.

Stepy w swych dziewiczych stanach ukrywały najrozmaitszą zwierzynę, jak sarny, dzikie kozy, wilki, hieny, a w górach niedźwiedzie, tygrysy, węże, jadowite żmije, dużych rozmiarów żółwie itp. Przed pójściem spać należało za każdym razem sprawdzić, czy żmija lub inny gad nie dostał się do lepianki i łoża. Było wiele przypadków śmiertelnych od ukąszenia gada.

W grudniu i styczniu temperatura była znośna, do 20 stopni C gorąca, i w tych miesiącach były opady, a nocą przymrozki, czasem nawet opady śniegu, który po zetknięciu się z porannym słońcem ginął w ciągu 1-2 godzin. Kołchoz był położony na skraju gór Karatau (Czarne Góry), na szczytach których leżały wieczne śniegi i lodowce. One to dostarczały wody do strumieni i rzek, z których czerpano wodę do irygacji – nawadniania pól. W okresie lipca, sierpnia i września temperatura dochodziła do 45 stopni C. Piekło rozgrzanego powietrza zatykało oddech w piersiach, a żar parzył nieprzywykłe do upałów ciało. Kazachowie chodzili w skórzanych spodniach wywróconych wełną na wierzch, a na to kozuch i zawój na głowie. Polacy chodzili bez koszul, spaleni na czarno (młodzi), a starsi w koszulach przemokniętych od potu. Koszule takie przepalały się na słońcu w ciągu dwóch tygodni!

Lato 1942 roku. W kołchozie wzmaga się nacisk na pracę. Wracają z frontu inwalidzi bez ręki, nogi, czasem niewidomi. Ci mniej okaleczeni zajmują kluczowe stanowiska w kołchozie, jak przewodniczący kołchozu, przewodniczący rady wiejskiej, magazynier itp. Jeśli to był *tankista* czy operator czołgu, dostawał przydział do warsztatu. Nowe władze kołchozu trzymały w ryzach całą społeczność kołchozową, stosując surowe kary nawet za najmniejsze wykroczenie, podciągając wszystko pod paragraf sabotaż przeciwko Związkowi Radzieckiemu. Kary sypały się, łącznie z karą śmierci. Wszystkim bieda coraz bardziej zaglądała do oczu... Nasza rodzina po przeniesieniu się do stajni na uboczu lepianek, za zgodą przewodniczącego kołchozu założyła ogród warzywny – melony, kukurydza, cebula, buraki, ziemniaki i papryka (przysmak kołchoźników). W stajniach była gruba warstwa suchego gnoju, którym użyźniłiśmy nasz ogród, wodę mieliśmy zaś z pobliskiej rzeki. Nasiona warzyw i tytoniu udało się kupić w Aczy-saju, dokąd jeździłem po ropę. Uprawą ogrodu zajmowaliśmy się w wolnych chwilach. Cieszył nas widok wschodzących i pięknie rosnących roślin. Ogrodu trzeba było pilnować przed kozami, osiołkami i bydłem, które chodziło luzem. Plon był obfity i wspaniały. Część jarzyn musieliśmy oddać do kołchozu jako kontyngent, pomimo że nie było o tym mowy przy uzyskiwaniu zezwolenia na uprawę. Najbardziej chodziło o liście tytoniu, którego odczuwało się dotkliwy brak. Ziemniakami musieliśmy się podzielić z przewodniczącym kołchozu i rady wiejskiej. Zbierając płody, owoc naszej pracy, trzeba było wszystko chować z obawy przed odebraniem przez władze kołchozu. Nie pomogły tłumaczenia ojca, że to prywatne, wyhodowane w wol-

nych chwilach. Odpowiedź była krótka: Wszystko do magazynu! Przysłał dwóch kołchoźników do załadowania i odwiezienia plonów do spichrza kołchozowego. Tam łup podzieliły między siebie władze wsi i rejonu, nic nie dając nam w zamian. Całe szczęście, że wcześniej ukryliśmy dobrze część zbiorów.

Zbliżał się pełny rok pracy w kołchozie, rok 1942. W tym czasie zgrupowanie organizowanej Armii Polskiej pod dowództwem gen. Wł. Sikorskiego opuszcza granice Rosji przez Persję i Iran. Na resztkę rozrzuconych polskich rodzin spada kara w postaci rozkazu najwyższej władzy sowieckiej, że każdy Polak od 18 roku życia ma przyjąć obywatelstwo sowieckie. Władze wsi otrzymały rozkaz dostarczenia wszystkich dorosłych Polaków do rejonu Czupłak-kurgan, zaś dzieci miały pozostać w kołchozie. Ojciec wraz z innymi dostał nakaz, by nazajutrz rano wraz z żoną, córką i mną stawić się o 7 rano przed budynkiem *selsowietu*, skąd całą grupą powędruje do rejonu. Przez całą drogę trwała ożywiona dyskusja. Po przybyciu na miejsce w rozmowie z innymi Polakami obojga płci dowiedzieliśmy się, że część oświadcza, iż obywatelstwo przyjmą dla ratowania rodziny przed rozbiciem, inni znów twierdzili, że nieprzyjęcie obywatelstwa rosyjskiego spowoduje skierowanie na wyjazd do Iranu za Wojskiem Polskim. Pasporty miały ważność od 6 miesięcy do 5 lat i każdy decydował, jaki paszport przyjmuje. Propaganda była tak nasilona, że nie można było zorientować się w całej sprawie. Ojciec wezwany do NKWD zażądał pokazania paszportów i deklaracji paszportowych. Zapoznawszy się dokładnie, prosił urzędnika NKWD o odłożenie naszej sprawy do dnia następnego, by omówić ją z rodziną i innymi Polakami.

Polacy, którzy byli wzywani 2-3 razy do NKWD i nie przyjmowali obywatelstwa, byli natychmiast sądzeni i otrzymali wysokie wyroki od 5 do 10 lat łagrow i zesłania, z tym, że męża wywożono do innego obozu, żonę do innej miejscowości, dzieci zaś oddawali do sierocińca. Tam dzieci miały tylko imiona – bez nazwisk. Część tych dzieci pozostawionych bez opieki, brudnych, głodnych, wóczyła się, prosząc o skórkę chleba, grzebiąc w śmietnikach za łupiną z kawona. Był to straszny obraz, trudny do opisanie. Widok tych dzieci krajał serca.

Przypomniał mi się obraz, kiedy cała nasza rodzina dogorywała na tyfus. Ojciec, po długim przemyśleniu, postanowił przyjąć sowieckie paszporty dla siebie i mamy, natomiast nas, mnie i młodsze siostry, wpisał do swego paszportu. Najstarsza siostra, Anna, już pełnoletnia, powiedziała ojcu: Ja nie zdradzę Ojczyzny! Paszportu rosyjskiego nie przyjęła. Tak samo zrobiła Rozalia Krawczyk, pozostawiając dwóch synów w kołchozie. Obie zostały aresztowane i zamknięte, czekały na wyrok. Ja z ojcem wróciłem do kołchozu, przekazując mamie całą prawdę. Mama i młodsze siostry przyjęły tę informację z rozpaczą. Po sześciu dniach na prośbę mamy ojciec udał się znów do rejonu, aby dowiedzieć się o los córki – Anny. Została wraz z sąsiadką Krawczykową skazana na pięć lat zesłania na ciężkie roboty. Ojciec otrzymał zezwolenie na widzenie się. Okazało się, że siostra nie wytrzymała metod śledztwa i postradała zmysły. Nie poznała ojca, krzyczała, drżąc ze strachu. Ojciec znowu prosił naczelnika NKWD o wydanie chorej córki. Po długich pertraktacjach NKWD wyraziło zgodę, bo z umysłowo chorym człowiekiem będą mieli więcej kłopotu, a pożytku żadnego. Ojciec zorganizował transport, wykorzystując samochód ciężarowy jadący do Aczy-saju Sergo na stację, po towary. Samochód musiał zboczyć kilka kilometrów, ale wizja otrzymania tytoniu skłoniła kierowcę do ustępstw.

Tak to ojciec wraz z siostrą wrócili do kołchozu. Siostrze teraz potrzebny był spokój i dobra opieka. Rodzice wykazali duże starania, aby zapewnić jej spokój i ciszę. Zakazano młodszemu rodzeństwu rozmów z siostrą, a broń Boże jakiejś sprzeczki czy głośnych dyskusji. Tak upłynęły cztery tygodnie i widać było stopniową poprawę. Pamiętała, że była bita, rozbierana do naga przez enkawudystów, lecz nie wiedziała za co. Za każdym razem dostawała spazmów i strasznego szloch. Mama tuliła ją do siebie jak małe dziecko, a sama w ukryciu rozpaczała. Dwóch synów sąsiadki Krawczykowej zabrano do sierocińca, a że starszy miał już 17 rok, przydzielono go do FZO w Aczysaju, gdzie pracował w kopalni rudy żelaznej. Kontakt z młodszym został zerwany, a co się stało z matką, nikt nie wie. Ślad po niej zaginął, jak po wielu innych. Na pewno do dnia dzisiejszego żyją dziesiątki byłych dzieci polskich zrusyfikowanych, nie znających swego nazwiska ani pochodzenia.

Tak dobiegł rok 1942. Panuje nadal bieda. Na terenie Rosji sowieckiej tworzy się Związek Patriotów Polskich, zorganizowany przez Wandę Wasilewską. Tworzy się polskie wojsko im. Tadeusza Kościuszki przy boku Armii Czerwonej, na czele którego stanął gen. Berling – 1. Dywizja im. Tadeusza Kościuszki. Ogłoszono Apel o ochotnicze wstępowanie w szeregi wojska oraz normalna mobilizacja mężczyzn poborowych.

W kołchozie rozliczono nas za pracę w roku 1942, tj. ojca, siostrę Annę i Franciszkę oraz mnie – Stanisława. Za wypracowane *trudodni* otrzymaliśmy 30 kg pośladu pszenicy, 2 owieczki oraz 1 litr mleka, co dzień, co miało wystarczyć na 7-osobową rodzinę! Trzeba było kombinować, kraść, co się dało, aby przetrwać. Wszystko, co nadawało się do jedzenia – psy, osiołki, owieczki – znikają z kołchozów. Ludzie jedli padlinę i różne świństwa, aby tylko zaspokoić głód i żyć dalej. Za lebiodą i lucerną chodzono po kilka kilometrów w step. W kołchozie panowała nędza i głód, przy tym choroby, których nikt nie leczył z powodu braku lekarstw i lekarzy. Plony były coraz gorsze, ponieważ w kołchozie pozostały kobiety, starszanki i powracający inwalidzi wojenni, którzy nie chcieli pracować za darmo. Żywność odsyłano dla wojska. Władza sowiecka prześladowała, zamykając do więzienia za byle przestępstwo. Niewykonanie planu czy nieprzychodzenie do pracy to zdrada Związku Radzieckiego. Kończyło się to zsyłką na ciężkie przymusowe roboty (łagry) wyrokami sądów.

Ludzie żyli w ciągłym strachu – co przyniesie następny dzień? W tym czasie zachorowała na szkorbut siostra Rozalia. Całe ciało miała opuchnięte, w ustach szerniały dziąsła, także gardło. Silna gorączka, spieczone wargi, cała w konwulsjach, traciła przytomność. Znikąd pomocy ani lekarstw. Na dwa dni przed śmiercią odzyskała przytomność i wówczas mieliśmy nadzieję, że wszystko minie i siostra wróci do zdrowia. Powiedziała tylko: – Mamo, proszę, umyj mnie i ubierz, bo jutro umrę. Mama z płaczem wykonała prośbę. Siostra Anna uwiła z gałązek *dżusanu wianuszek* na głowę. Wówczas Różia mówi: – Mamo, prawda, że Staszek wróci jutro, bo czekam na niego. I dodała: – Chyba Bozia, Pan Jezus przyjmie mnie do nieba, gdzie spotkam się z siostrzyczką Stefcią i braciszkiem Wojtusiem! Cała rodzina na klęczkach przy jej łóżku modliła się wraz z nią. Nazajutrz wróciłem z ropą dla kołchozu. Wszedłem do naszej lepianki, a ona usiadła i powiedziała: – Żegnaj Staszku, ja odchodzę! I umarła w pełnej świadomości, żegnając się z całą rodziną. Znowu ogromna

rozpacz nie do opisania. Mama zemdlła i wszyscy z bólem i żalem żegnali już trzecią ofiarę z naszej rodziny. Zmarła na przeklętej ziemi rosyjskiej.

Na wzgórzu przy drodze znajdował się cmentarz kołchoźny, na którym było kilka mogił Polaków, Żydów oraz kołchoźników. Tam wybrałem z ojcem miejsce na wieczny spoczynek ukochanej siostrze Rozalii. Wykopałem głęboki dół, podkopując jedną stronę z boku, aby tam złożyć ciało, gdyż trumny nie było. Gdy składaliśmy Rózię do grobu, przyszło kilku Polaków oraz kołchoźników. Włożyłem ciało owinięte białym prześcieradłem, w sukience, do wnęki grobu, którą obłożyłem płytami z kamieni, a następnie zasypałem grób. Na nim usypałem z ziemi krzyż, okładając kamieniami. Śmierć siostry była dla całej rodziny wielką tragedią. Do mojej świadomości nie mogło dotrzeć, że to dziecko nie żyje. Ta, która wybiegała na moje spotkanie po powrocie z drogi, pytając, co przywiozłem mamusi i dla reszty rodziny. Oddawałem jej chlebak, który całowała i biegła pochwalić się mamie, co przywiozłem. Każdą wolną chwilę spędzałem na grobie siostry. Rozmawiałem z nią i zdawało mi się, że słyszę jej głos. Ostrzegała mnie kilka razy. W Aczysaju udało mi się zdobyć grubą belkę drzewa, z której zrobiłem krzyż i umieściłem na grobie siostrzyczki. Był to jedyny krzyż na cmentarzu. Obawiałem się, że władze kołchozu sprzeciwią się, jednak żadnej reakcji nie było.

Po kilku tygodniach ojciec zachorował – paraliż kręgosłupa, co uczyniło go bezwładnym. Na wspomnienie tych dni jeszcze dziś dostaję dreszczy. Biedny wił się z bólu, leżąc cały czas na brzuchu. Przy naszej pomocy lekko unosił się, aby można było wsunąć nocnik. Płakał i modlił się, by Bóg go zabrał, gdyż cierpienie było zbyt wielkie. Cała rodzina gorąco prosiła Boga o uzdrowienie ojca. Tak przeleżał sześć miesięcy, nie wstając. Trzeba było mu pomóc, tymczasem ani ja, ani siostry nie mogły opuścić ani jednego dnia pracy w kołchozie, by nie narazić się władzy sowieckiej.

Dostałem polecenie od przewodniczącego rady, że mam udać się wraz ze starym Kazachem (*babajem*) do Taszkientu po odbiór lekarstw dla weterynarii rejonu Czulał-kurgan. Droga wiodła przez pustynię Kara-Kum 360 km, ścieżką karawan i wielbłądów. Droga ta była bardzo niebezpieczna, a znali ją tylko starzy Kazachowie sprzed rosyjskiej rewolucji. Otrzymaliśmy dwa najlepsze wielbłądy i wóz, prowiant na siedem dni oraz skórzane worki na wodę, w środku żołądki wielbłąda. W kancelarii rady wiejskiej była mapa, na której był zaznaczony ślad ścieżki karawan przechodzących pustynią Kara-Kum. Znów łzy, pożegnanie i nieznaną drogą. Tak wyruszyłem, by poznać smak pustyni i jej tajemnic.

Po przejechaniu około 60 km skończył się step porośnięty różnymi kolczastymi krzakami i *buszanem*. Dalej były piaski tworzące nierówności terenu. Po przebyciu dalszych około 100 km wśród piasków i wydm napotkaliśmy oazę. Tworzyło ją kilka drzew, zielona trawa i źródło wody. Wokół dało się zauważyć dziesiątki śladów dzikich zwierząt, przychodzących do wodopoju. Zauważyliśmy także ślady ludzkie. Kazach bardzo się przestraszył i zaczął wzywać Allaha. Ja również modliłem się do Matki Najświętszej o opiekę i ocalenie. Żył w tej oazie traper półdziki, w szałasie zrobionym ze skór. Samotny, ubrany w skóry z wilka i lisią czapkę z ogonem, zarośnięty, z długą brodą. Zaklinał się, aby nikomu nie mówić o jego istnieniu i wyglądzie. Miał około 60 lat. Po krótkim odpoczynku, pod ciągłym strachem napaści ze strony tropera,

staliśmy się bardzo ostrożni i czujni, gotowi do samoobrony. *Babaj*, mój towarzysz drogi, uzbrojony był w bardzo ostry kindżał. Ja zaś posiadałem siekierkę, żelazny młotek i nóż zrobiony własnoręcznie z kosi. Pomyślałem sobie: „Boże, jakież są Twoje wyroki?!”.  

---

Jakoś szczęśliwie udało się nam wyruszyć w dalszą drogę. Po dwóch dniach podróży pustynią, kierując się położeniem słońca i gwiazd i korzystając z mapy, dojechaliśmy do następnej oazy. Tu stały dwa wojłokowe namioty, w których mieszkało troje dzieci, dwie kobiety i mężczyzna około 55 lat. Bardzo się zdziwili, że udało się nam dojechać do tej oazy. Oaza była podobna do tej poprzednio spotkanej, kilka drzew, dużo zieleni oraz trawy stepowej. Trzeba było dać odpocząć wielbłądom, a i my byliśmy bardzo zmęczeni drogą. Okazało się, że do Taszkientu zostało około 65 km. Przez cały czas modliłem się w duchu do Matki Najświętszej o opiekę nade mną i zachowanie, bym nie umarł na tej pustyni. Mój *babaj* również o wschodzie i zachodzie słońca modlił się do Allaha, kładąc pod nogi kawałek wojłoku, na którym klęcząc, bił pokłony w kierunku wschodzącego czy zachodzącego słońca, wołając „Allah, Allah!”.

Tak oto po ośmiu dniach podróży dotarliśmy do Taszkientu. Po zameldowaniu się w biurze rady miejskiej wielbłądy zostały wyprężone i odstawione do nakarmienia sianem. Poszedłem do bani umyć się po długiej podróży. Wracając, nie mogłem powstrzymać łez, które ciekły mi po twarzy na myśl o przeżyciach i tragedii naszej rodziny na terenie Rosji. Pomyślałem o cierpiącym ojcu i chorej mamie, której dokuczały kamienie żółciowe. „Boże, czy będzie mi dane zobaczyć wszystkich?”

W tym momencie ktoś mnie trąca i pyta: – „Synku, czemu ty płaczesz?” spojrzałem i zobaczyłem człowieka z długą siwą brodą, włosami spadającymi na szyję, na głowie zawój, jednak inaczej ubrany niż miejscowe Kazachy. Ponieważ budził zaufanie, opowiedziałem mu całą tragedię mojej rodziny. O tym, że straciłem brata i dwie siostry, o ojcu sparaliżowanym i mamie w bólach od ataków kamieni żółciowych. Powiedziałem, że w ciągu ośmiu dni przebyłem pustynię Kara-Kum, gdzie tylko wydmy piaskowe i kolczaste rośliny czasem rosną. Ten człowiek wówczas powiedział: – „Masz szczęście, że mnie spotkałeś. Jestem lekarzem. Mam kilka tabletek i dam ci cztery dla twojego ojca. Będziesz mu dawał po jednej dziennie. Po trzech dniach choroba powinna ustąpić, wtedy już czwartej tabletki nie dawaj. Ojciec twój ma zwiątzałe mięśnie i zmuszaj go do chodzenia, pomalutku, stopniowo – zapamiętaj to sobie dobrze!” Dał mi również kilka tabletek dla mamy i odszedł, zanim zdążyłem mu podziękować. Gdy pobiegłem za nim, dziękując, powiedział: – „Nie trzeba” i wmieszał się w tłum przechodniów. Jakaż wielka radość wstąpiła we mnie – śmiałem się i płakałem na przemian z radości, dziękując Bogu za wszystko.

Po dwu dniach postoju otrzymaliśmy kilka skrzyń lekarstw dla zwierząt. Lekarstwa te są w rejonie rozdzielane na poszczególne kołchozy, a część pozostaje w Głównym Ośrodku Weterynarii w Czulał-kurganie. Zapowiedziano nam, że jeśli nie dowieziemy lekarstw, to dostaniemy wyrok śmierci za sabotaż. Kazach powiedział mi: – „Ja stary, to już nie żal, ale ty jesteś młody!” Przez całą drogę modliłem się, by nie spotkała nas na pustyni żadna przygoda, a w szczególności burza piaskowa, bo wtedy byłby już koniec. Tak dzień za dniem wędrowaliśmy drogą powrotną, zaopatrzeni w prowiant.



Na przechyle piaskowej wydmy rozbiła się butla z płynem. Okazało się, że to czysty spirytus. Kazach zdołał uratować 2-3 litry. Zalakowany czubek butelki zabrałem na dowód rzeczowy przy zdawaniu lekarstw. Uratowany spirytus Kazach popijał, aż do zamroczenia, bojąc się, aby inne butelki nie potłukły się. Mieliśmy cztery korce z gąsiorami po dziesięć litrów zalakowanymi oraz mnóstwo różnych mniejszych i większych butelek. Wielbłądy schudły i obawiałem się o ich kondycję, brakowało wody.

Tak dojechalśmy do drugiej oazy i pozostało jeszcze do przebycia około 100 km. Znów przez dobę popasaliśmy wielbłądy. Ja cały czas pilnowałem furmanki z lekami, drzemiąc z kijem na wozie i kindżałem w ręce dla własnej obrony. Po przejechaniu pustyni i wjechaniu w step musieliśmy zrobić przerwę w podróży, aby wielbłądy odпочęły, napchały swe worki żywnościowe i uzupełniły zapas wody w swych żołądkach. Mimo pośpiechu powrót do rejonu trwał 11 dni, a cała podróż 28 dni! Nie spodziewano się nas tak szybko. Zebrała się cała władza rejonu i, o dziwo, pierwszą rzeczą, jaką się zajęli, to były napełnione spirytusem gąsiory. Dano nam również trochę spirytusu, Kazachowi dwa litry i mnie jeden litr. Pytam się, jaka to sprawiedliwość? Przecież to ja pilnowałem lekarstw, by nie pobiły się butle!

Zdane lekarstwa pokwitowali i dali nam pismo do kołchozu, że mamy dostać wolny tydzień od pracy. Lekarstwa, które dostałem od nieznanego dla rodziców, nosiłem w woreczku na szyi i stale sprawdzałem, czy nie zgubiłem. Po powrocie do kołchozu i zdaniu wozu, wielbłądów i uprząży biegiem wpadłem do naszej lepianki, wywołując wiele radości. Natychmiast dałem ojcu jedną tabletkę, nic nie mówiąc o jej działaniu. Tak samo oddałem mamie tabletki. Z przyniesionego spirytusu mama zrobiła lekarstwo do nacierania ojcu pleców. Ten spirytus okazał się wielkim skarbem, bo mama mogła zrobić wiele lekarstw. Mama umiała leczyć wiele chorób domowym sposobem, zagoić głębokie rany, złożyć złamaną rękę, nogę, odebrać dziecko przy porodzie itp. To wszystko robiła jeszcze w Polsce. Posypały się pytania dotyczące mojej podróży i źródła pochodzenia lekarstw. Otrzymanie leków od nieznanego na ulicy Taszkientu zataiłem, do czasu uzyskania rezultatów ich stosowania. W trzecim dniu ojciec usiadł na posłaniu o własnych siłach, nie czując bólu. Płakał z radości jak małe dziecko. To było wielkie, cudowne uzdrowienie. Mama również poczuła się lepiej. Nastąpiła wielka, rodzinna radość. Uklękliśmy, odmówiliśmy litanie do Serca Jezusa i Matki Boskiej. Dziękowaliśmy za otrzymane łaski i pocieszenie.

Był piękny, słoneczny dzień, kiedy to, po ponad sześciu miesiącach leżenia, wyprowadziliśmy ojca przed naszą lepiankę. Pojechałem osiołkiem w góry i przywiozłem dwa drzewka, z których wykonałem kule pod pachę. I tak zaczęła się nauka chodzenia. Ojciec nie potrafił utrzymać równowagi, próbował chodzić na czworakach. W mojej stanowczości byłem nieugięty. Powiedziałem, że jeśli nie zrobi kilku kroków, nie dostanie jedzenia! Złościł się, ale zaczął stawiać pierwsze kroki, co dzień to więcej. Po trzech tygodniach zaczął normalnie chodzić. Mama nacierała mu plecy i nogi ziołowym preparatem przyrządzonym przez siebie z ziół i spirytusu. Boże – dzięki Twej opatrności ojciec znów chodził i będzie mógł pracować!

Jesień 1943 roku. W kołchozach coraz większa bieda. Brak rąk do pracy w kopalni rudy w Aczysaj-Sergo, gdzie pracujący otrzymywali po 600 g chleba

i produkty żywnościowe. Była też stołówka wyłącznie dla pracujących. Żaden kołchoz nie miał prawa zatrzymać chętnych do pracy w kopalni.

W tym czasie otrzymałem wezwanie do przysposobienia robotniczo-wojskowego FZO i do pracy w kopalni Aczysaj-Sergo. Ojciec i cała rodzina, nie widząc możliwości egzystencji w kołchozie, postanowili też przenieść się do pracy w kopalni rudy. W kołchozie upierali się, aby zatrzymać moją rodzinę, ale interwencja rady dała rezultat. Kazano rozliczyć całą rodzinę. Ja po przybyciu i zameldowaniu się w komendzie FZO oświadczyłem, że cała moja rodzina przybędzie do pracy w kopalni, z tego też względu powinniśmy dostać rodzinne mieszkanie. Po kilku dniach przyjechała cała rodzina. Jako tymczasowe zakwaterowanie otrzymaliśmy duży pokój z kuchnią (z rozwalonym piecem). Po dokonaniu zameldowania i po zbadaniu ojca, że jest po przebytej poważnej chorobie, przydzielono ojca do pracy w charakterze stróża nocnego przy magazynach kopalnianych. Starsza siostra Anna jako pomoc kucharki w stołówce górniczej. Młodszą siostrę Franciszkę (14-letnią) skierowano do szkoły na naukę obsługi pociągu elektrycznego w kopalni do wyciągania naładowanych wózków z rudą, zawożenia budulca na podbudówkę urobiska, korytarzy czy sztolni. W kopalni tej pracowały dzieci od 13 lat, chłopcy i dziewczęta. Tu też zatrudnieni byli jeńcy wojenni, zwłaszcza Japończycy, oraz różni przestępcy i młodociani chuligani. W pracy nie przestrzegano zasad bezpieczeństwa pracy. Każdego dnia wywożono kilka trupów. Ludzi tych przysypał urobek lub zabijały niewypały przy zrywce. Praca rozpoczynała się o godzinie 6 rano. Dzieci szły, dźwigając lampy karbidowe, służące do oświetlania stanowiska pracy. Strach i litość ogarniały na widok tych biednych dzieci, na które wszędzie czyhała śmierć lub kalectwo.

Po dwóch tygodniach pracy jako pomocnik otrzymałem miano wiertacza przodowego i chodnikowego. Ręczna maszyna ze świdrem i podłączonym wężem powietrza ważyła 30 kg. Nazywali ją *małatok odbojnyj*. Podczas borowania otworu maszyna oparta o pierś trzęsła całym ciałem. Ręce mdlały, w piersiach bolało, do tego dochodził kurz kamienny zatykający oddech. Normy były wysokie i trzeba było ogromnego wysiłku, aby je wykonać. Za tę pracę dostawało się 600 g chleba, miskę zupy i łyżkę kaszy z olejem oraz tytoń, jak również ubranie robocze. Była to *rubaszka* (bluza koszulowa), drelichowe spodnie i hełm na głowę. Po wyborowaniu 25 otworów (głębokości 1 metra) stanowisko było przygotowane do odstrzału. Przychodził strzałowy i zakładał laski dynamitu, zapalając lonty. Ukryty w bezpiecznym miejscu, liczył, czy wszystkie zapalniki z dynamitem wybuchły. O wynikach meldował brygadziście lub kierownikowi oddziału. Urobek należało załadować do wózków, sprawdzić, czy nie ma groźnych zwisów i pęknięć, a następnie podstemplować wyrobiska drzewem. Proces ten powtarzał się. Jeżeli wiertacz fachowo przeprowadzał operację wiercenia, to zrywka była bogata.

Dzieci pracowały przeważnie przy ładowaniu wózków w kopalni, przy zmianie zwrotnic lub jeździe pociągiem elektrycznym. Siostra Franciszka (14 lat) prowadziła pociąg elektryczny. Pracę tę dobrze opanowała, nie dopuszczając do wywrotki wagonu czy wykolejenia. Jeśli nastąpiło skaleczenie się dziecka upadającym kamieniem, w korytarzach udzielał pomocy punkt opatrunkowy. Dysponowano też bandażem, jodyną i jodoformem. Po opatrzeniu rany dziecko wracało do pracy w grupie. W ciężkich przypadkach wywożono do szpitala

(*bolnicy*) kopalni. Patrząc na nie, człowieka ogarniała głęboka litość i łzy. Dzieci wynędzniałe, brudne i obdarte zmuszane były do tak ciężkiej pracy przy ładowaniu kamienia czy rudy, zamiast chodzić do szkoły i uczyć się, i bawić! W kopalniach grasowały stada szczurów, które w chwili nieuwagi natychmiast porwały zawiniątka z chlebem. Panie Boże, jeśli widzisz tę nędzę, jak smaga i dziesiątkuje dzieci górników, zlituj się nad nimi!

Wśród górników można było spotkać Rosjan, Ukraińców, Tatarów, Kazachów, Uzbeków, Czeczeńców, Polaków i innych. Zgromadzeni byli oni wszyscy w barakach obok kopalni, w pomieszczeniach mieszczących 10 prycz do spania. Żywili się w stołówkach kopalni i dostawali po 600 g chleba.

Pewnego dnia, idąc do pracy w kopalni, napotkałem płaczącą 14-letnią dziewczynkę – Wandę Wiśniewską. Opowiedziała mi, że mieszka ze starszą siostrą Jadwigą. Rodzice i brat zmarli podczas transportu do granicy Persji, na tyfus. Młodsza wyszła z pociągu i więcej jej nie widzieli, zaginęła, ich ojciec przed wojną był kierownikiem szkoły koło Stanisławowa. Wanda pracowała na III pokładzie w kopalni, przy załadunku wagoników. Starsza, Jadwiga, pracująca razem z nią, miała wypadek. Spadający kamień złamał jej rękę, i przebywa w domu. Jak się okazało mieszkały w baraku w pobliżu nas. Po pracy udałem się do nich wraz z mamą, aby ich odwiedzić i opatrzeć chorą rękę Jadwigi. Mieszkanie to składało się z pokoju i kuchni, pieca żelaznego, skrzynki służącej za stół, w kącie podwójnej pryczy do spania. Ściany były z dziurami, w oknach powybijane szyby, deski w podłodze przegniłe. Mimo opłakanego stanu izba była posprzątana i czysto utrzymana. Znalazły w opuszczonym baraku stary, zardzewiały garnek do gotowania, dwa blaszane talerze i kubki oraz drewniane łyżki. To był ich cały majątek. Jadwiga zdobyła w kopalni siekierę, miały przynajmniej czym rąbać drzewo. Mama często odwiedzała panny Wiśniewskie, służąc im radą i pomocą. Zapoznałem również z nimi moje siostry. Anna, która pracowała w kuchni, usiłowała, w miarę możliwości, zwiększyć im porcje kaszy czy dać gęściejszej zupy. Musiała się przy tym mieć na baczności, gdyż za takie rzeczy groziło jej wyrzucenie z pracy. Władze kopalni kontrolowały stołówkę, a przy okazji żądały prezentów w postaci kaszy, oleju czy mąki z przydziału przeznaczonych dla dzieci górników stołujących się w stołówce. *Powarycha* dawała, co żądali, klnąc przy tym, ale była bezradna. Nie miała gdzie złożyć skargi w obronie okradanych dzieci. Każdy z nas posiadał talony – kartki żywnościowe. Nie daj Boże, jeśli zostały zgubione lub skradzione! Groziła wówczas dwutygodniowa głodówka. W tejże kopalni rudy żelaznej zatrudniano również zesłańców z Czeczenii. Wywieziono ich ze swego kraju, ponieważ buntowali się przeciwko władzy Stalina. Do Aczysaju przywieźli około tysiąca rodzin, a po upływie kilku tygodni została ich tylko garstka. Reszta wymarła z wycieńczenia i różnych chorób. Nikt się tymi ludźmi nie zajmował. NKWD twierdziło: – To zdrajcy narodu, naszego państwa i władzy, niech zdychają!

Aczysaj położone jest w kotlinie górskiej, w kolebce składającej się z kilku setek lepianek, szeregu budynków z cegły dla rządowych i kierownictwa kopalni rudy żelaznej oraz dziesiątków baraków jeńców japońskich, szkoły (FZO), do której przyjmowano młodzież powyżej 14 lat.

Jeśli spojrzymy na system wychwalanej władzy sowieckiej, to widać, że oparta była na zastraszaniu łagrami, obozami przymusowej pracy i więzieniami,

gdzie bicz, głód i nędza rządziły, tępiąc bezlitośnie wszystkich tych, którzy podejrzani byli o opór przeciw komunizmowi i władzy sowieckiego raju. W ten sposób każdego dnia w Rosji sowieckiej ginęły dziesiątki niewinnych ludzi, grzebanych w nieznanym miejscach, o których wiedzieli tylko nieliczni z NKWD. W takich warunkach rodzina nasza doczekała się zakończenia wojny w 1945 roku. Władze kopalni niechętnie obwieściły, że Polacy mogą rejestrować się na powrót do Polski i należy wypełnić kwestionariusze udowadniające, że jest się Polakiem, podać, gdzie się zamieszkiwało do 1940 roku oraz gdzie przebywało w Rosji. Zarząd kopalni nie chciał stracić taniego robotnika, dlatego wielu Polakom odmówiono i nie przyjęto kwestionariuszy, zwłaszcza samotnym mężczyznom i kobietom, osobom nie mającym dowodu, że są Polakami. Rejestrację rozpoczęto w ostatnich dniach listopada 1945 roku w Urzędzie Repatriacyjnym w Sergo-Aczysaj. Następnie dokumentację przesyłano do Urzędu Repatriacyjnego w Czymkencie w ciągu miesiąca. Jakaż radość panowała wśród Polaków, że już niedługo wrócimy do macierzy.

Ojciec udał się w imieniu naszej rodziny z kilkoma samotnymi Polakami, rejestrując nas na wyjazd. W punkcie rejestracyjnym pouczone nas, co należy zrobić, by można było bez przeszkód wyjechać. I tak: każdy musiał posiadać zwolnienie z pracy, wymeldowanie, rozliczenie się ze sprzętu kopalni i że z niczym nie zalega oraz zaświadczenie o zdaniu zajmowanego mieszkania. Kto tych dokumentów nie przedstawił, nie otrzymał przydziału miejsca w wagonie i nie był wpisany na listę żywnościową w czasie trwania podróży. Wyjazd wyznaczono na pierwszy tydzień lutego 1946 roku. Zapanowała wielka radość i nadzieja, że wreszcie będziemy mogli powrócić do Polski, i każdy starał się, by dokumenty były w porządku oraz przygotowywał zapasy na daleką powrotną drogę.

26 grudnia 1945 roku udaliśmy się do kołchozu Bał-Osu-Zu, gdzie pochowana była młodsza siostra Rózia, by odświeżyć grób i odmówić pacierz na jej grobie oraz pożegnać w imieniu całej rodziny. Była to dla nas bardzo smutna chwila, że po raz ostatni jesteśmy przy grobie, że z dala od Ojczyzny, wśród stepów Kazachstanu i wśród mahometan będzie ona samotnie spoczywać. Pokropiliśmy mogiłę obficie naszymi łzami, prosząc Stwórcę o łaskę zbawienia tej niewinnej duszy.

Po powrocie opowiedzieliśmy rodzicom o odnowieniu grobu siostry. Tym razem całą rodziną udaliśmy się na grób siostry Stefci, by pożegnać ją na cmentarzu Sergo-Aczysaj. Boże, Ty tylko wiesz, ile łez wylali cierpiący zesłańcy i łagiernicy na przeklętej ziemi – czerwonego tyrana. Około 20 stycznia 1946 roku nasza rodzina, składająca się z rodziców – Wojciecha i Zofii, sióstr Anny, Franciszki i Marii, wyruszyła kolejką wąskotorową z Sergo-Aczysaj do Czymkentu, gdzie zostaliśmy wpisani na listę do transportu. Wraz z nami przyjechało kilka innych rodzin, a wśród nich siostry Wiśniewskie.

Znów wagony towarowe z pryzkami, ale bez krat. Otrzymaliśmy przydział w wagonie wspólnie z siostrami Wiśniewskimi oraz 18 Żydami, z których większość nawet nie mówiła po polsku. W punktach repatriacyjnych urzędowali przeważnie Żydzi. Transport po przeliczeniu liczył 1200 osób, w tym 350 Polaków, 850 – to Żydzi. Pociąg udekorowano portretami Bieruta, Kościuszki, Lenina i Stalina oraz wielkimi transparentami, głoszącymi o braterstwie polsko-rosyjskim. Otrzymaliśmy prowiant na 14 dni podróży.

Wyruszyliśmy 3 lutego 1946 roku z Czymbkientu, dziękując Bogu za ocalenie resztek rodziny. Łzy radości, a zarazem smutku za tymi, którzy pozostają na znienawidzonej, przeklętej ziemi. – Boże! Ty pozwoliłeś przeżyć mękę, głód, cierpienie różnych chorób, prześladowań, pozwól nam szczęśliwie wrócić do Matki –Polski! – tak modliła się nasza rodzina do Stwórcy przez całą powrotną drogę. Transport gnał przez stepy Kazachstanu oraz Uzbekistanu, przystając jedynie na uzupełnienie wody i węgla. Po siedmiu dniach byliśmy już w Kujbyszewie, gdzie po 14 godzinach i dodatkowym zaopatrzeniu w żywność i wodę ruszyliśmy dalej do Kijowa, w którym świętowano Wielkanoc 1946 roku.

Po 24 godzinach ruszamy dalej, ciesząc się, że już wkrótce będziemy w Polsce. Jadąc przez Tarnopol, nasze miasto wojewódzkie, widzimy zniszczenia pozostałe po froncie. Taki sam widok był wszędzie. Zniszczenia, zgliszcza, porozrywane i spalone domy – to spuścizna pożogi wojennej. Jadąc, myśli biegną naprzód, układając spotkanie z granicą oraz przywitanie na polskiej ziemi.

Dojechaliśmy do Chodorowa, to jest przed nową granicą Polski i Rosji po stronie rosyjskiej. Tam znów mieliśmy do czynienia z NKWD. Weszli do wagonu, sprawdzili dokumenty i nakazali wymienić ruble na złotówki, wszelkie posiadane książki rosyjskie i polskie należy zdać, tak samo inne przedmioty pochodzące z Rosji. Ci, którzy tego rozkazu nie wykonają, będą sądzeni i wysłani z powrotem do łagrów! Wszystkich ogarnął strach, oddawano dużo rzeczy, które były osobistą własnością. A oni przyjmowali, pytając, czy nie posiadamy ich więcej. Tak zostaliśmy przywitani na kochanej granicy polsko-rosyjskiej. Po prawie jednodniowym postoju ruszyliśmy dalej do Przemyśla. Gdy pociąg stanął, ludzie wyszli z wagonów, całując na kłęczkach ziemię ojczystą. Śpiewano *Boże coś Polskę!*, roniąc obficie łzy radości i uniesienia,

W Przemyślu urzędnicy z Punktu Repatriacyjnego sprawdzali dokumenty i wszystkich rejestrowali, informując, że wszyscy pojedą do Opolą, gdzie mają się osiedlić. Rolnicy otrzymają gospodarstwa, a robotnicy mieszkania w miastach Dolnego Śląska. Takie było powitanie rodzin (niedobitków), powracających po sześciolietniej tułaczce i cierpieniach z sowieckiego raju do wymarzonej Ojczyzny – Polski.

Dzięki Twojej woli i opiece, Boże, wróciliśmy!

\*

Odpis wiersza odczytanego 3 maja przy ognisku, na przerwie obiadowej w Leśnej Polanie, Permohornaja Zapad, na zalewie rzeki Dwina, archangielska obłast, w 1941 roku, wśród zebranych Sybiraków.

Ileż przelało się polskiej krwi  
Ileż bólu i cierpienia zaznał zesłaniec  
W głębi tajgi Syberii dlatego, że był Polakiem  
Dlatego, że kochał swą ziemię ojczystą  
Dlatego, że mówił polskim językiem  
Dlatego, że czcił Ciebie, Pani Ostrobramska  
Dlatego, że czcił Ciebie, Pani Częstochowska  
I Twego Syna.

Znęcał się wróg i myślał  
Że rzuci ciebie, Kresowiaka, na kolana  
Że będziesz prosił i się wyrzekał

Tej Matki – Ojczyzny  
Tej Matki Ostrobramskiej  
Tej Matki Częstochowskiej i Jej Syna.

Jak się bardzo pomylił i ileż się napieklif  
Ty synu Kresów Polskich  
Szedłeś z podniesionym czołem do boju  
O wiarę świętą, o ziemię ojców  
O wolność i przywiązanie do ojczyzny  
Umierałeś z honorem w boju w tajgach Sybiru  
W łągach i więzieniach tortur

Ostatnim twoim tchnieniem ducha był okrzyk  
Jestem Polakiem!!!  
Kocham Cię Matko Ostrobramska!  
Oddaję ducha w Twe ręce Matko z Jasnej Góry  
I błagam "Módl się za nami!"  
Uproś Syna o zmartwychwstanie naszej Ojczyzny – Polski  
Majowa jutrzienka znów nam zawita  
w wolnej i niepodległej Polsce  
A Orzeł Biały wzbije się znów „Tak nam dopomóż Bóg”

*Napisał Stanisław Lasek, kiedy miał 16 lat*

---

---

## KRONIKA

- **HOŁD ZMARŁYM W UZBEKISTANIE POLAKOM – ŻOŁNIERZOM POLSKICH SIŁ ZBROJNYCH NA WSCHODZIE I OSOBOM CYWILNYM W 70. ROCZNICĘ ICH WYPROWADZENIA Z ZSRR. REFLEKSJE WETERANA 9 DYWIZJI PIECHOTY ARMII POLSKIEJ NA WSCHODZIE**

W związku z wynegocjowaną z władzami sowieckimi perspektywą rozbudowy Armii Polskiej w ZSRR, zdecydowano przeniesienie w lutym 1942 r. utworzonych na Powołżu w rejonie Buzułuk-Tockoje-Tatiszczewo jednostek do radzieckich republik środkowo-azjatyckich. Celem tego przemieszczenia była możliwość sformowania z dala od frontu i przy łatwiejszym wyekwipowaniu z baz na Bliskim Wschodzie przez naszych zachodnich sojuszników planowanych sześciu dywizji piechoty i ośrodka zapasowego o łącznej liczebności ok. 96 tysięcy żołnierzy. Nie bez znaczenia było też położenie tych republik znacznie bliżej rejonów zsyłek wielu rodzin z kresów wschodnich. Większość jednostek rozmieszczono na terenie Uzbekistanu. Sztab Armii ulokowano w Jangi-Jul koło Taszkontu, a Centrum Wyszkozenia Armii, pułki armijnych saperów i łączności oraz Szkołę Junaków w okolicach pobliskiego Wrewskoje (obecnie Olmazor). W położonym w rejonie Karszi Guzarze powstały Ośrodek Organizacyjny Armii i Ośrodek Zapasowy Pomocniczej Służby Kobiet. Utworzone już na Powołżu 5 i 6 Dywizje Piechoty ulokowano odpowiednio: pierwszą z nich – jedyną uzbrojoną przez władze sowieckie – już na terenie sąsiedniej Kirgizji w Dżałał-Abad, w pobliżu którego w Kara-Su zorganizowano Centrum Wyszkozenia Artylerii. Natomiast 6 Dywizja Piechoty znalazła się koło Szachri-zjabs na południe od Samarkandy, a rezerwowa 7 DP w rejonie Kermine (obecnie Karmana) koło Nawoi.

Nowopowstające dywizje rozlokowano odpowiednio: 8 i 10 DP już na terytorium południowego Kazachstanu w Czok-Pak i Ługowaja, a 9 DP w Margiełanie, położonym we wschodnim Uzbekistanie w dolinie Fergany. Wokół tworzących się jednostek gromadzili się nasi cywile, w związku z czym zaczęto organizować dla nich szkoły, ochronki i sierocińce, dzieląc się swymi skromnymi, niewystarczającymi żołnierskimi racjami żywnościowymi. W tych trudnych warunkach, przy braku wielu lekarstw i przyrządów próbowano też organizować służbę sanitarną i prowizoryczne szpitale, które nie nadążały za potrzebami

Fatalne warunki sanitarne bytowania tych ludzi i niezdrowy klimat spowodowały szerzenie się takich chorób, jak tyfus, biegunka, czy malaria, dziesiątkując szeregi wycieńczonych rodaków. Zmarłych wojskowych ewidencjo-

nowano i chowano na ogół w grobach indywidualnych na wydzielonych sektorach cmentarzy komunalnych lub na oddzielnych cmentarzach wojskowych. Natomiast brak jest danych liczbowych odnośnie ilości zmarłych osób cywilnych. Według danych, opublikowanych w Londynie, na terenie ZSRR zmarło ogółem 2882 żołnierzy, 47 ochotniczek PSK i siostr PCK oraz 283 junaczek i junaków. Liczbę zmarłych osób cywilnych ocenia się na ok. 10.000. Spoczywają one na ogół w grobach zbiorowych, przy czym zachowało się tylko niewiele ich nazwisk dzięki informacjom rodzin. Wszystkie te okoliczności sprawiły, że nasz naczelne Dowództwo rozpoczęło poparte mocno przez aliantów zachodnich rokowania z władzami sowieckimi w sprawie ewakuacji początkowo części naszych jednostek na tereny Bliskiego Wschodu, zajmowane przez wojska brytyjskie. Warto podkreślić, że w tym czasie armie niemieckie znajdowały się już na Kaukazie i, podobnie jak Afrika Korps gen. Rommła, zagrażały polom naftowym w Iraku. Obecność kilkudziesięciu tysięcy żołnierzy polskich na tym terenie, wzmocnić miała znacząco potencjał wojskowy aliantów w tym rejonie.

Zasługą gen. Władysława Andersa było załatwienie podczas bezpośrednich rozmów z Józefem Stalinem ewakuacji z ZSRR nie tylko żołnierzy, ale i polskich rodzin, co uratowało życie wielu z nich, zwłaszcza dzieciom. W efekcie podczas pierwszej ewakuacji w dniach 24 marca – 4 kwietnia 1942 r. wyjechało przez morze Kaspjskie do Persji ponad 33 tysiące żołnierzy i ok. 10.800 osób cywilnych. Natomiast w wyniku drugiego etapu ewakuacji w sierpniu tego samego roku znalazło się na terenie, zarządzanym przez Brytyjczyków, ponad 69.000 Polaków w tym ok. 25.500 osób cywilnych.. Ponadto z Aszchabadu w Turkmieni odtransportowano tam ponad 2500 osób, w tym większość cywili.

W 70. rocznicę, tego ważnego wydarzenia, którego efektem było powstanie na Bliskim Wschodzie 2 Korpusu Polskiego oraz umożliwienie utworzenia w Wielkiej Brytanii 1 Dywizji Pancerniej gen. Maczka, jak również znaczące wzmocnienie kadr naszej Marynarki Wojennej i Lotnictwa, Urząd do Spraw Kombatanów i Osób Represjonowanych oraz Rada Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, przy współpracy z naszą Ambasadą w Taszkencie zorganizowały uroczyste obchody. Ich podstawowym celem było złożenie hołdu „tysiącom Polaków żołnierzom Armii Polskiej na Wschodzie gen. Władysława Andersa i osobom cywilnym byłym jeńcom więźniom sowieckich łagrów, zmarłym w drodze do Ojczyzny” jak głosi napis na pomniku, zdobiącym każdy z 20 polskich cmentarzy wojennych na terenie Uzbekistanu i sąsiednich republik. Zostały one pięknie odrestaurowane i uporządkowane, dzięki Radzie Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, a z inicjatywy. b. jej sekretarza śp. Andrzeja Przewołnika co było jego ogromną zasługą. Godne podkreślenia jest przy tym wielkie zaangażowanie w to dzieło działającego na terenie Uzbekistanu polskiego Przedsiębiorstwa Budimex-Barcice S.A., a zwłaszcza jej prezesa Pawła Cieślickiego, jak również bardzo przychylnie stanowisko i wsparcie tych pracach uzbeckich władz centralnych i lokalnych..

Zgodnie z zawartym w 1995 r. w Warszawie porozumieniem między rządami naszych krajów o wzajemnej ochronie miejsc spoczynku i pamięci ofiar wojny i represji, oraz dzięki informacjom miejscowych archiwów i bardzo nam życzliwego starszego pokolenia miejscowych mieszkańców, udało się ustalić i w efekcie odnowić bądź zrekonstruować praktycznie wszystkie miejsca po-



chówku Polaków na terenie Uzbekistanu i krajów sąsiednich. Za to my, nieliczni już żyjący jeszcze uczestnicy i świadkowie tych wydarzeń, winniśmy tym wszystkim instytucjom i osobom serdeczne podziękowanie

W skład naszej delegacji wchodził przedstawiciel Pana Prezydenta RP, Senatu, Sejmu, Rządu i Wojska Polskiego oraz Stowarzyszenia „Wspólnota Polska”, Związku Sybiraków i różnych środowisk kombatanckich, w tym pięciu weteranów APW uczestników tych zdarzeń (trzech z Wielkiej Brytanii i dwóch z Polski) i kilkoro ówczesnych dzieci, które przeżyły ten trudny okres. Przybyła też ze Stanów Zjednoczonych córka gen. Andersa Anna Maria Costa, dla której, jak powiedziała, było to wielkie przeżycie.

Nasza wizyta, trwała właściwie dwa dni. To ograniczenie czasowe było spowodowane niewątpliwie wysokimi kosztami dalekiej wyprawy oraz możliwością dysponowania samolotem rządowym jedynie trzy dni. Problemem była też, jak się dowiedzieliśmy od pracowników naszej Ambasady, którzy opiekowali się nami bardzo troskliwie, nieprzejezdność drogi z Samarkandy przez Szachrizjabs do Guzaru., gdzie znajduje się większość naszych wojennych nekropolii.

W efekcie ta sentymalna dla nas pielgrzymka do miejsc, znanych z trudnego ale budzącego nadzieję etapu naszej młodości, ograniczyła się do złożenia hołdu kilkudziesięciu mniej od nas szczęśliwym Towarzyszom broni z Armii Polskiej w ZSRR na trzech cmentarzach wojennych w okolicy Taszkentu : Olmazor I i II oraz Jangi-Jul. Wielu z nich to kilkunastoletni junacy, a nie brakło też kobiet ochotniczek. Na prośbę zaprzyjaźnionych harcerzy ze Skawiny pobrałem do ich Izby Pamięci ziemię z jednego z grobów na cmentarzu Olmazor I, rozsypując garstkę polskiej ziemi. Przemawiając na tym cmentarzu p.o. kierownik Urzędu do Spraw Kombatanów i Osób Represjonowanych Jan Stanisław Ciechanowski oddał hołd spoczywającym tu oficerom, żołnierzom, junakom , cywilom i dzieciom z miejscowego sierocińca. Zmarłych z głodu i chorób na tej gościnnej ziemi i oświadczył „Dziś możemy powiedzieć nad tymi grobami, że wasze marzenie się spełniło – Polska jest wolna i niepodległa, rozwija się i pamięta o swoich bohaterach”. Kończąc podziękował nasz Minister za opiekę nad polskimi grobami gospodarzom tego rejonu w ich ojczystym języku.

Po powrocie do Taszkentu uczestniczyliśmy w poświęceniu tablicy wdzięczności Rzeczypospolitej Polskiej dla mieszkańców Uzbekistanu, „którzy w tragicznych latach drugiej wojny światowej okazali gościnność Armii generała Władysława Andersa oraz polskim obywatelom uwolnionym z obozów despotycznego reżimu sowieckiego”.

Przemawiający podczas tej uroczystości szef Kancelarii Prezydenta RP Jacek Michałowski oświadczył, że podobnie jak pozostałych członków delegacji ogarniają go na zmianę trzy uczucia: smutku, radości i wdzięczności. Smutek wywołuje wspomnienie ofiar, pochowanych w Uzbekistanie. Radość z tego, że tu jesteśmy i są wśród nas świadkowie tamtej historii, którzy ze Środkowej Azji przez Iran, Palestynę i Egipt dotarli na front włoski. Wdzięczność należna jest gospodarzom ziemi uzbeckiej, która przygarnęła ponad sto tysięcy Polaków a jej mieszkańcy, chociaż również prześladowani przez system sowiecki byli dla nich życzliwi, otwarci, wspomagali ich i dawali namiastkę rodzinnego ciepła. Tablica ta znajduje się przy pomniku upamiętniającym Polaków zmarłych w Uzbekistanie w 1942 r. Duże wrażenie zrobiła na nas Msza św. odprawiona

przez administratora apostolskiego w Uzbekistanie o. biskupa Jerzego Maculewicza w pięknie odnowionej po komunistycznych zniszczeniach neogotyckiej prokatedrze pw. Najświętszego Serca Pana Jezusa, w której znajduje się poświęcona pięć lat temu przez śp. biskupa polowego WP Tadeusza Płoskiego tablica następującej treści:

**Panu Bogu w Trójcy Świętej Jedynemu i Matce Najświętszej  
z wdzięcznością za cud ocalenia z domu niewoli  
uratowane przez Armię generała W. Andersa dzieci z polskich rodzin  
deportowanych w latach 1940-1941 w głąb ZSRR**

Po Mszy św. utalentowany zespół jazzowy, chór i soliści miejscowej Polonii przedstawili urozmaicony program artystyczny, w którym nie zabrakło pięknie wykonanych „Czerwonych Maków na Monte Cassino” i piosenek urodzonej w Uzbekistanie Anny German.

Po sentymentalno-wspomnieniowych doznaniach pierwszego pełnego dnia pobytu na przyjaznej nam uzbeckiej ziemi nadszedł drugi i ostatni dzień naszej wizyty w tym kraju. Po krótkim locie rządowym „Embraerem 175” wylądowaliśmy w Samarkandzie celem poznania zabytków tego miasta, uchodzącego za jedno z cudów sakralnej architektury azjatycko-muzułmańskiej i spotkać się z miejscową Polonią. Oprowadzani przez znakomitego przewodnika, mieliśmy możliwość poznania dziejów tej targanej konfliktami i najazdami krainy i zwiedzenia takich słynnych zabytków, jak obserwatorium Ulugbeka, Muzeum Afrosiab, wspaniałego kompleksu i Placu Registan oraz meczetu Bibi Hanum i pobliskiego bazaru. Tam spotkaliśmy żołnierza Armii Czerwonej, którego jednostka stacjonowała w rejonie Krakowa a potem Wrocławia; znał on wiele polskich słów i wymieniał zabytki tych miast. Atmosfera tego bazaru, na którym można było kupić stosunkowo tanio niemal wszystko, przypominała okres przed 70 laty, gdy staraliśmy się likwidować pospolitą wśród naszych żołnierzy i cywilów awitaminozę zakupami jarzyn oraz świeżych i suszonych owoców.

Następnie udaliśmy się do stylowej regionalnej restauracji „Samarkanda”, gdzie poza tradycyjną uzbecką kuchnią zaprezentowano nam barwny miejscowy folklor i muzykę. Podczas końcowej części występu artystki zespołu zaprosiły do tańców gości z Polski, z czego, przy czym najlepszymi tancerzami okazali się szefowie i pracownicy Kancelarii Prezydenta RP oraz Anna Maria Costa-Anders i senior polskich weteranów Stanisław Berkiet.

Kończącym akcentem naszego pobytu w Samarkandzie i na ziemi uzbeckiej było spotkanie z miejscową nieliczną Polonią w odzyskanym i wyremontowanym po okresie komunistycznym mniejszym od taszkenckiej prokatedry kościele katolickim pw. św. Jana Chrzciciela. Powitano nas odegranymi na pianinie przez dziewczęta w strojach krakowskich mazurkiem F. Chopina i polonezem „Pożegnanie Ojczyzny” M.K. Ogińskiego. Spotkanie, które przebiegło w bardzo miłej atmosferze, prowadzili miejscowy proboszcz oraz pani prezes miejscowej Polonii Parafia jest biedna z uwagi na niewielką ilość wiernych i potrzebuje pomocy z zewnątrz., a znaczna ich większość, czując się Polakami, posługuje się językiem rosyjskim.

Był to ostatni punkt naszego pobytu w Uzbekistanie. Z kościoła udaliśmy się autokarem na lotnisko, skąd z międzylądowaniem na uzupełnienie paliwa w Tbilisi, udaliśmy się w drogę powrotną do Warszawy.

Podsumowując powyższe refleksje chciałbym w imieniu nielicznych już świadków i uczestników wojennych wydarzeń w Uzbekistanie w 1942 r. wyrazić wdzięczność i uznanie Organizatorom tej niełatwej pielgrzymki, a zwłaszcza ministrom Janowi S. Ciechanowskiemu i Andrzejowi S. Kunertowi oraz naszemu ambasadorowi w Taszkencie Marianowi Przeździeckiemu i ich Współpracownikom za umożliwienie nam odwiedzenie po 70. latach miejsc, w których na wojennym szlaku z domu niewoli do wolnej Polski zostawiliśmy naszych zmarłych z wycieńczenia, głodu i chorób Towarzyszy broni i oddać im należny hołd.

*Wojciech Narębski*

- **TABLICA POŚWIĘCONA PAMIĘCI  
EDWARDA DUCHNOWSKIEGO**

Staraniem Oddziału Warszawskiego Związku Sybiraków w dniu 17 września 2012 roku o godz. 1100 została odsłonięta tablica poświęcona pamięci Edwarda Duchnowskiego – Sekretarza Generalnego Związku Sybiraków.



Warta honorowa uświetniająca uroczystość odsłonięcia tablicy pamięci o Edwardzie Duchnowskim.

Edward Duchnowski urodził się w 1930 roku w Pobielu pow. łomżyński. W czerwcu 1941 roku został wywieziony wraz z rodziną do dalekiego Kraju Ałtajskiego, w którym by przeżyć ciężko pracował przy wyrębie lasu. Permanentny głód, ciężka, ponad siły praca, choroby (bez dostępu do kwalifikowanej

służby medycznej i lekarstw); brak odzieży odpowiedniej do surowych warunków klimatycznych; brak możliwości kształcenia się i dostępu do dóbr kultury wyniszczały młody organizm fizycznie i degradowały psychicznie. Dzięki wrodzonej odporności, czulej opiece matki i odrobinie szczęścia przetrwał Edwardową ponad pięcioletnią gehennę: „Polską Golgotę Wschodu”.

Po powrocie do kraju nabiera sił i odzyskuje stopniowo równowagę psychiczną. Kosztem wyrzeczeń własnych i rodziny nadrabia zaległości edukacyjne, kończy studia chemiczne na Uniwersytecie Warszawskim. Odbywa staż w Zakładach Fotochemicznych, następnie krótko pracuje w Polskiej Akademii Nauk, by ostatecznie podjąć pracę w Zakładach Winiarsko-Spożywczych „WARSOWIN”. Zostaje cenionym pracownikiem, o czym świadczą liczne nagrody, odznaczenia i powierzanie wyższych stanowisk kierowniczych. W konsekwencji zostaje Dyrektorem Naczelnym „Warsowinu”.

Gdy w 1988 roku wszczęto procedurę reaktywowania Związku Sybiraków, wspierał działania Komitetu Inicjatywnego. Po przejściu w 1990 roku na emeryturę, całkowicie poświęcił się działalności społecznej w Związku Sybiraków. Od 1993 roku aż do tragicznej śmierci w katastrofie lotniczej pod Smoleńskiem, nieprzerwanie pełnił funkcję Sekretarza Generalnego Związku Sybiraków.

Treść tablicy:

**W TYM DOMU W LATACH 1980-2010 MIESZKAŁ**



**MGR  
EDWARD  
DUCHNOWSKI  
1930-2010**

**SEKRETARZ GENERALNY ZWIĄZKU SYBIRAKÓW  
W LATACH 1993-2010**

**Z POŚWIĘCENIEM I PEŁNYM ZAANGAŻOWANIEM  
REALIZOWAŁ ZADANIA STATUTOWE  
UTRWALAJĄC PAMIĘĆ O POLSKIEJ GOLGOCIE WSCHODU**

**ZGINAŁ ŚMIERCIA TRAGICZNĄ  
W KATASTROFIE LOTNICZEJ POD SMOLEŃSKIEM  
10 KWIETNIA 2010 ROKU  
CZEŚĆ JEGO PAMIĘCI  
10 KWIETNIA 2012 ROKU**

Tablica została w całości sfinansowana przez Urząd m. st. Warszawy Dzielnica Mokotów. Na uroczystość przybyli liczni członkowie Rodziny śp. Edwarda Duchnowskiego, kierownik Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych Jan Stanisław Ciechanowski, burmistrz Dzielnicy Mokotów

Bogdan Olesiński, jego zastępca Krzysztof Skolimowski (kierował zespołem przygotowującym tablicę), zastępca dowódcy Garnizonu płk Adam Wronecki, prezes Zarządu Głównego Związku Sybiraków Tadeusz Chwiedź, Sekretarz Generalny Związku Sybiraków Stanisław Sikorski, przedstawiciele Prezydent m. st. Warszawy, Sybiracy z Zarządu Oddziału i Warszawskich Kół, mieszkańcy Dzielnicy Mokotów.

Uroczystość uświetniały sztandary: Zarządu Głównego, Oddziału Warszawskiego i Kół Związku Sybiraków w liczbie: 5 sztandarów i 2 proporce. Przebieg uroczystości odbył się według ceremoniału Wojska Polskiego. Poświęcenia tablicy dokonał: ks. płk Jan Damian, proboszcz Parafii Wojskowo-Cywilnej pw. Matki Boskiej Ostrobramskiej

Przemówienie wygłosił kierownik Urzędu do Spraw Kombatantów Osób Represjonowanych Jan Stanisław Ciechanowski. Podziękowali fundatorom tablicy, organizatorom i uczestnikom uroczystości: Prezes Zarządu Głównego Związku Sybiraków oraz córka śp. Edwarda Duchnowskiego.

*Henryk Majewski*

\*

## APEL

Otwarcie **Muzeum Pamięci Sybiru** planujemy na 2016 r., ale już teraz podejmujemy szereg działań związanych z pozyskiwaniem materiału fotograficznego, pamiątkarskiego oraz ze zbieraniem pamiątek związanych z zesłaniami do Imperium Rosyjskiego i ZSRR. W związku z tym zwracamy się do wszystkich Państwa, którym bliska sercu jest tematyka Sybiru o pomoc w budowie tego jedyne w naszym kraju Muzeum.

Prosimy o przesyłanie relacji, wspomnień z pobytu na *niełudzkiej ziemi*, przekazywanie zdjęć, pamiątek.

**TYLKO WSPÓLNIE ZBUDUJEMY  
MUZEUM PAMIĘCI SYBIRU!!!**

**Dział Badań Zsyłek i Deportacji Muzeum Wojska w Białymstoku**

ul. Kilińskiego 7, 15-089 Białystok

tel. 85/741-64-49; e-mail: sybir@mwb.com.pl

www.sybir.com.pl

### **Informacja wydawnicza dla Prezesów Oddziałów i Kół Związku Sybiraków**

Redakcja „Biblioteki Zesłańca” Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego uprzejmie informuje, że jej nakładem ukazała się książka pt. *Tunka. Syberyjskie losy księży zesłańców 1863 roku*, autorstwa Prof. dr. hab. Eugeniusza Niebelskiego z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego Jana Pawła II. Książka jest ciekawym kompendium wiedzy o losach księży na syberyjskim zesłaniu w II połowie XIX stulecia, którzy w trudnych warunkach psychicznych i materialnych zachowali godność katolickich duszpasterzy.

Przekazując tę informację pragniemy nadmienić, że jest to publikacja, którą Prezesi Oddziałów i Kół Związku Sybiraków powinni ofiarować księżom kapelanom niosącym posługę duszpasterską szerokiemu gronu społeczności sybirackiej. Zbliżający się okres Wigilii Bożego Narodzenia oraz Nowego Roku to wspinała okazja by książkę Prof. dr. hab. Eugeniusza Niebelskiego ofiarować duszpasterzom, z którymi Oddziały i Koła Związku Sybiraków pozostają w stałych kontaktach.

\*

Zainteresowani nabyciem tej interesującej publikacji książkowej powinni kontaktować się z:

**Polskie Towarzystwo Ludoznawcze  
ul. Szczytnicka 11; 50-382 Wrocław;  
tel. 71/321-16-10; fax: 71/ 321-16-14;  
e-mail: [ptl.ptl.info.pl](mailto:ptl.ptl.info.pl).  
Cena książki 40 zł + porto.**

---

---

## REGAŁ Z KSIĄŻKAMI

- **S. Teresa Antonietta Frącek RM, *Zesłaniec nad brzegami Wołgi. Miniatury z życia abp. Zygmunta Szczęsnego Felińskiego 1822-1895*, „Biblioteka Zesłańca”, Polskie Towarzystwo Ludoznawcze, Wrocław 2011, s. 491.**

Monografia s. Antonietty Frącek o arcybiskupie Zygmuncie Felińskim, choć określana przez autorkę tylko jako „miniatury z życia” jego, charakteryzuje szczegółowo i wieloaspektowo biografię, działalność i dokonania tego wybitnego Polaka, patrioty, hierarchy i świętego na tle ówczesnego życia politycznego, społecznego i kościelnego w złożonej sytuacji zaboru rosyjskiego i imperium rosyjskim. Autorka z akrybią przedstawia chronologicznie poszczególne etapy jego życia na podstawie bogatego materiału archiwalnego, w co włożyła wiele starań, bo udało się jej dotrzeć nawet do dokumentów trudno osiągalnych. Z dużym wyczuciem historycznym i rozważą starła się ocenić okoliczności, zdarzenia i osoby mogące mieć wpływ na jego profil osobowy i podejmowane decyzje, możliwie obiektywnie i bez popadania w patos martyrologiczny, scharakteryzowała jego uwięzienie i 20-letnią zsyłkę, autokratyzm władzy carskiej, despotyzm urzędniczy i ucisk zaborczy, a nawet wzmagający się ruch narodowowyzwoleńczy, zrywy powstańcze i represje polityczno-religijne. Nie tworzyła jednak rozległych „ekskursów” na te tematy skądinąd interesujące i ważne, ale w stosunku do nadrzędnego tematu oboczne, np. dotyczące powstania styczniowego, struktury, funkcjonowania i osiągnięć Akademii Duchowej w Petersburgu, nie gubiła się w szczegółach, nawet intrygujących, choć dysponowała ogromnym materiałem badawczym i bogatą literaturą przedmiotu.

Zadanie możliwie obiektywnego sportretowania życia i działalności Zygmunta Szczęsnego Felińskiego autorce w pewnej mierze utrudniał fakt, że chodziło o osobę arcybiskupa, człowieka świętego, założyciela zakonu, do którego autorka należy. Nie uległa jednak pokusie napisania hagiograficznego panegiryku, jakich nie ma w dewocyjnej literaturze. Choć nie brak pewnych aluzji osób jemu współczesnych, wskazujących na jego chrześcijańskie, niekiedy nawet święte zachowania w niektórych sytuacjach życiowych, to jednak autorka pisze o tym dyskretnie i powściągliwie, nie epatuje czytelnika hagiograficznym ujęciem tej postaci, choć obiektywnie ukazała te cechy jego osobowości i charakteru, które na szczególną więź z Bogiem i ludźmi oraz heroiczność cnót wskazywały.

Jak bowiem autorka wskazuje, droga życiowa Felińskiego od wczesnych lat usłana była trudnymi problemami; urodzony i wychowany na Wołyniu, wcześniej uświadomił sobie niełatwą sytuację etniczną i religijną w tej części zaboru, zwłaszcza zaś narastający ucisk ze strony władz rządowych. Zdawał

sobie sprawę, że w ówczesnej konfiguracji politycznej i społecznej Polacy nie mają szans na złamanie wzrastającej militarnej potęgi Rosji, która wszelkie zrywy wywoleńcze krwawo tłumiała, tym bardziej, jak sam się o tym przekonał, biorąc udział w powstaniu w Wielkopolsce i walcząc w oddziałach partyzantycznych, Polacy nie byli do takiej generalnej rozprawy ani społecznie zjednoczeni, ani też zbrojnie wystarczająco przygotowani. To częściowo tłumaczy jego nieco kompromisowy stosunek do władz zaborczych, studzenie gwałtownych wystąpień i raczej negatywne stanowisko wobec powstania styczniowego.

W działalności naukowej i kościelnej odniósł niemałe sukcesy mimo różnych przeciwności. Rząd carski pragnął go wykorzystać jako narzędzie w swojej polityce państwowej i antypolskiej i zachować kontrolę nad sprawowaniem przezeń funkcji arcybiskupich. Z kolei naród jako nieznajomemu, który kształcił się na uniwersytecie w Moskwie, Kijowie i Paryżu, potem w Akademii Duchownej w Petersburgu, gdzie też w Kościele Maltańskim otrzymał święcenia biskupie z nominacją na arcybiskupa i metropolitę warszawskiego, nie do końca mu ufał i odnosił się doń z rezerwą, zwłaszcza gdy po przyjeździe do Warszawy polecił otworzyć tutejsze kościoły, zamknięte na znak protestu z powodu sprofanowania przez rosyjskich żołnierzy 3 świątyń, a nadto zaapelował, by w kościołach zaniechano śpiewania pieśni religijno-patriotycznych.

Położenie abpa Felińskiego było w ówczesnej sytuacji tym bardziej skomplikowane, ponieważ on w charakterze członka Rady Stanu i najwyższego rangą duchownego w Królestwie Polskim miał prawo i obowiązek w pewnym stopniu uczestniczyć w polityce wewnętrznej; jednak z powodu nieustannych ingerencji sił policyjnych i wojska w życie kościelne archidiecezji warszawskiej i w Królestwie Polskim pozycja Felińskiego była ogromnie utrudniona, wskutek czego zrezygnował na znak protestu z członkostwa w Radzie Stanu. Gdy wybuchło powstanie styczniowe, nie potępił go, ale też się z nim nie związał. Interweniował u rządu o zaniechanie represji, napisał odważny list do cara Aleksandra II w tej sprawie oraz o dokonanie reform w Królestwie. Pismo to ukazało się także we francuskim „Monitorze”. Na rozkaz cara w 1863 r. został wezwany do stawienia się na dwór carski, ale uwięziono go w Gatczynie k. Petersburga i zesłano na banicję do Jarosławia nad Wołgą, gdzie pozostał do 1883 r., kiedy zrezygnował z arcybiskupstwa warszawskiego za radą papieża Leona XII, który zamianował go arcybiskupem Tarsu (in partibus infidelium). Wtedy rząd rosyjski zgodził się na wyjazd Felińskiego za granicę, ale bez prawa powrotu i zapewnił mu dożywotnio 5000 rubli rocznej pensji. Zamieszkał później w Dźwiniacze na Bukowinie, gdzie pracował jako zwykły kapłan. Zmarł 17.IX.1895 r. w Krakowie, ale został pochowany w Dźwiniacze, skąd w 1920 r. przeniesiono jego zwłoki do Warszawy; spoczął w 1921 r. w katedrze św. Jana. Papież Benedykt XVI 11.X. 2009 ogłosił go świętym.

Praca s. Teresy Antonietty Frącek, oparta na bogatym i materiale archiwalnym i szerokiej kwerendzie odznacza się dużym walorem naukowym i znacznie poszerza wiedzę o tym świętym arcybiskupie. Zarazem ukazuje także jego rysy ludzkie, zmagania wewnętrzne, rozterki, powodzenia i niepowodzenia. Oczywiście nasuwają się pytania, czy w danej sytuacji Feliński nie mógł inaczej postąpić, mniej narażać się, „taktyczniej” postąpić, albo jak Chrystus apostołom polecił: „Bądźcie roztropni jak węże, a nieskazitelni jak gołębie”. Niewątpliwie niejedną raz znajdował się on między przysłowiową Scyllą a Charybdą, ale zawsze jego decyzje podejmowane były zgodne z jego sumieniem,



uczciwością wewnętrzną i z uwzględnieniem dobra powierzonego mu ludu. I właśnie te cechy autorce udało się znakomicie w swej pracy wyeksponować.

Do walorów tej monografii można także zaliczyć dobrą charakterystykę sytuacji kościelnej w ówczesnym Królestwie Polskim i częściowo w Rosji Europejskiej, ukazanie zabiegów caratu, aby podporządkować sobie i kontrolować w swoim imperium wszystkie ważne dziedziny życia publicznego i religijnego, a także zwrócenie uwagi na różne formy obrony w zaborze rosyjskim polskiej tożsamości narodowej oraz zachowanie kultury i wartości religijnych i etycznych w ówczesnej rzeczywistości.

Autorka mając do dyspozycji ogromny materiał dokumentalny, kompletny na wszczęcie procesu beatyfikacyjnego i kanonizacyjnego, a także już dość pokazną literaturę o Felińskim, stworzyła jedno z najlepszych naukowych opracowań o tym świętym zesłańcu na tle jego epoki i w dziejach Kościoła katolickiego w Polsce. Monografia ta jest szczególnie cenna ze względu na dobrą dokumentację źródłową i archiwalną oraz fachowy sposób opracowania i obiektywizm opracowania. Bogata jest także wykorzystana literatura, choć nie uwzględniono w niej dość pozycji: ks. Adrijana Boudou T. J., *Stolica Święta a Rosja – Stosunki dyplomatyczne między niemi w XIX stuleciu*, Kraków, t. II (zwłaszcza rozdziały od IV-VI, dotyczące lat 1861-1864).

W monografii znalazły się też charakterystyki różnych aspektów jego działalności i dokonań, z których niektóre przetrwały po dzień dzisiejszy, a także jego twórczości pisemnej, angażowania się społecznego i oświatowego oraz organizacji życia zakonnego. Pracę wieńczy *Kilka słów o warsztacie pisarskim abp. Zygmunta Szczęsnego Felińskiego*, pióra Jolanty Ługowskiej, a także streszczenie w języku włoskim i angielskim oraz skorowidz nazwiskowy i geograficzny.

Książka s. Teresy Antonietty Frącek jest edycyjnie starannie opracowana i wydana, zawiera nadto bogatą dokumentację ilustracyjną, jest napisana językiem naukowym, ale przystępnym także dla zwykłego czytelnika; jest bardzo informatywna, a zarazem interesująca, koncepcyjnie i z wycuciem historycznym umiejętnie zredagowana. Szczególnie można ją polecić historykom, hagiografom, osobom zainteresowanym relacjami polsko-rosyjskimi oraz problematyką zesłańczą i zaborczą. Te naukowe i edycyjne walory prezentowanej książki sprawiły, że szybko znikła ona z księgarń. Rekomenduję więc autorce i wydawnictwu jej wznowienie.

*Franciszek M. Rosiński OFM*

- **Anna Dembowska, *Polacy na północy Rosji. Album o polskich miejscach pamięci*, Sankt-Petersburg 2011, s. 193.**

Tematyka zesłańcza dotycząca Polaków na Syberii i w innych rejonach Związku Radzieckiego, choć popularna wśród badaczy relacji polsko-rosyjskich, w dalszym ciągu nie jest do końca opracowana. Na taki stan składa się między innymi utrudniony, w Federacji Rosyjskiej, dostęp do źródeł archiwalnych z przełomu pierwszej i drugiej połowy XX wieku, obejmujących zwłaszcza okres tzw. Wielkiej Wojny Ojczyźnianej. W dalszym ciągu wiele problemów dotyczących miejsc zesłania i kaźni narodów okupowanych przez

Związek Radziecki nie uzyskało pełnego faktograficznego opracowania. Stąd też każda kolejna publikacja poświęcona przymusowemu pobytowi Polaków w ZSRR przybliżyła nas z jednej strony do realiów z tamtego okresu, z drugiej umożliwia trwanie pamięci o tych, którzy zostali na nieludzkiej ziemi.

Wydana w Sankt-Petersburgu dwujęzyczna publikacja Anny Dembowskiej, pt. *Polacy na północy Rosji. Album o polskich miejscach pamięci*, stanowi próbę wzbogacenia tej deficytowej problematyki poprzez zebranie, w ramach jednej książki, najważniejszych wiadomości dotyczących losów Polaków przebywających na zesłaniu w północnych rejonach europejskiej części Rosji. Wydanie książki wsparte było przez Konsulat Generalny Rzeczypospolitej w Sankt-Petersburgu a jej dwujęzyczny (polsko-rosyjski) charakter stanowi o poszerzeniu kręgu odbiorców, uświadamiając im mało dotychczas znaną perspektywę interesującej historycznie rzeczywistości. Wreszcie kolejnym pozytywnym czynnikiem jest to, że książka angażuje do emocjonalnego uczestnictwa w poznawaniu przymusowej obecności Polaków w tej części Rosji. Opisano bowiem w niej miejsca, znane choćby z nurtu literatury łagrowej, takie jak: Republika Komi, Workuta, Wyspy Sołowieckie, Archangielsk. Jej czytelnik trafi także do miejsc mniej znanych, których nazwy mówią mu niewiele, jak choćby Lewaszowo – cmentarz w pobliżu Petersburga, jeszcze nie do końca opisany, stanowiący fragment martyrologicznej historii z pewnego okresu Związku Radzieckiego. Wszystko to pozwala odkrywać przeszłość Polaków na północy Rosji powiązaną z wieloma faktograficznymi wydarzeniami.

Układ tematyczny pracy jest przejrzysty; rozpoczyna ją rozdział zatytułowany *Polski Petersburg* poświęcony miejscom pamięci o Polakach w Sankt-Petersburgu i okolicach. Narracja wiedzie czytelnika poprzez wspomnienia o działaczach politycznych, przedstawicielach literatury i sztuki, inżynierach z tzw. czasów carskich oraz o ofiarach terroru komunistycznego w XX wieku. Pojawiają a także w rozdziale wzmianki o działalności współczesnej Polonii w tym mieście nad Newą. Opisano również znaki czczące pamięć Polaków, takie jak np. pomnik na cmentarzu w Lewaszowie pod Sankt-Petersburgiem, tablica pamiątkowa na Cmentarzu Piskariowskim, Cmentarz Wyborski, twierdza w Szlisselburgu, w której więziony był m.in. Walery Łukasiński. Autorka poświęca także nieco miejsca związkom z tym miastem takich postaci jak Jan III Sobieski, Stanisław August, Tadeusz Kościuszko i Adam Mickiewicz. Rozdział zamykają wspomnienia trójki Polaków urodzonych w Piotrogradzie/Leningradzie wprowadzające czytelnika w ich losy w pierwszej połowie XX wieku, w tym interesujące fakty z czasów tzw. blokady w okresie drugiej wojny światowej. Wszystkie te, tak zwięźle podane wiadomości, ukazują w jak różnych okolicznościach wiązały się losy Polaków z tym miastem.

Prezentując tę książkę-album o polskich miejscach pamięci na terenie północnej Rosji widzimy, że drugi jej rozdział dotyczy cmentarzy żołnierzy Armii Krajowej w obwodzie nowogrodzkim, wskazując na jeszcze jedno miejsce odosobnienia Polaków po drugiej wojnie światowej, jakim był łagier NKWD nr 270 w Borowiczach oraz jego podobozы w Jogle, Ustje i Bobrowiku. Sposób ujęcia tego problemu, wyjaśnienie kwestii politycznych związanych z łagrem i jego więźniami, jakkolwiek krótki, zawiera jednak podstawową wiedzę na ten temat. Kolejny rozdział noszący tytuł *Pomnik w Murmańsku* to pobeżny szkic o polskich uczestnikach konwojów alianckich. Ukazuje on także polskich żołnierzy

więzionych w łagrze na Półwyspie Kolskim, odkrywając bez wątpienia istotne elementy związane z losem około 4 tysięcy żołnierzy pojmanych w niewolę po 17 września 1939 r. Rozdział zawiera zestawienie podstawowych faktów historycznych wraz z relacją ze współczesnych inicjatyw Polaków w kwestii upamiętnienia tego mało znanego miejsca tragedii rodaków. Myślę, że właśnie z takim przekonaniem autorka książki przystąpiła do pracy „zbieracza” przeróżnych faktów dotyczących obecności Polaków w tej części Rosji i ich opracowania, a współpraca z Rosjanami pozwoliła na pogłębienie wiedzy na ten temat.

Rozdział czwarty książki kreśli złożony tematycznie i chronologicznie zarys dziejów Polaków w obwodzie archangielskim, co może stanowić bazę i zachętę do pełniejszego opracowania tej problematyki przez historyków. Znajdujemy tu szeroki opis losów Polaków, którzy trafiali w ten rejon w XIX w. i XX w. i wpisali się w historyczno-cywilizacyjny szlak na rosyjskiej ziemi. Autorka rozpoczyna rozważania przypomnieniem powstańców listopadowych i styczeńowych, którzy jako zesłańcy trafiali do północnej Rosji. Związki naszych rodaków z Rosją ożyły w XIX i na początku XX wieku, wówczas bowiem Polacy kształcący się w Rosji otrzymywali propozycje zatrudnienia na terenie guberni archangielskiej lub byli tam kierowani na zasadzie odpracowania stypendium pobieranego podczas studiów. Warto ponadto zauważyć, że w dzieje tego rozległego obszaru wpisują się także uchodźcy z ziem objętych działaniami wojennymi w okresie pierwszej wojny światowej, którzy po jej zakończeniu powracali do kraju. Rys historyczny uzupełniony jest danymi liczbowymi, określającymi ilość osób deportowanych do obozów pracy. Rozdział dopełniają wątki dotyczące Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, który w swojej książce *Inny świat* opisuje jedno z więzień sowieckich w posiołku Jercewo. Autorka prezentuje elementy życia codziennego zesłańców – warunki w jakich mieszkali, problemy z pożywieniem, chorobami i innymi dolegliwościami codzienności zesłańczej. Omawia ponadto proces formowania się przedstawicielstw polskiej ambasady w ZSRR oraz pomoc, jaką niosły one zesłanym Polakom. Opisuje też miejsca pamięci oraz krótką historię ich powstawania. Rozdział został wzbogacony m.in. wspomnieniami Polaków deportowanych do obwodu archangielskiego, fragmentami list zmarłych w niektórych posiołkach, fotografiami dokumentów, przypomina mało znane fakty i sytuacje uzupełniając je materiałem ikonograficznym, ilustrującym podawane treści. Wszystko to pozwala poznawać polską przeszłość na tej ziemi, los konkretnych osób powiązanych z nią zesłańczymi nićmi.

W tym albumie-przewodniku na uwagę zasługuje rozdział piąty zatytułowany *Polacy na Wyspach Sołowieckich* będący z jednej strony zarysem historii tego archipelagu na Morzu Białym, z drugiej natomiast prezentacją jego funkcji łagrowej z naciskiem na okres funkcjonowania SŁONu (Sołowieckiego Łagru Specjalnego Przeznaczenia) w latach 20. XX w. – jak i miejsc poza wyspami, lecz w dalszym ciągu w tzw. Karelii – jak Sandarmoch. Autorka, w części skupionej na Sołowkach, pokrótce opisuje obecny stan działającego na wyspie monasteru. Następnie przybliży czytelnikom zagadnienie przeznaczenia obozu, warunki życia oraz postaci kilku polskich zesłańców. W dalszej partii rozdziału przeczytamy o cmentarzu na uroczysku Sandarmoch, gdzie pochowani są m.in. Polacy rozstrzelani podczas masowych represji w latach trzydziestych XX stulecia. Rozdział zamyka fragment listy obywateli polskich zamordowanych w 1937 r. w Sandarmoch. Przedostatnia część publikacji dotyczy Polaków deportowanych do Republiki Komi w latach 1940-1941. Znajdziemy

tu opis sytuacji wyjściowej dla wywózki, warunki w jakich żyli i pracowali zesłańcy. Podrozdziały mówią nam o łagrach i cmentarzach Workuty oraz miejscach pamięci w tym rejonie. Książkę zamyka półstronicowy rozdział nawiązujący do sytuacji obywateli Polski deportowanych do Obwodu Wołogodzkiego.

Książka *Polacy na północy Rosji. Album o polskich miejscach pamięci* jest swoistą ilustracją poszczególnych miejsc, obszaru gdzie przebywali Polacy. Najwięcej znajdziemy tu wiadomości o charakterze martyrologicznym, dotyczących jednak tylko niewielkiego ułamka tego zagadnienia. Nie sposób bowiem jest na kilku stronicach dogłębnie opisać historię miejsc, ludzi i przedstawić dokumenty z tym związane. Każdy pomnik, każdy krzyż, każdy teren łagru zasługuje na osobną, wyczerpującą publikację. Pracę Dembowskiej można więc określić jako szkic, zarys zagadnienia. Nie znajdziemy w niej analizy historycznej, opisu docierania do źródeł, czy dogłębnej studiowania tematu – być może jest to wstęp do szerszych badań. Temat zesłań prosi się o drążenie, dociekanie, a nie streszczanie dostępnych materiałów, co jest niewątpliwym minusem tej pracy. Czytając odnosi się wrażenie, że oprócz odwiedzenia poszczególnych rejonów, sfotografowania kilku dokumentów i miejsc pamięci, autorka nie wniosła nic, co do tej pory nie zostało odkryte. Źródła, z których korzystała, są dokumentami ogólnodostępnymi i już opracowanymi. Wspomnienia świadków historii wykorzystane w publikacji są sporządzone i zredagowane przez innych badaczy. Co za tym idzie, książka nie niesie za sobą zbyt dużej wartości merytorycznej, jest odtwórcza.

Znajomość literatury przedmiotu jest dobra. Autorka powołuje się głównie na polskie i rosyjskie opracowania, na wspomnienia deportowanych Polaków, od czasu do czasu posiłkując się danymi m.in. z Ośrodka Karta. Wartość dodaną pracy stanowią współczesne zdjęcia miejsc pamięci. Cennym dodatkiem do pracy byłyby dokumenty uzyskane z archiwów rosyjskich oraz relacje z wywiadów z osobami, których wspomnienia nie były wcześniej publikowane. Można jednak wysunąć wniosek, że tego rodzaju publikacje – prezentujące fragmenty historii, uzupełnione wspomnieniami świadków historii, dokumentami z archiwów polskich i rosyjskich, współczesnymi zdjęciami – stanowią wartość nie tylko poznawczą ale także budującą relacje między dwoma narodami, które historia spłotła w tragiczny sposób. Książka, choć jedynie dotycząca tematu, będąca kompilacją wcześniejszych opracowań, może być przyczynkiem do wspólnej dyskusji o przeszłości oraz jej miejscu w pamięci historycznej poszczególnych narodów.

*Agnieszka Kaniewska*

- ***Wspomnienia pisane głodem... Relacje członków Związku Sybiraków w Stargardzie zesłanych w czasie II wojny światowej do ZSRR. Wstęp, wybór i opracowanie Jolanta Aniszewska, [w:] „Archiwum Pamięci Świadków i Świadectw Historii”, t. 1, Stargard 2011, s. 260.***

„Od 2009 r. Dział Historyczny Muzeum w Stargardzie realizuje projekt „Archiwum Pamięci Świadków i Świadectw Historii”. Jego celem jest zebranie relacji, wspomnień, dokumentów, fotografii itp. dotyczących zdarzeń, które miały miejsce w XX w. i są związane z Ziemią Stargardzką oraz mieszkańcami tych okolic. Niniejszy tom, zawierający wspomnienia powojennych mieszkań-

ców Ziemi Stargardzkiej – deportowanych w głąb ZSRR w czasie II wojny światowej – otwiera serię wydawniczą, w której publikowane będą materiały zgromadzone w Archiwum Pamięci”. Informacją tą poprzedzony jest pierwszy tom serii poświęcony syberyjskim doświadczeniom powojennych mieszkańców Stargardu i okolic, którzy po napaści Związku Radzieckiego na Polskę 17 września 1939 roku deportowani zostali z Kresów Wschodnich Rzeczypospolitej w latach 1940-1941 na Syberię, do Kazachstanu, na Daleki Wschód i w inne rejony sowieckiego państwa, a po zakończeniu wojny osiedleni zostali na tzw. Ziemiach Odzyskanych.

Książka składa się z ciekawie powiązanych ze sobą części i przynosi ważne dla badaczy tzw. problematyki syberyjskiej opisy trudnego zesłańczego losu. Zgrupowano je w 14 rozdziałach według kryterium tematycznego: rodzinny dom, początek wojny, aresztowanie, droga w nieznaną, tundra, tajga i step, nowy „dom”, praca za kawałek chleba, kto nie przeżył to nie wie, co to jest głód, utracone dzieciństwo, sąsiedzi, pod Twą obronę, zanim nastąpił powrót, droga powrotna, z Kresów na kresy. Opisy te wiodą czytelnika od domu rodzinnego autorów relacji, poprzez początek wojny, aresztowanie, długą i uciążliwą drogę na zesłanie oraz pobyt na „niehumanitarnej ziemi”, aż po szczęśliwy powrót z „domu niewoli”, niestety jednak nie do swych rodzinnych stron lecz na teren powiatu stargardzkiego. Zespół tematycznych relacji poprzedzony jest wprowadzeniem będącym swego rodzaju przewodnikiem do opublikowanych materiałów. Analizując wartość faktograficzną tych informacji, śmiało rzecz można, że nie wszystkie jeszcze tematy dotyczące zesłańczego doświadczenia zostały wprowadzone do naukowego obiegu, a tytuł każdego z wymienionych rozdziałów może stanowić temat dla oddzielnych opracowań. Bardzo celnie więc dobrano w książce rozległość tematyczną zesłańczego życia są one bowiem dobrym kluczem do zrozumienia wielu losowych doświadczeń ich autorów. Należy zatem podkreślić, że książka stanowi ważny zespół źródłowy dotyczący Polaków na syberyjskim zesłaniu umożliwiającą badaczom tej problematyki pełniejszy opis ich losu. W rozdziałach tych zawarta jest bogata faktografia wzruszająca każdego, kto weźmie tę książkę do ręki. Z jej lektury poznajemy pełnię trudów doświadczonych na szlaku syberyjskiej niewoli: głodu, chłodu, poniżenia i śmierci oraz tęsknotę do utraconych po wojnie miejsc urodzenia na Kresach Wschodnich przedwojennej Polski. Wszystkie te opisy są powrotami do niewyczerpanych pokładów pamięci wzbogacającej niezbyt popularny temat syberyjskich zesłań w naszej powojennej historiografii, przez długi czas pomijany w badaniach naukowych oraz publicystyce, pełniej podjęty dopiero po „upadku państwa socjalistycznego” i zniknięciu cenzury. W książce znalazły się relacje, różne w stopniu oryginalności i nowości, różne w proporcjach zawartości materiału faktograficznego, mimo to z pożytkiem służyć ona będzie w badaniach nad losem Polaków na syberyjskim zesłaniu.

Książka *Wspomnienia pisane głodem...*, jest niewątpliwie udana i poszerza zespół źródeł do badań tematyki sybirackiej. Nie ulega wątpliwości, że zainteresuje ona historyków zajmujących się tą tematyką oraz środowiska kresowe i sybirackie. Budzi ona uznanie za bogactwo informacji, przez co jej lektura angażuje uwagę przeciętnego czytelnika a badaczowi wskazuje ważny zespół źródłowy zgromadzony w Muzeum w Stargardzie. Uatrakcyjnienie tematyczne

książki wspierane jest materiałem ilustracyjnym dotyczącym dziejów stargardzkiego Związku Sybiraków, krótkimi biogramami autorów relacji, fotografiami rodzinnymi oraz, co jest szczególnie cenne ilustracjami obrazującymi różne tematy związane z zesłańczym losem – świadectwa szkolne, pisma pochwalne, sierocińce, modlitewniki, legitymacje, książeczki wojskowe, tworzenie się armii polskiej pod dowództwem gen. Władysława Andersa, pobyt w Afryce, drogę do kraju po zakończeniu wojny itp. Rzecz można, że tak różnorodna ilość ilustracji gdyby wydana została w formie oddzielnego albumu z pewnością znalazłby on odbiorców, bowiem fotografia jest ważnym tekstem kultury, dopełniającym pisemne narracje, ba - w pełni nawet je ubogaca. Sugeruję więc twórcom prezentowanej książki podjęcie tej formy edytorskiej związanej z Polakami na Syberii opartej na zgromadzonych fotografiach, listach, szkolnych świadectwach itp. Myślę, że kolejne przedsięwzięcia badawcze tego muzeum przyczynią się do pozyskania nowych fotografii i innych dokumentów spoczywających jeszcze w domowych szufladach Sybiraków oraz ich rodzin.

Kończąc prezentację tego ze wszech miar interesującego pierwszego tomu serii „Archiwum Pamięci Świadków i Świadectw Historii” przytoczę fragment wypowiedzi z uroczystości promującej książkę *Wspomnienia pisane głodem*, która brzmi jak apel o dalszy trud w tym zakresie, wypowiedziany wówczas na tym spotkaniu: „Przez ostatnie lata słowo SYBERIA miało dla Polaków szczególny wydźwięk. Polacy na zesłaniu przebywali przez wiele lat 6, 10, a nawet 15. Ci ostatni to skazani na podstawie wyroków sądowych. Mamy moralny obowiązek pamiętać o tych, którzy stracili życie i którzy przeszli przez piekło na ziemi. Powroty deportowanych Polaków do Polski wiodły wieloma drogami. Zostaliśmy rozproszeni po całym świecie. Nasza droga zakończyła się na Ziemi Stargardzkiej. Sybir to już historia, której zapomnieć nie można. Ważne jest by poznali ją młodzi ludzie, zrozumieli losy ojców, matek i dziadków. Uczynili to uczniowie II LO w Stargardzie, Muzeum Stargardzkie i Związek Sybiraków.”

Nawiązując do układu książki należy wspomnieć, że poprzedza ją „Wstęp” będący skrótownym zapisem dziejów Związku Sybiraków w Stargardzie, a w dalszej części informujący o przedsięwzięciach dokumentacyjnych, w rezultacie których powstał omawiany zbiór. Zawiera ona też krótkie charakterystyki osobowe 39 autorów relacji opublikowanych w książce, z których dowiadujemy się o miejscach ich pobytu za Uralem. Szkoda, że wydawca nie zamieścił mapy pokazującej te miejscowości. Książkę dopełnia imienny wykaz członków stargardzkiego Związku Sybiraków oraz mieszkańców Ziemi Stargardzkiej, którzy byli na zesłaniu i zmarli przed utworzeniem Związku Sybiraków, indeks nazw geograficznych i słownik terminów typu: *specposiołek, koczogary, priedsiadatiel, ucha, wołnuchy* itp. Podsumowując, należy zaznaczyć, że prezentowana książka jest ważnym znakiem na regale publikacji poświęconych losom Polaków na zesłaniu. Bagaż tych syberyjskich doświadczeń przywieźli oni ze sobą. Z tego co napisałem, wynika jednoznacznie, jak bogata jest ta książka. Zachęcam zatem koła i oddziały Związku Sybiraków by podjęły podobne inicjatywy dokumentacyjne i edytorskie. Trud to z pewnością niemały, wielce jednak się opłaci!

Bronisław Przesmycki

